



ANNA KŁODZIŃSKA

ŚWIETLISTA IGŁA

„CZYTELNIA” WARSZAWA 1969

*Wszystkie adresy oraz postacie
biorące udział w akcji są fikcyjne*

ROZDZIAŁ 1

Wartownik poruszył się niecierpliwie. W hallu znowu zadzwonił telefon, uwzięli się dzwonić wtedy, kiedy jadł kolację. Właściwie mógł nie podejść, rozmyślał, mógł być przecież teraz na zewnątrz gmachu, powinien tam być od czasu do czasu, należało to do jego obowiązków służbowych, które lekceważył, jeżeli padał deszcz.

Niechętnie odłożył nadgryzioną bułkę, poczekał jeszcze chwilę, ale telefon dzwonił uparcie, więc wstał i szurając butami podszedł do aparatu.

— Słucham, Instytut Chemii — powiedział, nastawiony niezyczliwie do kogokolwiek, kto był po tamtej stronie słuchawki.

— Proszę siedemnaście — głos był obcy, obojętny.

— Łączę — odparł machinalnie, chociaż wiedział, że w pracowni nie ma nikogo, tego wieczoru pusto było w Instytucie, widać nie mieli pilnych analiz. Połączył rozmówcę z siedemnastym wewnętrznym, oczywiście nikt się tam nie odezwał, więc przerzucił kabelek z powrotem i powiedział: — Nie ma nikogo.

— Zaraz... siedemnasty, to jest pracownia krystalicznych materiałów dielektrycznych?
— Głos chciał się upewnić. — Bo może ja pomyliłem.

Wartownik zerknął na drukowany spis.

— Tak. Ale nikogo nic ma — powtórzył. — Już późno, jedenasta dochodzi. Kto był, to dawno poszedł do domu.

— Dziękuję. Do widzenia — odparł rozmówca. Szczęknęła słuchawka.

Dokończył kolacji, posiedział trochę, wypalił sporta. Potem uznał, że jednak trzeba obejść gmach, mogła wpaść kontrola, komendant straży lubił takie nocne wypady, a ostatnio mieli ze sobą drobne porachunki. Wyrzwał przez okno. Deszcz ustał, ale wciąż było parno, miało się na burzę. Lipiec w tym roku zaczął się burzami, czasami po dwie, trzy dziennie.

Zdjął czapkę z wieszaka, sięgnął po karabin, przez chwilę pomyślał, czy też kiedykolwiek z niego wystrzeli, chyba jednak lepiej, żeby nie, po co mu to, można kogoś trafić i potem ciągnięcia po sądach, po prokuraturach. Spojrzał wyczekująco na telefon, ale ten milczał. — Chytry jesteś — mruknął, wychodząc na dwór.

Noc była bardzo ciemna, dopiero po dłuższej chwili oswoił oczy z tą ciemnością i zaczął rozróżniać krzaki, okalające Instytut, trochę jaśniejszą ścieżkę i dalekie światła latarni kolo przystanku autobusowego. Gmach był wielki, odsunięty od ulicy trawnikiem i krzakami, cisza tu była, zwłaszcza w nocy. Ta część Mokotowa najrzadziej wymagała interwencji milicji, chuligani nie zaglądali w te strony, nie było tu knajp, budek z piwem, kina, nic z tych rzeczy. Surowa atmosfera dokoła Instytutu odstraszała tak zwany element.

Wartownik zagłębił się w mrok ogrodu, z wolna zataczając szerokie koła, to bliżej, to dalej od murów, jeszcze rozgrzanych słońcem. Pod okapem tylnego wejścia przystanął na chwilę, ociężyły po jedzeniu, senny. Zapalił papierosa, ciągnął z wysiłkiem, bo był wilgotny, popatrywał po krzakach, po ulicy. Z przystanku ruszył autobus, po chwili doleciał stamtąd słaby zapach spalin, autobus skręcił w kierunku śródmieścia, potem znów nastąpiła cisza.

Kiedy spojrział w górę, coś raptem błysnęło, był to sekundowy błysk, gdzieś w gmachu czy nad budynkiem, nie mógł się zorientować, ale na wysokości drugiego piętra, mniej więcej koło okien pracowni, do której obcy facet przed pół godziną chciał się dodzwonić. Patrzył teraz uważnie, czy błysk się powtórzy, ale nic już nie dostrzegł.

— Burza idzie — powiedział do siebie. Nie słyhać było jednak grzmotu, widocznie burza czaiła się dopiero nad horyzontem.

Obszedł gmach, spoglądając co chwila w górę, nie był zbyt czujny, ale ten błysk go zastanowił. Wiedział, że w pracowni nikogo nie ma, wszystkie klucze wisiały w hallu na tablicy, sprzątaczkę pozamykały pokoje, a kierownik przyniósł klucze na dół. Nagle przyszło mu na myśl, że może ktoś nieostrożnie zostawił nie wyłączone aparaty i w pracowni nastąpiło spięcie. A ze spięcia mógł wyniknąć pożar i potem wszystko zwałą na niego, że nie dopilnował.

— Psia ich mać! — zaklął, wracając do budynku. Poszukał na tablicy klucza z pracowni, po namyśle zgarnął wszystkie z drugiego piętra, może to było w innym oknie, musiałby potem wracać, a nie lubił zbytnio się fatygować. Ciężko stąpając, wchodził na górę, zapalał po drodze światła na schodach i w korytarzach.

Przed drzwiami pracowni „materiałów”, jak ją w skrócie nazywano, przystanął na chwilę i nasłuchiwał. Nikt się tam nie poruszał. Pociągnął nosem, nie poczuł dymu, pożaru nie było. Ale mógł być, za parę minut. Sięgnął po klucz, spojrział na drzwi i nagle zdrętwiał.

Zamiast zwyczajnej dziurki od klucza, była tam teraz dziura wielkości małego jabłka, dokładnie w tym miejscu, gdzie wsadza się klucz, tak jakby ktoś wypalił otwór w zamku, stapiając jego metal. Wartownik dotknął otworu, brzegi były jeszcze ciepłe. Poruszył klamką. Drzwi były otwarte, oczywiście wskutek tego, że zamek diabli wzięli, i nic już nie broniło dostępu do pokoju.

Przerażony tym, co widzi, nic nie rozumiejąc, pchnął drzwi i zaświecił światło pod sufi-

tem. Na pozór wszystko tu było w porządku, żadnego ognia, nic się nie tliło, chociaż... tak, pociągnął mocno nosem, śmierdziało spalenizną lub czymś podobnym.

Nieufny już i ostrożny, rozglądał się uważnie dokoła. Jeżeli, myślał powoli, ale dokładnie, ktoś rozwalił zamek od pracowni, chociaż w hallu są klucze, Bóg wie, czym on to zrobił i po co, ale jeżeli zrobił, to miał w tym jakiś cel, chciał się tu dostać, więc musiał coś zabrać albo zostawić, raczej zabrać, tylko co i z którego miejsca?

Pracownia składała się z trzech pokoi w amfiladzie, połączonych nigdy nie zamykanymi drzwiami. Na samym końcu był gabinet kierownika, docenta Straszewskiego. Wartownik przypomniał sobie, że docent jest na urlopie, co zresztą w tej chwili nie miało żadnego znaczenia, bo znany chemik na pewno nie dobierałby się w taki sposób do własnej pracowni.

Jeszcze raz wciągnął mocno powietrze. Tak, to szło gdzieś stamtąd, od gabinetu. Nagle zorientował się, że ktokolwiek tu był, nie wyszedł przecież z gmachu, nie mógł wyjść, bo którędy, gdyby szedł przez hall, on by go zobaczył, a więc jeszcze jest w budynku. Może właśnie w gabinecie.

Drżącymi palcami ściągnął z pleców karabin, wprowadził nabój do komory. Oto może była ta pierwsza okazja do użycia broni, pomyślał, i ścierpła mu skóra. Nie chciał strzelać do żadnego człowieka, cóż jednak począć, jeżeli tamten będzie chciał zastrzelić jego?

— Jest tam kto? — krzyknął ochryplym głosem. Kaszlnął, odchrząknął i czekał w napięciu. Ale nikt się nie odezwał, w gabinecie panowała zupełna cisza. — Czy tam ktoś jest? — zawołał jeszcze raz i posunął się o dwa kroki w stronę uchylonych drzwi.

Wreszcie zdecydował się. Z karabinem przy ramieniu, każdej sekundy gotów do strzału, zdenerwowany do ostateczności, mocno pchnął kolaniem drzwi.

Gabinet był pusty. Jeszcze nie wierząc, rozglądał się dokoła. Wtedy zobaczył, że drzwiczki od żelaznej szafy obok okna są otwarte. Podszedł bliżej, nie wypuszczając broni z ręki. I tutaj zamek był stopiony, jak tamten w drzwiach. Przez dłuższą chwilę stał bez ruchu przyglądając się szafie, ostrożnie dotknął zamka i syknął, prawie sparzyło mu palce. Skoczył nagle, bo coś zaszeleściło w kącie, ale to była chyba mysz, buszująca wśród papierów. Pochylił się nad tymi papierami, poczuł zimny pot na plecach. Leżały tu, porozrzucane w nieładzie, jakieś wykresy, dokumenty, rysunki. Na pewno prace badawcze docenta Straszewskiego albo jego asystentów. Te, które zawsze zamykano starannie w żelaznej szafie.

Nie, to wszystko było ponad jego możliwości. Trzeba natychmiast zawiadomić kogo tylko się da, w takiej sytuacji można komendanta straży bez skrupułów wyciągnąć z łóżka, kierownictwo Instytutu też.

Zbiegł do hallu tak szybko, jak tylko potrafił, odszukał w spisie domowe telefony, zacinając się z wrażenia zawiadamiał o wszystkim, co zobaczył. Potem dopiero, kiedy czekał przed frontowymi drzwiami na pierwszy samochód, opadł go największy strach. Bo przecież on tu był na straży i to, co zaszło, stało się w czasie jego służby, diabli wiedzą kiedy i jak... Może ktoś zakradł się dużo wcześniej i ukrył w którejś pracowni, były tu różne zakamarki, na trzecim piętrze po remoncie pozostały jeszcze nie poustawiane szafy, stołki, różne paki. Ale jeżeli ten ktoś wszedł, kiedy on był już na służbie? To co wtedy?

— Przyjdzie siedzieć — mruknął zrezygnowany.

Usłyszał z daleka szum motoru, po chwili samochód gwałtownie zahamował przed gmachem, z wozu wyskoczył komendant straży. Tuż za nim, niemal dotknęła go zderzakiem, czarna wołga dyrektora Instytutu. — „Teraz się zacznie” — pomyślał wartownik, przykładając palce do czapki.

*

— Nie rozumiem — komendant straży bezradnie rozłożył ręce. — Czym to zostało zrobione?

Dyrektor Glabisz wzruszył ramionami. On też nie rozumiał. nie tylko tego, w jaki

sposób otwarto szafę i drzwi, ale i wielu innych rzeczy. Wiedział, że docent Straszewski pracuje od dwóch lat nad wykorzystaniem niektórych kryształów do laserowania, badania te na pewno miały dużą wartość, nie sądził jednak, żeby wyniki, jakie docent osiągnął, mogły zainteresować na przykład obcy wywiad. W końcu, tam na Zachodzie mieli w tej dziedzinie o wiele większe rezultaty. Któż więc w kraju mógł się uciec do aż tak przestępczych metod, aby zdobyć naukowe prace docenta?

Raz jeszcze przyjrzał się wnętrzu prawie pustej szafy. Papiery, starannie poukładane przez komendanta na biurku, nie były chyba najważniejszymi dokumentami, ale sam nie potrafił tego ocenić. Straszewski przebywał na urlopie w Bułgarii, trzeba było się zastanowić, czy ściąganie go z zagranicy jest w pełni uzasadnione, każdy ma prawo spokojnie odpoczywać.

Podszedł do telefonu stojącego na biurku.

— Niech pan mi da miasto — powiedział, kiedy na dole wartownik podjął słuchawkę. Potem czekał chwilę, aż tamten upora się z centralką, nie miał w tym wprawy. Wreszcie usłyszał sygnał i nakręcił numer jednego z asystentów docenta, modląc się w duchu, aby był w domu. Kiedy odezwał się zaszpany głos inżyniera Rawicza, powiadomił go krótko, co zaszło, i poprosił o natychmiastowy przyjazd.

— Posyłam panu mój wóz — dodał i zaraz sobie przypomniał, że przecież o tej porze nie ma kierowcy, musiałby więc pojechać sam. Ale asystent odparł całkiem przytomnie, że przyjedzie swoim moskwiczem, bo tak będzie lepiej, samochody mogą być komuś potrzebne. Mówiąc to, miał na myśli innych kolegów z Instytutu, którzy pracowali z docentem nad kryształami.

Na miejscu Rawicz potrzebował dwóch minut, aby z całą stanowczością stwierdzić, że wśród rozłożonych na biurku papierów nie ma najważniejszych wykresów i opracowań. Złodziej, czy jak go należało nazwać, zabrał dość gruby maszynopis, zawierający ukończoną niedawno pracę Straszewskiego o spójnym promieniowaniu, wynikającym z domieszek jonów optycznie czynnych do kryształów. Nie wdając się w szczegóły inżynier powiedział, że jest to praca nadzwyczaj pożyteczna, a metody, jakimi docent się posługiwał, całkowicie oryginalne.

— Czy on ma kopie? — spytał dyrektor, czując niespokojne łomotanie serca, w końcu nie był już taki młody ani zdrow.

— Nie pamiętam — odparł Rawicz ostrożnie. — Chyba tak. Takie rzeczy zawsze robi się z kilku kopiami.

Nie dodał, że kopie, ile ich tam było, mogły również znajdować się w szafie i zniknąć razem z oryginałem. Przejrzał raz jeszcze notatki i wykresy na biurku, potrząsnął głową, to były zwykłe notatki, jakie sporządza się odręcznie w trakcie przeprowadzania ćwiczeń i analiz, nie miały większego znaczenia dla kogoś, komu zależało na ostatecznych wynikach.

— Ten — Rawicz zamyślił się na chwilę, był zdumiony i wstrząśnięty bardziej niż dyrektor, bo lepiej od niego zdawał sobie sprawę z sytuacji — ten człowiek, który zabrał maszynopis, musiał bardzo dobrze orientować się w krystalicznych materiałach dielektrycznych.

Głębisz spojrział na inżyniera z przerażeniem.

— Nie sądzi pan chyba, że... że to ktoś z Instytutu? — spytał, to byłoby najgorsze, nie chciał tego za nic, aby tylko nie ktoś stąd!

Rawicz wzruszył ramionami.

— Skąd mogę wiedzieć? — burknął niegrzecznie, dyrektor mu przeszkadzał, jego przestach i bezradność irytowały. — Zawiadomił pan milicję?

— Milicję? Nie. To straszne... Po co tu milicja? Może jakoś sami... — umilkł, przesunął językiem po wyschłych wargach.

— Co sami? Co? A te dziury w zamkach, przecież tu popełniono włamanie, przestępstwo! — inżynier prawie krzyczał. — Niech pan dzwoni po milicję — zwrócił się do komendanta straży. — Najlepiej do Pałacu Mostowskich.

Do gabinetu wbiegł drugi asystent Straszewskiego, Rakowski, którego Rawicz zawiadomił jeszcze przed wyjazdem z domu. Miał spodnie wciągnięte na pidżamę, włosy sterczały mu jak pióropusz, ale nikt nie zwrócił na to uwagi. Trzęsącymi się rękami przekładał na biurku papiery, gryząc usta w zdenerwowaniu.

— Pracy nie ma — szepnął, na wpół do siebie. — Całego maszynopisu. I obydwóch kopii.

— Nie pamiętasz, czy docent miał jeszcze jedną w domu? — mruknął Rawicz, przyjmując od komendanta papierosa.

Rakowski potrząsnął głową przecząco. Doskonale wiedział, ile było kopii, sam je przepisywał na maszynie, a potem razem z docentem wkładali do górnej szuflady w żelaznej szafie. Kopie nie były ostatnio potrzebne, więc nikt ich stamtąd nie wyciągał. Teraz szuflada była pusta.

Pierwszy asystent odciągnął go pod okno, spojrzał bystro w oczy.

— Słuchaj, Jurek, co myślisz o tym wszystkim?

— A cóż ja mogę myśleć? Nic nie rozumiem. Komu mogło to być potrzebne?

— Każdemu, kto miałby w tym jakiś interes.

— Myślisz, że dla zagranicy? E, nonsens. Oni mają swoje opracowania.

— Jak gdzie — odparł Rawicz dyplomatycznie. — Zresztą, niekoniecznie dla zagranicy. Ten, kto ukradł pracę, świetnie się w tym orientuje, wziął akurat to, co jest najistotniejsze. Specjalnie dobrał się do tej, nie innej pracowni. Zależało mu na tym. Mało tego: wiedział, że to jest tu, nie gdzie indziej.

Rakowski zbladł, na nosie wystąpiły mu drobne kropelki potu.

— A więc — powiedział z determinacją — najbardziej podejrzani jesteście my dwaj.

— Tak — zgodził się tamten. — Ale nie tylko. Wszyscy, którzy wiedzieli o pracy. Wszyscy z „materiałów”. Jedenaście osób.

— Odlicz sześciu, którzy są teraz na urlopie.

— Jeżeli rzeczywiście gdzieś wyjechali. Załóżmy, że tak, to pozostają prócz nas jeszcze trzy osoby.

— A oprócz tego całe mnóstwo ludzi, którzy mogli wiedzieć to i owo o pracy. Docent przecież kontaktował się z fizykami, jeździł na Śląsk, sam mu przywoziłem z Katowic niektóre materiały. Zdaje się, że rozmawiał też o pracy w ministerstwie. No, chyba bez szczegółów.

— Niech to cholera weźmie.

Nie patrzyli teraz na siebie, to było straszne, ale w ich starą, wypróbowaną przyjaźń wdarł się nagle cień nieufności. Może nie od razu podejrzenie, żaden z nich nie potrzebowałby się uciekać do włamania, mieli przecież przedtem tysiące okazji, aby móc swobodnie skopiować pracę docenta. Jeżeli jednak któryś z nich powiedział o tym tam, gdzie to było niewskazane, w gronie ludzi mało znanych, może nawet zbyt głośno w kawiarni...

Na schodach zrobił się ruch, zastukały liczne kroki,

Głabisz zgnębiony wprowadzał do pracowni dwóch ludzi w cywilnym ubraniu i jednego w milicyjnym mundurze. Pierwszy cywil od razu zainteresował się zamkiem u drzwi i pozostał przy nich, tamci weszli do gabinetu. Dyrektor przedstawił obu inżynierów. Cywil przywitał ich pobieżnym uściskiem dłoni, sierżant w mundurze zlekceważył formy towarzyskie, zbliżył się do szafy i zaczął oglądać stopiony zamek.

— Zostałem zawiadomiony telefonicznie przez wartownika — zaczął Głabisz — o tym, co zaszło...

— To znaczy, o czym? — przerwał mu cywil, przyglądając się dokładnie twarzom obu inżynierów, jakby oglądał obrazy na wystawie. Nerwowo Rawicz odwrócił głowę w bok, nie znosił natarczywego spojrzenia.

— Więc... wartownik powiedział mi, że ktoś włamał się do drzwi tej pracowni i otwo-

rzył żelazną szafę dyrektor usiłował skupić myśli i mówić krótko, zwięźle — że szafa jest pusta, a papiery porozrzucane w kącie. Nikogo nie zauważył, obchodził gmach dookoła. Zresztą, może on to sam powie — wskazał wartownika, który stał na progu, świadom wszystkiego, co go czeka. — Mam służbowy samochód do dyspozycji, stał przed domem, gdzie mieszkam, więc ubrałem się jak najszybciej i przyjechałem. Drugim wozem, prawie razem ze mną, przyjechał komendant straży. Weszliśmy na górę, no i zastaliśmy to wszystko — pokazał ręką pokój. — Zawiadomiłem telefonicznie pierwszego asystenta z pracowni, magistra inżyniera Henryka Rawicza. Potem przyjechał drugi asystent, magister inżynier Jerzy Rakowski.

— Kto pana zawiadomił? — cywil zwrócił się do Rakowskiego.

— Ja — odezwał się Rawicz. — Jeszcze z domu. Uważałem to za wskazane.

W głosie jego była ledwo znaczna nutka jakiegoś uporu czy hardości, cywil zapamiętał to, ale nie okazał bliższego zainteresowania.

— W tej szafie, panie... przepraszam, nie znam stopnia? — Głabisz uśmiechnął się, wypadło to jak skrzywienie.

— Porucznik Nowak. Chwileczkę — odwrócił się i podszedł do swego kolegi, który obejrzał już drzwi i pojawił się w gabinecie. — Wezwij wóz techniczny, dobrze? I zadzwoń do starego. Wiesz, żeby potem nie było jakichś tam...

— Chodź na chwilę — drugi oficer w cywilnym ubraniu pociągnął go do drzwi i wymownym ruchem pokazał wypaloną dziurę. — Widziałeś kiedy coś takiego?

Nowak pochylił się i uważnie przyglądał otworowi.

— Palnikiem — wzruszył ramionami. — Tlen, acetylen. Normalne.

— Nie sądzę — tamten potrząsnął głową.

— A czym? Przecież wypalone. Może zapałką? Zostaw to, idź dzwonić. Ważniejsze są teraz dokumenty.

Wrócił do gabinetu. Mimo woli jednak zbliżył się do szafy, dotknął palcem stopionego metalu. „Palnikiem?” — pomyślał zdziwiony. „To musiało dość długo trwać. Grubość szafy ma kilka dobrych milimetrów. Jeszcze przedtem drzwi. Potem szukanie wśród papierów. Chyba z pół godziny”.

Raptownie odwrócił się w stronę wartownika.

— Spalicie - rzekł surowo. — Proszę chuchnąć!

— Ja sprawdzałem. Nie pił — zastrzegł się komendant straży, obrzucając podwładnego wściekłym spojrzeniem.

Wartownik chuchnął posłusznie, a potem powiedział:

— Żebym tak zdrów był, panie poruczniku, ani na minutkę nie zasnąłem. Mogę w kościele przysięgać. Po dziesiątej, znaczy się dwudziestej drugiej, zjadłem w hallu kolację...

— Co? — przerwał porucznik.

— Kolację — powtórzył głośniejszym głosem wartownik.

— Ja słyszę dobrze. Co jedliście na kolację?

— Aha. No więc, jadłem dwie bułki z salcesonem, piłem herbatę.

— Jedzenie przynieśliście ze sobą?

— Tak, żona szykowała. Jak zwykle. Herbatę miałem w termosie.

— Kiedy żona kupowała salceson? Jedliście go już przedtem, w domu?

— Nie. Wczoraj kupiła. Ale w domu został jeszcze kawałek. Chyba żeby żona zjadła.

— Nie mógł zrozumieć, co ma głupią salceson do tego wszystkiego.

— Przed kolacją obeszlście gmach w środku?

— Tak, panie poruczniku.

— Wszystkie piętra? Korytarze, pokoje?

— Korytarze tak, pokoje nie, bo są zamykane.

— Kto je zamyka?

— Każda pracownia ma wyznaczonego dyżurnego, który ostatni zamyka pokoje —

wtrącił się dyrektor. — Potem klucze wieszają w hallu, na tablicy. O szesnastej przychodzą sprzątaczkę, biorą klucze z hallu. Kierownik administracyjny gmachu sprawdza po sprzątaniu, czy nie pozostał jakiś nie wyłączony aparat, wie pan, może wybuchnąć pożar, tu są różne chemikalia. Jeżeli w jakiejś pracowni przeprowadza się wielodniowe doświadczenie i aparaty są w ruchu, to kierownik jest o tym uprzedzony i sprawdza ich stan wraz z którymś z pracowników. Potem zamyka wszystkie pokoje i zostawia klucze na tablicy.

— Więc ja obszedłem piętra, wszędzie był spokój, cisza, potem posiedziałem w hallu, czytałem gazetę... Zaraz po ósmej było trochę telefonów, potem znowu cisza. Jak jadłem kolację, ktoś jeszcze zadzwonił, prosił o połączenie z siedemnastym wewnętrznym. Właśnie z tą pracownią, tutaj.

— Kto to był? — Nowak ożywił się wyraźnie.

Nie wiem — odparł wartownik. — Głos był obcy. Połączyłem go, chociaż tu nikogo nie było, tak na próbę, ale nikt się nie odezwał, więc powiedziałem tamtemu, że wszyscy już dawno poszli. No i on się wyłączył. Skończyłem jeść, wypaliłem papierosa i wyszedłem przed dom, na obchód. Jak byłem koło tych krzaków, gdzie jest ławka, coś błysnęło w oknie, tak jakby właśnie tutaj, w pracowni. Pomyślałem, że to błyskawica, miało się na burzę, i światło pewnie odbiło się w szybie. Ale potem postanowiłem jednak sprawdzić. Mogło być spięcie w aparatach. Kiedy stanąłem przed drzwiami pracowni, zobaczyłem, że zamek w drzwiach jest spalony. Potem, że w gabinecie szafa otwarta, no i te papiery na podłodze. Zbiegłem na dół, zadzwoniłem do naszego komendanta i do pana dyrektora Głabisza. Potem nie wchodziłem już na górę, tylko czekałem, aż przyjadą.

— Ile tu jest wejść? — zwrócił się porucznik do dyrektora.

— Dwa. To frontowe i jeszcze jedno z tyłu, ale zawsze zamknięte. Sam zakładałem tam pieczęć, taki mamy przepis.

— Sprawdźcie — powiedział do sierżanta, który wysunął się z gabinetu. Potem zastanawiał się chwilę. Jeżeli wartownik był później przez cały czas w hallu i jeżeli tylne wejście jest rzeczywiście zamknięte, to przestępca może być jeszcze w gmachu. W takim razie, trzeba ściągnąć tu jeszcze paru ludzi z komendy.

Sierżant wrócił. Na tylnych drzwiach była nie naruszona pieczęć, a na niej gruba warstwa kurzu. Tamtędy na pewno nikt nie wyszedł.

— Co było w szafce? — spytał Nowak, zwracając się do inżyniera Rakowskiego. — Czy panowie stwierdziliście już, co zginęło?

— Tak. Zabrano bardzo ważną pracę docenta Straszewskiego, kierownika pracowni. Zginął oryginał maszynopisu i dwie kopie.

— Kto wiedział, że praca i kopie są w tej szafce?

— Cała pracownia — odezwał się Rawicz. — A przede wszystkim obaj asystenci. — Patrzył na oficera ostro, jakby odpierając wzrokiem spodziewane uderzenie. Ale cios nie padł, Nowak uśmiechnął się przelotnie, więc inżynier dodał z naciskiem: — Ja i kolega Rakowski.

Do gabinetu wszedł pułkownik Brezga, naczelnik wydziału z Komendy Stołecznej Milicji. Wraz z nim pokazało się jeszcze dwóch funkcjonariuszy mundurowych, fotograf, który zaraz zabrał się do roboty, i technik dochodzeniowy z walizką śledczą w rękę.

Nowak odciągnął szefa na bok i cicho referował mu swoje spostrzeżenia. Potem przeszukano dokładnie cały gmach i ogród; nie znaleziono jednak nikogo. Nie było też żadnych śladów, które wskazywałyby na obecność w ogrodzie człowieka z aparatem do cięcia metali, chociaż dokładniej mogli się o tym przekonać dopiero rano, przy świetle dziennym.

Brezga długo, uważnie przyglądał się stopionemu zamkowi żelaznej szafy. Technik, specjalista od palników i aparatów tlenowych, wahał się. Według niego, użyto tutaj palnika z ogromną mocą cieplną albo też przestępca ciął metal bardzo długo, chyba dobre pół godziny. Powinny jednak były pozostać ślady na podłodze, krople stopionego żelaza, poza tym otwór był dziwnie gładki, nie nadszarpnięty po bokach, natomiast płomień palnika musiał być tak

silny, że nadtopił nawet brzegi szuflady wewnątrz szafy.

— Jakby igłą... — mruknął technik — rozgrzaną do paru tysięcy stopni. Nieprawdopodobne!

— Pan powiedział: igłą świetlną? — spytał inżynier Rawicz, marszcząc czoło ze zdumienia.

— Nie — odparł technik. — Dlaczego świetlną? Rozżarzoną. Ale takiej igły nie ma, mówiłem w przenośni: tak jakby igłą.

Pułkownik popatrzył na inżyniera, coś mu przyszło na myśl.

— No, a gdyby igłą świetlną? — spytał. — Co pan chciał przez to powiedzieć?

Rawicz zmieszał się, zawahał.

— Nie, to nonsens — odparł śpiesznie. Zupełnie wykluczone.

— Ale co pan miał na myśli? — nalegał tamten.

— Laser — rzekł inżynier, wzruszył ramionami. — Tutaj w pracowni nie mamy lasera, w ogóle w całym Instytucie nie ma. Zresztą, gdyby nawet był, nie można by go przenieść, to jest wielkie urządzenie, nie da się wsadzić do teczki — roześmiał się, odszedł w głąb pokoju.

Brezga patrzył za nim chwilę, potem przeniósł wzrok na technika. Ten raz jeszcze obejrzał otwór, a potem rzekł:

— Tak. Gdyby istniała taka możliwość, praktycznie, to igła laserowa, przy dużej energii impulsu, powiedzmy paręset dzuli, mogłaby stopić nawet grubszy zamek od tego i „napocząć” brzegi metalowej szuflady.

— Tu był bardzo mocny zamek — zauważył porucznik Nowak, podchodząc do nich — chyba jakiś specjalny stop metali.

— Laser wszystko zeżre — mruknął technik z wyższością w głosie. — Nawet wolfram, nawet diament czy molibden. To cholernie wysoka temperatura, każdy materiał wyparowuje w sekundę albo ułamek sekundy. Wiem, bo na ostatnim kursie mieliśmy dodatkowo o laserach.

— Jak długo trwa taka... taki proces uderzenia igły laserowej? — spytał pułkownik, powracając wzrokiem do Rawicza, który stał w kącie gabinetu i rozmawiał z Głabiszem.

— Mikroeksplozja? Jakies ułamki sekundy, mówiłem.

— I wtedy widać błysk? — zainteresował się nagle Nowak.

— Są lasery widzialne, są i niewidzialne. Ale po co o tym teraz mówimy — zniecierpliwiał się technik, w środku nocy robić komuś wykład z fizyki, kiedy tutaj jeszcze mnóstwo roboty. — Nie ma takich laserów, z którymi można by chodzić, jak z aparatem fotograficznym, i rozwalać nimi zamki. Tutaj musiał być jakiś mocny palnik — zafrasował się, umilkł. Nie lubił, kiedy coś mu się w robocie nie zgadzało. — Jeżeli to zrobił naukowiec, chemik, to może zmajstrował ekstrapalnik, nie na tlen czy acetylen, ale na jakiś cholernie silnie działający gaz. Innej możliwości nie widzę.

— Chyba ważniejsza jest kradzież pracy docenta Straszewskiego niż sposób, w jaki facet wszedł do pracowni — zauważył inny oficer.

Brezga nic odpowiedział. Zastanowiły go słowa technika: jeżeli to zrobił chemik. Gdyby tak było, przestępcy należałoby szukać przede wszystkim wśród pracowników Instytutu. Ale cóż mogło nim kierować? Zazdrość, zawiść wobec kolegi, który miał lepsze osiągnięcia. Chęć niszczenia wszystkiego, co ma wartość naukową. Robota polityczna. Szpiegostwo. Ci dwaj twierdzą, że praca nie miałaby większego znaczenia za granicą. Trzeba sprawdzić. Trzeba chyba ściągnąć z urlopu tego docenta. Z laserem to nonsens, oczywiście. Po prostu palnik gazowy. Jednak musiało to trwać bardzo długo, wszystko razem. Wartownik zasnął, teraz się nie przyzna. Gdyby mu ktoś wsypał środek nasenny, toby po tak krótkim czasie nie chodził, nie rozmawiał zupełnie przytomnie. więc to chyba odpada. Przestępca ukrył się w Instytucie gdzieś po południu, widać zna tu różne zakamarki, to też by wskazywało na tutejszego pracownika.

A wyszedł pewnie wtedy, kiedy...

Ruchem ręki przywołał do siebie wartownika.

— Jak wyszliście na obchód gmachu, to drzwi frontowe zostały otwarte czy zamknięte na klucz? — spytał. Ton jego głosu był spokojny, dobroduszny, tęga postać w cywilnym ubraniu wyglądała jakoś swojsko i wartownik odpowiedział szczerze, że nie zamykał na klucz, bo po co, przecież był na warcie, czuwał.

— Ale chodziliście dokoła budynku, tak?

— A jakże, chodziłem — odparł i nagle zrozumiał.

— Czyli że w tym czasie, kiedy wy byliście po drugiej stronie domu, ktoś mógł wejść frontowymi drzwiami. A potem, kiedy zrobił już, co chciał, w pracowni, ukrył się gdzieś w korytarzu, bo usłyszał, że idziecie po schodach. Jak weszliście do pracowni, zbiegł na dół i wyszedł na ulicę. Świetne wartowanie. Pięciu złodziei mogło tu buszować.

Wartownik milczał, zgnębiony do reszty. Cóż, tak chyba było.

— Wierzę wam, że nie spaliście — dodał Bryzga — ale w gmachu musiało was nie być dobre pół godziny. Albo i więcej.

*

Oba zamki z wypalonymi w nich dziurami zostały wyjęte i dostarczone do laboratorium kryminalistycznego w Komendzie Miasta. Specjaliści, po dłuższych wahaniach, potwierdzili opinię technika dochodzeniowego: palnik ogromnej mocy, wprost nieprawdopodobnej. Teoretycznie — zastrzegali się: wyłącznie teoretycznie! — mógł to być laser, pasowałby jak ulał, ale praktycznie rzecz niemożliwa, nikt u nas nie chodzi z laserem pod pachą, takich cudów nie ma. Owszem, zgodzili się też z poglądem, że przestępca mógł być chemikiem lub fizykiem, na to wyglądało. Zatrzymali zamki do dalszego badania, postanowili bowiem skonsultować swoją opinię z Zakładem Kryminalistyki Komendy Głównej MO.

Aż czterech pracowników z wydziału pułkownika Brezgi zostało przydzielonych do tej sprawy, prócz tego milicja spróbowała podrzucić ją kontrwywiadowi, wskazując na ewentualne motywy szpiegowskie, ale kontrwywiad, po zorientowaniu się w treści pracy docenta Straszewskiego, odrzucił piłkę z powrotem do Pałacu Mostowskich, to nie było nic dla nich. Zagranica znała podobne osiągnięcia, rzecz miała znaczenie tu, w kraju, coś w rodzaju produkcji antyimportowej, jeżeli można było tak się wyrazić o naukowej pracy.

— Trudno — powiedział Brezga do swoich oficerów. — Musimy na dobre zacząć się w tym grzebać. Potraktujemy jako zabór mienia — uśmiechnął się, to „mienie”, jak już zdążył się zorientować, warte było jednak setki tysięcy złotych. Odtworzenie pracy z urywkowych notatek, poinformował go Rawicz, wymagało dobrych kilku miesięcy wyłożonej roboty. Chyba że docent zachował gdzieś w domu brudnopis.

Tak czy owak, Straszewskiego należało zawiadomić i poprosić o szybki powrót do kraju, co też zrobiono, nie wdając się przez telefon w szczegóły. Zdziwiony, trochę zły, obiecał jednak, że najbliższym samolotem przyleci do Warszawy. Ułatwiono mu to, porozumiewszy się z odnośnymi władzami bułgarskimi.

Na lotnisku czekali: pułkownik Brezga i dwaj asystenci docenta, podenerwowani przykrą sytuacją, w jakiej się znaleźli. Rawicz spod oka spoglądał na oficera, sądził, że tamten zwleka tylko z aresztowaniem ich obu, ale że to aresztowanie każdej chwili może nastąpić. Nie wiedział, że Brezga był od tej myśli bardzo daleki. Brak mu było motywów, dla których asystenci mogli dokonać włamania, poza tym wiedzieli przecież, że w razie czego posądzenie padnie przede wszystkim na nich jako na najbliższych współpracowników.

— Będzie cholernie zmartwiony — rzekł Rakowski, patrząc na niebo, na którym za parę minut miał się ukazać samolot z Bułgarii.

— Chyba że ma jeszcze gdzieś brudnopis — odparł Rawicz.

Rakowski zaprzeczył ruchem głowy. Oryginał i dwie kopie, po cóż było jeszcze prze-

chowować brudnopis. I komu mogło przyjść do głowy, że przestępca włamie się do Instytutu i zabierze właśnie tę pracę.

Brezga stał trochę z boku, czuł na sobie nieprzychylnie spojrzenia młodego inżyniera i starał się wyglądać dobrodusznie, co mu się zwykle udawało, jeżeli ktoś nie znał go bliżej. Myślał trochę o tym, jaki jest ten docent i czy mu w jakikolwiek sposób ułatwi dochodzenie, a trochę o swoich czterech pracownikach, którzy zbierają od dwóch dni mnóstwo informacji, rozmawiają z pozostałymi inżynierami i laborantami z pracowni materiałów dielektrycznych, z wartownikiem — po raz dziesiąty, z dyrektorem Glabiszem, ze sprzątaczkami, kierownikiem administracyjnym Instytutu i Bóg wie, z kim jeszcze, aby sprawę posunąć naprzód.

„IŁ” pojawił się na niebie, zniżył lot, zatoczył parę kręgów, coś mu się widać nie podobało na dole, potem jednak dotknął kołami ziemi, potoczył się i zahamował.

— Jest — rzekł Rawicz, dojrzawszy na schodkach potężną postać docenta.

Straszewski był wielki, gruby, schodził kołysząc się trochę na boki. Dojrzał inżynierów i pomachał im teczką, był nawet uśmiechnięty.

— Zaraz przestanie się śmiać — mruknął pierwszy asystent, przepychając się do wejścia. Rakowski szedł tuż za nim. Pułkownik pozostał tam, gdzie był, niech się przywitają i powiedzą mu sami, na wszystko inne będzie czas później. Obserwował jednak uważnie twarz Straszewskiego podczas spiesznej rozmowy i widział, jak rysy tej twarzy tężeją, a w oczach pojawia się przerażenie. Pomyślał, że pewnie brudnopisu też nie ma.

Podszedł, przedstawił się i zaproponował podwiezienie docenta swoją warszawą. Rawicz przyjechał moskwiczem razem z kolegą, odpadła więc konieczność wspólnej jazdy, co pułkownikowi było raczej na rękę.

Straszewski zawahał się, spojrzał na asystentów, w oczach miał jeszcze nie wystygły przestrah i zdumienie. Machinalnie kiwnął głową i skierował się za Brezgą. Formalności przyjazdowe docenta trwały niedługo, po kwadransie siedzieli już w samochodzie. Prowadził milicyjny kierowca, ubrany po cywilnemu, pułkownik zwykle obywał się bez niego, tym razem chciał jednak całą uwagę skupić na rozmowie.

— Nie mogę uwierzyć — powiedział Straszewski, ocierając twarz z potu: na dworze było gorąco. — Po prostu nie mogę uwierzyć! — powtórzył bezradnie.

Brezga milczał chwilę, chcąc mu dać czas na ochłonięcie z wrażenia, potem rzekł ostrożnie:

— Czy przychodzi panu na myśl, komu mogło zależeć na zabranii tej pracy? Tak dalece, że zastosował włamanie?

— Zależeć? — Docent ściągnął brwi, twarz miał tłustą, wargi trochę wywinięte, oczy bystre, mądre. — Pan myśli, że na przykład... nie wiem, co by mu z tego przyszło, bo przecież cała moja pracownia orientuje się, że doszliśmy do takich, nie innych, wyników, że to jest moje, nasze wspólne — poprawił się szybko — osiągnięcie, więc nikt by u nas w kraju nie mógł opublikować tego jako swoje. To wykłuczone.

— A za granicą?

— Oni już znają wyniki domieszek fluorku wapnia z trójwartościowym jonem uranu... uranu pewnego typu — zmieszał się, odchrząknął.

Brezga powściągnął uśmiech; docent mu nie dowierzał, jeżeli chodziło o te rzeczy. Pułkownik wiedział jednak, że to był jon uranu „U³⁺”, mniejsza z tym, gorzej będzie, jeżeli Straszewski okaże taką samą nieufność w innej dziedzinie.

— A czy nie można przypuścić — powiedział, zastanawiając się nad słowami — że ktoś, kto orientuje się w pańskich pracach, będzie próbował czerpać z nich fragmentami, stopniowo ogłaszając jako swoje własne osiągnięcia? Ostatecznie, zdarza się tak, że dwaj, trzej uczeni, nieraz w różnych krajach, pracują nad tym samym zagadnieniem, czasem o tym nie wiedząc, a później kto pierwszy, ten lepszy — zażartował. — Przestępca, który zabrał pański maszynopis, może korzystać z niego i nikt mu nie udowodni, że sam tego nie opracował.

Docent milczał chwilę, posapując z gniewem.

— Ja wiem, kto z naszych chemików mógłby opublikować tego typu pracę, co moja — odparł. — Tych ludzi można w Polsce na palcach policzyć, i to jednej ręki. Ale żaden z nich nie włamałby się do mojej szafy. Nigdy w to nie uwierzę! To uczeni, a nie złodzieje.

— Swoich asystentów pan o to nie posądza, prawda?

— Ach, skądże! — wykrzyknął chemik z oburzeniem. — Zresztą, po co mieliby to robić? W imię czego?

— Czy kogo?... — dokończył pułkownik ciszej. — Ma pan do nich pełne zaufanie?

— Absolutne. A jeżeli pan przed chwilą chciał zasugerować, że Rawicz albo Rakowski mogli to zrobić dla kogoś... Nonsens. Nie widzę przyczyn. Gdyby chcieli, mogliby skorzystać z wyników dużo wcześniej i bez wysiłku włamywania się do żelaznej szafy. Czym ona została otwarta?

Brezga zawahał się na chwilę.

— Palnikiem gazowym, ale o niezwyklej mocy. Dlatego przypuszczamy, że był to ktoś, kto świetnie zna się na chemii. Ten ktoś wyjął z szafy jedynie pański maszynopis i obydwie kopie, a resztę papierów, mniej ważnych, pozostawił w gabinecie.

— A wartownik? Spał czy co?

— Twierdzi, że nie. Obchodził w tym czasie gmach. W pewnej chwili dojrzał w oknie pracowni jakies przelotne światło, jakby błyskawicę, więc zawrócił i wszedł na górę. Nikogo już tam oczywiście nie zastał.

— Błysk światła? Przelotny? Panie pułkowniku, szafa jest zrobiona z metalu grubości chyba sześciu milimetrów, może nawet więcej. Żeby w niej palnikiem wyciąć otwór, potrzeba na to co najmniej dwudziestu minut. On spał.

— Nie rozcięto ścianek szafy. Wytopiono duży otwór w jej zamku.

— W zamku? — Straszewski osłupiał. — Ależ to... to absolutnie niemożliwe! Tam był wolfram, specjalna konstrukcja na moje zamówienie. Czy pan wie, jaka jest temperatura topnienia wolframu? — I nie czekając na odpowiedź, która dla Brezgi byłaby kłopotliwa, wyjaśnił: Trzy tysiące trzysta siedemdziesiąt stopni Celsjusza! Jak pan chce to osiągnąć palnikiem? W dodatku błyskawicznie?

Wzruszył ramionami. Nagle poblądł, zmarszczył brwi. Z trudem wykręcając na bok swoją zwiastą postać, odwrócił się w stronę oficera i patrząc mu prosto w oczy, spytał szepem:

— Naprawdę zamek został stopiony?

— Tak. We drzwiach też, ale to już mniejsza. Co pan o tym sądzi?

— Chciałbym zobaczyć ten zamek, a raczej to, co z niego zostało.

— Dobrze.

Przez resztę drogi docent milczał. Kiedy dojeżdżali już do śródmieścia Warszawy, odezwał się, jakby do siebie:

— Byłoby to możliwe tylko wtedy, gdyby zastosowano zupełnie inne urządzenie niż palnik.

— Na przykład, co?

— Na przykład kwantowy generator świetlny. Ale to jest praktycznie niemożliwe, w tej sytuacji.

— Co to jest, ten generator?

— Laser — mruknął Straszewski z roztargnieniem. — Taki skrót. Pierwsze litery angielskiej nazwy: Light Amplification by Stimulated Emission of Radiation. Po polsku: wzmacnianie za pomocą wymuszonej emisji promieniowania, w zakresie świetlnym dla lasera, a mikrofalowym dla masera. Jeżeli pan nie zna dobrze nowoczesnej fizyki, to pan nic z tego nie zrozumie.

Było to powiedziane z brutalną szczerością, Brezga jednak nie poczuł się dotknięty. Nie

znał się na elektronice kwantowej i nie wstydził się tego, to nie była jego dziedzina wiedzy. Ukończył Wydział Prawa, orientował się wcale dobrze w kryminalistyce, to było mu potrzebne w pracy zawodowej, a od innych spraw byli eksperci, człowiek nie jest omnibusem i nie powinien nim być. Od tego głowa puchnie.

Poprosił docenta o przyjscie do komendy nazajutrz rano, ale Straszewski nie chciał czekać, więc mimo późnej godziny Brezga postarał się o dostarczenie szczątków obu zamków do swego gabinetu w Pałacu Mostowskich. Przyniósł je któryś z oficerów laboratorium i z zaciekawieniem obserwował, jak Straszewski długo, dokładnie ogląda otwory. Poprosił o szkło powiększające, potem badał jeszcze zamek od szafy przez kilka minut, mruczając coś do siebie ze zdumieniem. Wreszcie odłożył lupę i potrząsnął głową, jakby nie wierzył własnym oczom.

Oficerowie patrzyli na niego z uwagą, czekając, co powie.

— Tam... jak jechaliśmy samochodem z lotniska — rzekł wreszcie, zwracając się do pułkownika — powiedziałem panu, że taki otwór w ciągu paru sekund, a może nawet i krócej, można by wypalić tylko laserem. Podtrzymuję to twierdzenie. Albo wartownik spał i człowiek, który to zrobił, miał wiele czasu na swoją czynność, a w dodatku dysponował niezwykle silnym palnikiem... ale musiała to być godzina, może półtorej. Albo też, co jest właściwie zupełnie niemożliwe, ten człowiek stopił zamek laserem. A to jest dlatego niemożliwe, że nie mamy w kraju laserów małych, stosunkowo lekkich, mam na myśli: łatwo przenośnych dla człowieka. W dodatku, musiałyby to być energia impulsu co najmniej kilkuset dżuli, a więc na przykład laser na baterie atomowe. Wątpię, czy coś takiego mają nawet w Stanach.

— W takim razie, laser odpada — rzekł pułkownik ze wzmożoną energią. Nie czułby się pewny, gdyby w grę wchodziło coś tak skomplikowanego. — Pozostaje palnik bardzo dużej mocy. I długi sen wartownika.

— Może mu wsypano coś do jedzenia czy do picia? — poddał laborant, który nie znał szczegółów sprawy.

Brezga zaprzeczył. Zbadano skrupulatnie resztki herbaty, pobrano wartownikowi krew do analizy, zresztą był, czy nie był środek nasenny, faktem jest, że wartownik *m u s i a ł* spać, jeżeli nie był w zмовie z przestępcą. Dlatego jeszcze tamtej nocy, właściwie ranka, został osadzony w areszcie śledczym, pod zarzutem niedopilnowania obowiązków służbowych, a co się okaże „w praniu”, to się dopiero zobaczy.

W tej chwili co innego zaprzętało pułkownika.

— Panie docencie — rzekł, ruchem głowy wysyłając laboranta z gabinetu — doszliśmy do wniosku, że chemikom w kraju praca pańska na nic by się nie przydała, jeżeli chodzi o wykorzystanie dla własnej sławy, pieniędzy i czy ja wiem czego. Wywiezienie lub przekazanie jej za granicę, jak pan twierdzi, byłoby o tyle bez materialnego pożytku, że na Zachodzie te rzeczy są już opracowane, chociaż innymi metodami. Tu zresztą mam trochę wątpliwości... może pańskie metody są korzystniejsze, ekonomiczniejsze?

— Ja sądzę, że tak, ale nie znam wszystkich innych.

— Założmy, że sprzedanie tego obcym firmom odpada. Ale w takim razie, co nam pozostaje? Kradzież bez sensu, bez celu? Tak skomplikowana i ryzykowna? A więc, wariat?

— Nie. Tego nie zrobił człowiek obłąkany, przeciwnie. Całość wygląda na świetnie zaplanowaną i zorganizowaną. Zresztą, mogło ich być kilku.

— Dobrze, ale po co? — powtórzył Brezga niecierpliwie.

— Nie wiem — odparł Straszewski, ze znużeniem w głosie. A potem dodał bez złości: — Widzi pan, ja jestem chemik, do mnie należy praca nad materiałami dielektrycznymi. A te rzeczy — wskazał ręką na zamki leżące na biurku — to już wasza dziedzina.

— Ma pan rację — odparł Brezga żywo. — Sądziłem jednak, że pan mi w tym pomoże. To nie jest zwykłe przestępstwo. Ono sięga bardzo głęboko, w środowisko uczonych, wynalazców, przepraszam... pańskich kolegów i znajomych. Nie chodzi tu o złodzieja, którego

moglibyśmy poszukiwać wśród elementu przestępczego, pan rozumie co mam na myśli.

— Owszem, rozumiem. Nie uchylam się od pomocy, w końcu to przecież ja tu jestem najbardziej poszkodowany. To mnie skradziono rzecz, której poświęciłem wiele miesięcy pracy. Ciężkiej pracy. Ale nie bardzo widzę, w czym mógłbym panu pomóc. Przecież nie wskażę palcem na kogoś chemika: to ten.

— Mówmy szczerze, nikogo pan nie podejrzewa o tę kradzież, obojętnie z jakich powodów by to zrobił?

Straszewski myślał przez chwilę, potem zaprzeczył niechętnym ruchem głowy.

— Nie. Nie mam żadnych podstaw, aby kogokolwiek o to posądzać.

— Pan jest ze mną szczerzy?

— Ależ tak. Nie mam nic do ukrywania.

— Czy poda mi pan nazwiska chemików, którzy pracują w podobnej dziedzinie? Tych, których, jak pan się przedtem wyraził, można policzyć na palcach?

— No, cóż... W końcu, to nie jest tajemnica, dowie się pan nie ode mnie, to od innych. Proszę, niech pan zapisze.

ROZDZIAŁ 2

Fortepian umilkł. Pianistka przez chwilę siedziała jeszcze bez ruchu, z rękami bezwładnie opuszczonymi w dół, jakby zasłuchana w ostatnie akordy. Ale zewsząd, ze wszystkich stron parku, dobiegły do niej owacyjne oklaski, najbliżej siedzący podnieśli się nawet z miejsc i podeszli do fortepianu, uśmiechając się życzliwie, serdecznie, ktoś położył na jej kolanach wiązanek kwiatów.

Więc szybko ocknęła się z zamyślenia, wstała, kłaniając się na prawo i lewo, to był już ostatni utwór i mogła iść do domu, czekały ją jeszcze wielogodzinne ćwiczenia mimo niedzieli. Rzadko kiedy pozwalała sobie na zupełny wypoczynek.

Ludzie w parku pod pomnikiem Szopena nie ruszali się jednak, dzień był piękny, ciepły, koniec sierpnia zapowiadał „złotą polską jesień”, co zresztą często się nie sprawdzało. Korzystali więc z resztek lata, opaleni, na ogół wypoczęci, koncert nastroił ich trochę rzewnie, a trochę łagodnie. Przyjemnie było patrzeć na ten tłum kolorowy, rozrzucony wśród kwietników i drzew, wyjątkowo spokojny jak na warszawiaków, i w tej chwili nastawiony życzliwie do całego świata.

— Pięknie grała, prawda? — spytała pani w jasnym kostiumie swego sąsiada z ławki.

— Tak — odparł z lekkim roztargnieniem. Szopen nie interesował go, przyszedł do Łazienek, żeby posiedzieć na powietrzu, i natrafił na koncert przypadkiem.

— Ma takie delikatne, a przecież mocne uderzenie — snuła dalej pani monotonnym głosem, rozdzielając trochę sylaby. To było nieznośne, wstał i odszedł cicho, a ona mówiła w dalszym ciągu, nie zauważywszy odejścia. Właściwie było jej wszystko jedno, czy ktoś słucha.

Cierpliwie wymijając mnóstwo dzieci, dziewczyny w kusych spódniczkach, siwowłose małżeństwa i cały ten tłum niedzielny, przeszedł do Belwederu, skręcił w dół, nad staw, potem jeszcze dalej, aż do kawiarni pod dębami czy kasztanami, nigdy nie przyglądał się tym drzewom, ale lubił kawiarnię, jej półcień nad stolikami, ciemnozielony w słońcu, zapach kawy nie zmieszany z normalnym zaduchem lokali gastronomicznych i spalin dolatujących z ulicy. Nawet papieros smakował tu lepiej.

Wszystkie stoliki na dworze były jednak zajęte, dojrzał tylko jeden wolny na tarasie, więc zawrócił, obszedł budynek dokoła, wejście było od tyłu. Przeszedł przez salę, w której kilka osób wpatrywało się cierpliwie w ekran telewizora, czekając, aż zakończy się reportaż z

budowy jakiejś drogi w jakiejś wsi, potem miał być film — usiadł na tarasie, zamówił kawę, śmietankę i wodę mineralną. W cukiernicze znalazł osy, może zresztą były to pszczoły, kelnerka wygarnęła je łyżeczką, pofrunęły ociężałe, miały słodkie skrzydełka.

— Witam inżyniera — usłyszał, zagłębiony w studiowaniu „Życia Warszawy”. Podniósł głowę. Za barierki tarasu stał jego znajomy, wyraźnie szukał wolnego miejsca. Nie było rady. Uśmiechnął się, zapraszającym gestem pokazał krzeselko obok siebie. Tamten radośnie pokiwał głową i znikł za budynkiem, aby po chwili znaleźć się koło niego przy stoliku.

— Myślałem, że pan za granicą — rzekł znajomy, rozpinając pod szyją kołnierzyk kraciastej koszuli. Był bez marynarki, opalona łysina połyskiwała brązowo nad ciemnymi okularami.

— Już byłem — odparł, dolewając śmietankę do kawy.

— Gdzie?

— We Włoszech.

— Fiu, to pięknie! A ja nad polskim morzem. Chłodniej, ale taniej. Lubię Ustkę, chociaż tam zwykle najniższa temperatura. Bardzo ładne miasteczko. W tym roku otworzyli nową kawiarnię — roześmiał się — słowo daję, jak to my dzisiaj... gdziekolwiek się znajdziemy, zaraz szukamy kawiarni.

— Warszawskie przyzwyczajenie — rzekł, aby coś powiedzieć.

— Pewnie. — Znajomy rozejrzał się, pokiwał głową. — Odkąd ten lokal został wydzierżawiony agentowi, nie przynosi jak przedtem deficytu, tylko zupełnie niezły zysk. A przecież tu jest dużo kelnerek i on musi im nieźle płacić... — Zamyślił się.

— Może i pan się skusi na coś takiego? — zażartował.

— E! - tamten wrzucił ramionami. — Za dużo roboty. Wie pan, podobno docent Straszewski zrezygnował z odtworzenia tej pracy, którą mu skradziono. Słyszał pan o tym?

— Nie — odparł niedbale. — Dlaczego?

— Ktoś mi mówił, że przepadły wszystkie kopie i brudnopis, że w notatkach miał za mało danych na szybkie opracowanie na nowo, i szkoda mu teraz czasu, żeby zaczynać wszystko od początku. Swoją drogą, dziwna historia, nie? Jak pan myśli, kto to mógł zrobić?

— Nie mam pojęcia. Może szpieg?

— Pan żartuje - znajomy zniechęcił się nagle. Dopił swojej kawy, zapłacił, pożegnał się chłodno.

Wstał od stolika w kwadrans po nim, przeszedł powoli przez Łazienki do Alei Ujazdowskich, gdzie miał zaparkowany samochód. Ciemnoszary opel-record 1700, długi, lśniący lakierem, prowadzony pewną ręką, cicho sunął po asfalcie.

Wjechał na szosę wilanowską, przyśpieszył. Miał przed sobą blisko godzinę jazdy, nocą byłoby mniej, ale teraz szosa pełna była pojazdów, musiał jechać ostrożnie. „Nie uderzyć i nie dać się uderzyć” — taką miał zasadę, przy czym to drugie sprawiało dużo więcej kłopotu, za siebie odpowiadał, za tamtych nie, polegać mógł jedynie na swoim błyskawicznym refleksie i zimnej krwi.

Dochodziło wpół do czwartej, kiedy skręcił w lewo i zagłębił się w las. Tutaj droga była pusta, nie prowadziła do żadnej wsi ani miasta, chodziły nią czasem dzieci, teraz jednak nie było nikogo. Opony zagłębiły się w miękkim piachu, o przednią szybę uderzył jakiś owad, upadł martwy na maskę i stoczył się na bok.

Jakiś czas jechał tą drogą, potem znowu skręcił, młode świerki stały teraz gęsto po obu stronach, ten las był sadzony już po wojnie. Poprzez szum motoru usłyszał dalekie szczekanie psa. Z nagłą wóz wydobył się na otwartą przestrzeń, była to spora polanka, a na niej zabudowania gospodarskie. Spomiędzy domów wybiegły dwa psy i z głośnym ujadaniem rzuciły się w stronę samochodu, ale zaraz umilkły, poznały swego.

Postawił opła z boku, pomiędzy budynkami, jego kolor dobrze stapiał się z wyszarzałą barwą ścian i ginął w oczach. Z mieszkalnego domu wyszedł jakiś mężczyzna w wysokich

butach, pozdrowił przybyłego z wyraźną, trochę nieprzyjemną unізonością i czekał, jakby na polecenia.

Podszedł do niego, przywitał się, poczęstował papierosem.

— Co tu słyszeć? - spytał, rozglądając się dokoła.

— A nic. Wszystko w porządku, panie inżynierze. Cisza, spokój.

— Ze wsi ktoś przychodził? Pytał o co?

— Nie. Co im tam... Nie mają do mnie interesu.

— Dobrze. Ma pan coś do zjedzenia?

— Znajdzie się. A co by pan inżynier zjadł? Może jajka usmażyć? Jest chleb, masło, zsiadłe mleko. Może upiec kuraka, ale to by trochę potrwało. Chyba że pan się nie śpieszy — patrzył wyczekująco.

— Wystarczy jajka. Nie mam dużo czasu.

Weszli do domu. Gospodarz zniknął w kuchni, gościnnie otwierając przed przybyszem drzwi do pokoju. Stał tam stół, nakryty lnianą serwetą, łóżko wysoko zasłane, parę krzesełek, szafa, kredens. Jeden z psów wpadł zziębnięty do pokoju, skoczył mu do ręki, polizał, a uciszony skulił się pod stołem, czekając na poczęstunek, ale gospodarz wypędził go stamtąd lekkim kopnięciem.

Po posiłku wypalili papierosa, po czym inżynier wstał, zapłacił za jedzenie, choć tamten wzdragał się, ale przyjął pieniądze ze źle ukrywanym zadowoleniem. Potem pożegnał się i już nie wychodził z domu, zajęty swoimi sprawami.

Inżynier skręcił w stronę obory, gdzie stał przyczajony opel, minął niewielką stodołę i zatrzymał się przed niskim, prawie ziemi sięgającym budyneczkiem, coś jakby magazyn na narzędzia gospodarskie albo mały warsztat. Wyjął z kieszeni pęk kluczy, wybrał dwa o oryginalnym kształcie, włożył w zamek i przekręcił jednocześnie obu rękami. Drzwi uchyliły się bez szmeru, widać doskonale naoliwione. Tuż za nimi wąskie schodki biegnęły w dół, na głębokość jednego piętra.

Dalej znowu były drzwi. Otworzył je innym, pojedynczym kluczem i wszedł do środka. Byстрым wzrokiem badał przez parę chwil wnętrze pomieszczenia, w którym się znajdował, sprawdzając, czy coś się tu nie zmieniło od jego ostatniej bytności. Wreszcie uspokojony sięgnął do wieszaka i zdjął z niego ciemnogranatowy kombinezon roboczy, przebrał się, na ręce wciągnął gładko przylegające, gumowe rękawiczki.

Potem zbliżył się do metalowego stołu, długiego na kilka metrów, zastawionego aparaturą i przyrządami pomiarowymi. Miał trochę nowej roboty, chciał się z nią uporać w ciągu najbliższych paru tygodni. Podszedł do ściany, włączył dynamo.

Tak. Ale przedtem jeszcze czekało go inne, bardzo przyjemne zajęcie. Już od dawna miał to zrobić, wciąż jednak zwlekał, odkładanie przyjemności na później miało w sobie wszystkie cechy samoudręczenia, połączone z jakąś trudną do określenia rozkoszą.

Postanowił jednak, że dzisiaj to zrobi. Z żelaznej szafy, którą otworzył innymi, też podwójnymi kluczami, wyjął gruby maszynopis, ze stronami pełnymi wykresów, obliczeń i znaków chemicznych. Przez dobrą chwilę przyglądał mu się w zadumie. Jego pociągła twarz o ostrych, suchych rysach i trochę zapadniętych policzkach miała teraz wyraz ogromnego zadowolenia.

„A może?...” — zastanawiał się chwilę, marszcząc czoło pofałdowane zmarszczkami. Potem stanowczo potrząsnął głową. Nie. Po co? Zresztą, pozostawienie maszynopisu było mimo wszystko ryzykowne.

Przez chwilę rozglądał się dokoła, jakby szukał najlepszego sposobu, aby uczynić to, co zamierzał. Wtedy lekki uśmiech przewinął mu się przez wargi. No cóż... pogrzeb będzie piękny. Z honorami. Najwyższymi, na jakie go stać.

Położył maszynopis na stole i wziął do rąk sporej wielkości aparat, mogło to być coś w rodzaju mikroobrabiarki przedziwnego kształtu, ale nie musiało być zbyt ciężkie, w każdym

razie inżynier bez większego wysiłku oddalił się z nim kilka kroków od stołu.

„Okulary...” — przypomniał sobie. Ale nie chciało mu się odstawić aparatu, zresztą mikronowe ułamki sekundy nie mogły mieć większego znaczenia. Wiedział co prawda, że wpływ tego światła, w ultrafiolecie, może mieć nieobliczalne skutki dla wzroku, przede wszystkim dla rogówki i soczewki oka, ale przecież teraz jego aparat miał mieć do czynienia z papierem, nie z metalem, i wystarczy energia jednego dżuła, no, może dwóch, nie więcej, a błysk potrwa milisekundę.

Potem uruchomił aparat. Świetlista wiązka promieni — tak przelotna, że jego oczy nawet nie zdążyły jej zarejestrować — pozostawiła w maszynopisie maleńką, prawie niewidoczną dziurkę na wylot.

— To jest śmierć - powiedział z triumfującym uśmiechem, odkładając aparat na specjalny, mniejszy stół. Dotknął palcami wypalonego otworu i przymknął oczy. Wyobraził sobie nagle tak przewierconą nagą czaszkę ludzką, spopielały mózg, martwe tkanki, raz na zawsze pozbawione możliwości tworzenia...

Tak, ale to nie było potrzebne. Stokroć lepiej zniszczyć dzieło niż jego twórcę, od dawna wykalkulował to sobie na zimno, z wrodzoną mu logiką i wyrachowaniem. Uderzenie jest wtedy celniejsze, o wiele dotkliwsze. Ginie owoc wieloletniej pracy, przepada często na zawsze, bo jego twórcy nie starcza już sił na zaczynanie wszystkiego od początku.

Otworzył maszynopis na którejś stronie, rozwichrzył kartki, żeby miały dostęp tlenu, i położył zapaloną zapałkę. Patrzył długo, jak płomień z wolna ogarnia stronę po stronie, jak papier czernieje, skręca się niby w bólu, wreszcie szarzeje i rozsypuje w pył, z którego nikt już nic nie odczyta.

Popiół zgarnął starannie do plastikowego woreczka, wsunął do kieszeni. Potem zabrał się do swoich obliczeń i prób. Pracował długo, dochodziła ósma wieczorem, kiedy zamknął starannie drzwi budyneczku podziemnego laboratorium i wyprowadził opla na podwórze. Gospodarz spieszenie wyszedł przed dom, przecierając oczy, widać położył już się spać. Inżynier pożegnał go krótko, obojętnie, nakazując jak zwykle, aby w razie czego zawiadomił go telefonicznie o każdym fakcie, który mógłby wzbudzić zaniepokojenie.

Kiedy był już w lesie, zatrzymał wóz, wyjął z kieszeni plastikowy woreczek i wysypał jego zawartość w gęstą, pożółkłą trawę. Poczul wtedy rozpiejącą go, jedyną w swoim rodzaju, radość. Ruszył z miejsca, na szosie poderwał samochód niecierpliwie, była teraz prawie pusta i mógł pozwolić sobie na szybszą jazdę.

W Warszawie pojechał od razu na Mokotów, zaparkował opla na podwórzu; garaże w jego domu dopiero zaczęto budować, osiedle liczyło sobie chyba ze dwanaście lat, nie przewidziano wówczas burzliwego rozwoju motoryzacji.

W mieszkaniu przyszykował sobie kolację, a potem do północy pracował, sięgając czasami do półek bibliotecznych, gęsto upchanych książkami. Były tam i jego własne.

*

Od samego rana lał deszcz, pogoda wyraźnie się popsowała. Niebo zaciągnięte było chmurami dokładnie i bez jednej fałdy, jak wyprasowana szara firanka, nie wróżyło to poprawy na najbliższe godziny.

— A tamta niedziela była taka śliczna — westchnął wywiadowca ze śródmieścia, zabierając się do śniadania.

— Może się przetrze — powiedziała jego żona i trzepnęła po rękę syna, który wsadził palec w dżem. — Długo musisz być na tej giełdzie?

— Do szesnastej, jak zwykle. Normalna służba. Mają być też z San-Epidu... umilkł, poderwał się do telefonu. Kiedy wracał, spojrzała na niego wyczekująco, może odwołał akcję, ale nie, to dzwonił kolega, że nie przyjdzie.

— Dlaczego? Chory?

— Nie, dziadek mu wyszedł.
— Dziadek? zdziwiła się. — I co, zginął?
— Dziadek zginął pół roku temu, a teraz wyszedł — tłumaczył z pełnymi ustami, myśląc o czymś innym.
— Ty masz źle w głowie — powiedziała surowo.
— Bo co? — ocknął się, spojrzawszy na nią pytająco. — Bardzo dobrze, że wyszedł. No, nie rozumiesz? Sprawa zabójstwa tego dziadka na Targowej nareszcie wyszła, sprawcy się znaleźli. Tak ci muszę tłumaczyć, jakbyś nie była żoną milicjanta.
— A, ja tam się na tym nie znam — wzruszyła ramionami. — Milicjanta nie milicjanta, a ty się pośpiesz, Znowu? — krzyknęła na syna, który korzystając z nieuwagi wsadził w słoik rękę.

Wywiadowca włożył nieprzemakalny płaszcz, kapelusza nie uznawał, choćby lało mu się na głowę, zresztą deszcz się trochę zmniejszył, siąpiło teraz monotennie i nudno.

Mimo złej pogody, na Dzikiej stało już kilkadziesiąt samochodów. Kręcili się koło nich jacyś nieważni amatorzy czterech kółek, tacy od oglądania, prawdziwe interesy miały się zacząć dopiero w południe. Dzielnicy w mundurach spoglądali to na niebo, to na ulicznych handlarzy z kiełbasą, bułkami i piwem. Handlarze udawali, że ich nie widzą, mimo wczesnej godziny ludzie coraz częściej kupowali to i owo, może przyszli tu bez śniadania, towaru ubywało, a pieniędzy przybywało, tak być powinno i tak zawsze było na giełdzie.

Po jedenastej, kiedy samochodów i motocykli stało już chyba paręset, szczupły, niewysoki mężczyzna w granatowym ortalionie zatrzymał się obok jednego moskwicza i przyglądał mu się okiem fachowca. Właściciel czas jakiś obserwował go obojętnie, potem mu się znudziło, wyszedł z wozu i zagadał. Mężczyzna w ortalionie wdał się z nim w dłuższą rozmowę, z której po chwili wynikało, że moskwicz jest dla niego za drogi, ale rozmowa nie urwała się, bo obaj byli rozmiłowani w motoryzacji i dobrze im się o tym gawędziło.

Wreszcie niedoszły klient pożegnał się i odszedł. Kiedy przystanął trochę z boku, aby zapalić, ktoś podsunął mu ogień. Spojrzawszy na twarz, podziękował z uśmiechem.

— Kapitan w charakterze nabywcy? — spytał ten z zapalniczką, błędząc oczami po tłumie. Oczywiście miał nieduże, bystre, czujne. — Ten moskwicz całkiem do rzeczy, ale Granowski tanio nie sprzedaje.

— Znacie go?

— Tak, to stary handlarz samochodowy. Zresztą, uczynny gość, ma warsztat i chętnie pomoże, jak coś nawali w gablocie. On teraz ma renaulta, kupił za granicą i przytargał, to tego moskwicza chce opylić.

Mężczyzna w ortalionowym płaszczu przyglądał ręką swoje jasne, prawie białe włosy, dobrze kontrastujące ze śniadą cerą. Nagle wzrok jego napotkał coś, co ożywiło spokój czarnych, wąskich oczu. Bokiem jezdni, prawymi kołami na chodniku, posuwał się cicho po mokrym asfalcie długi, ciemnoszary opel-record 1700.

Wywiadowca także spojrzawszy w tę stronę.

— Dobry wózek, co? — powiedział z uznaniem. — Taki by sobie kapitan kupił.

— Nie na moją kieszeń. Nie wiecie, czyj to?

— Jakiegoś inżyniera czy profesora. Chyba inżyniera.

— To może być razem — uśmiechnął się kapitan Szczęsny.

— No, tak. Mieszka gdzieś na Mokotowie. Ale on tego wozu nie sprzedaje. Pewnie przyjechał szukać części. — Dojrzał przynaglający wzrok swego kolegi, który pracował w tłumie, pożegnał śpiesznie kapitana i znikł.

Szczęsny ciągle obserwował szarego opla, oceniając w myśli jego zalety i wady. „Wadą — rozmyślał — jest przede wszystkim cena. No, dla mnie byłby zbyt rzucający się w oczy. Ale zryw musi mieć pierwsza klasa. I sto pięćdziesiąt, może sto osiemdziesiąt wyciąga bez oporu. Silnik pewnie z osiem cylindrów... Ech, szkoda marzyć.”

Opel zatrzymał się, było już tak ciasno, że nie dało się przejechać. Kapitan bezwiednie zaczął iść w tamtym kierunku. Przystanął pod drzewem, był teraz z tyłu za wozem. Właściciel wysiadł nie zatrzymując drzwiczek, widać szukał tylko możliwości przejazdu. Wdał się w rozmowę z kierowcami sąsiednich pojazdów, machnął ręką niecierpliwie. Potem odwrócił się i Szczęśny napotkał jego wzrok.

Inżynier miał chudą twarz, lekko opaloną, oczy jakby wyblakłe i zaczerwienione, wyglądało, że ma zapalenie spojówek albo coś w tym rodzaju.

Szczęśny zbliżył się dwa kroki, chciał obejrzeć opła z bliska.

— Nie może pan przejechać? — zagadnął. — Trzeba było z tamtej strony — pokazał ręką.

— Tak — odparł tamten. — Zagapiłem się i utknąłem.

— Chyba nie sprzedaje pan swego opła? Taki piękny wóz.

— Podoba się panu? — Ciężki uśmiech rozchylił mu wąskie wargi. — Nie, nie sprzedaję. Lubię go. Właściwie, to chciałem tu znaleźć świece. Nie wie pan przypadkiem, kto by je miał?

Kapitan nie wiedział, ale przyszło mu na myśl to, czego dowiedział się od wywiadowcy.

— Niech pan zapyta Granowskiego, właściciela warsztatu. Podobno obrotny gość. Był tu, takim jasnoniebieskim moskwiczem. Nie wiem, gdzie jest jego warsztat, ale pewnie znajdzie pan adres w książce telefonicznej.

— Dziękuję.

Inżynier wyciągnął paczkę carmenów, poczęstował, zapalili.

— Dużo pan już nim przejechał? — Szczęśny wskazał oczami na opła.

— Nie. Około dwudziestu tysięcy.

Dym wszedł mu pod powieki, za łzawił oczy. Przetarł je chusteczką, zaciągnął się jeszcze parę razy i zdeptał niedopałek.

— Co pan ma z tymi oczami? — spytał kapitan mimo woli. — Jakies zapalenie?

Zdumiał go ostry, gniewny błysk we wzroku inżyniera. Nie odpowiedział, kiwnął mu tylko głową i wszedł do samochodu. Na chwilę przerzedziło się na jezdni, opel ruszył z miejsca, po paru sekundach znikł między pojazdami.

Szczęśny, trochę zażenowany, przecisnął się na chodnik po drugiej stronie ulicy. Milicjanci mundurowi, wraz z lekarzem stacji Sanitarno-Epidemiologicznej, kończyli z energią likwidację knajpy w prywatnym mieszkaniu jakiegoś alkoholika. W jednej, ciasnej izbie mieściły się tu zgodnie: sypialnia, kuchnia i jadalnia, pęta kielbasy zwiślały z wieszaka obok brudnej ścierki, a chleb przechowywano między butami i bielizną. Ale klientom to nie przeszkadzało, jedli tę kielbasę i ten chleb, pili piwo z nie mytych kuflów, bo w izbie nie było zlewu ani ciepłej wody.

— Człowiek nie świnia, wszystko zeżre — powiedziała melancholijnie jedna z kobiet, obserwując z zaciekawieniem lekarza, który z grymasem na ustach oglądał brudne talerze.

— Jeszcze po moich obiadach nikt nie umarł! — wykrzyknęła gniewnie żona knajpiarza. — A po państwowych ludzie chorują.

— Cicho bądź, kobieto, bo cię zamkną — upominał ją mąż, doświadczony w tych sprawach. Przed godziną sprzedał oficerowi milicji po cywilnemu paczkę sportów za cztery złote i pięćdziesiąt groszy, co już było jawnym wykroczeniem. „Cholera by go wzięła — myślał, zdumiony i rozżalony — skąd mogłem wiedzieć, taki siwy, starszy, grzeczny pan pod parasolem, a tu nagle glina...”

Południe minęło, Szczęśny poczuł, że jest głodny, więc wrócił do komendy, zjadł obiad w kasynie, a że się wypogodziło, przebrał się w domu i pojechał na plażę. Piasek był już suchy, słońce przygrzewało mocno, zewsząd ściągali ludzie z kocami, ręcznikami, aby wykorzystać resztę niedzieli, która zaczęła się tak niefortunnie. Opalał się długo, potem popływał i znowu ułożył się na piasku, przymykając oczy. Dobrze było tak leżeć, nie myśląc o niczym,

mało miał takich godzin.

Z półdrzemki obudził go porucznik Kręglewski, który nudził się samotnie, bo żonę i dzieci wysłał na wakacje.

— Śpisz? — spytał, nie czekając odpowiedzi, wyciągnął się na kocu, zapalił. — Wczoraj Andrzej opowiadał mi szczegóły tej kradzieży w Instytucie Chemii. Wiesz, tej na początku lipca.

— Mhm — mruknął Szczęsny, nie otwierając oczu.

— Dziwna historia. Kto to mógł zrobić, jak myślisz?

— Nie myślę. Nie moja sprawa.

— Wiem, że nie twoja ani moja, bo to zabór mienia, ale tak sobie o tym rozmawialiśmy z Andrzejem. Słuchaj, laserem można zabić człowieka.

— I co z tego? Kijem też można.

— Taka igła świetlna... Cholera, dziura w czaszce, ledwie ją widać i trup. A potem szukaj sprawcy.

— Przystaniesz? — Szczęsny był zły. Takie rozmowy mogły wywołać wilka z lasu. — Trzy tygodnie nie było żadnego zabójstwa, już cię coś swędzi? Masz dwa nie wykryte na swoim koncie, jeżeli wolno ci przypomnieć. I to nie żadnym laserem, ale zwykłym, bandyckim nożem.

— No, dobra — Kręglewski umilkł. Nie obraził się, wiedział, że tamten nie chce „kusić złego”, on też tego nie chciał. Pracowali w wydziale zabójstw, oni dwaj i Andrzej, i porucznik Łomnicki, cały wydział liczył siedem osób, a roboty czasem jak dla dwudziestu.

Jakiś czas leżeli w milczeniu, ale Kręglewski długo nie wytrzymał.

— Słuchaj, już nie mówię o zabójstwie, ale czy takie promienie laserowe mogą oślepić?

— Chyba mogą. Nie wiem. Zdaje się, że są lasery widzialne i niewidzialne. Poczytaj sobie fizykę.

— Jak ktoś się przy tym grzebie, to w końcu chyba oślepie — ciągnął porucznik sennym głosem.

— Mają pewnie jakieś okulary ochronne. Kto robi tę sprawę?

— Brezga. I mnóstwo ludzi, łącznie z dzielnicą.

— Są już jakieś wyniki?

— Zdaje się, że nie.

Szczęsny położył się na brzuchu, oparł głowę na rękach. Słońce smażyło mu plecy, był już opalony na brąz, ale chciał tę brązowość utrwalić i zatrzymać do następnego lata. Zazwyczaj mu się to udawało.

Mimo woli zaczął rozmyślać o kradzieży w Instytucie Chemii. Dlaczego Kręglewski wspominał o laserze? Aha, te stopione zamki. Oczywiście, nie laserem. Jakiś palnik. Pewnie, że jak ktoś pracuje w kręgu takich promieni, to może oślepnąć. Na pewno w laboratoriach zakładają ochronne okulary. Ciekawe, czy to mogą być zwyczajnie ciemne, takie od słońca, czy też jakieś specjalne. Był kiedyś w Wojskowej Akademii Technicznej i widział laser rubinowy, ale nie mógł sobie teraz przypomnieć, czy tamci inżynierowie mieli na oczach ciemne okulary.

— Taka dziura w czaszce mogłaby być zupełnie niewidoczna — odezwał się nagle. — Wyszłoby to dopiero na sekcji.

Spojrzał na Kręglewskiego, tamten miał oczy otwarte, uśmiechał się drwiąco.

— Co jest? — zniecierpliwził się, a potem mu się przypomniało, że mieli nie rozmawiać o zabójstwie, ale to było na nic, zawsze, jak się zeszli we dwóch czy trzech, o czym by nie była rozmowa, schodziła w końcu na sprawy zawodowe.

— Zwoje mózgowie przepalone... kto wie, może człowiek by wyżył? — powiedział Kręglewski w zadumie. — Jakaś błyskawiczna operacja czaszki. Tak, ale lekarz by nie wiedział, co się stało, jeżeli nie znalazłby takiego mikroskopijnego otworu, więc kto by posłał faceta na

operację?

— Skóra musi być wtedy w tym miejscu osmalona.

— Nie — sprzeciwił się. — Przy tak małym otworze? Nic byś nie dojrzał. Lekarz też nie.

— Nieprawda! Musi być osmalenie wlotu igły świetlnej.

Sprzecjali się przez dłuższą chwilę, wreszcie Szczęsny rzekł zrezygnowany:

— Nikt tego jeszcze nie widział, więc cała dyskusja jest do chrzanu.

— Może się poświęcisz, dla dobra kolegów? Mielibyśmy pierwszy przypadek w dziejach ludzkości. Komenda Główna pośmiertnie da ci order, a twój portret powieszą w hallu Pałacu Mostowskich.

— Pamiętaj, że wtedy byłoby was sześciu w wydziale i miałbyś częściej dyżury.

— Ale zająłbym twoje biurko — odparł Kręglewski bezwstydnie, odwracając się na plecy, bo coś go w bok uwierało. Wyjął spod siebie zgnicioną w piasku bułkę i zaklął.

*

Okulista kazał mu usiąść na małym, okrągłym krzeselku, a sam umieścił się naprzeciw, dotykając go kolanami. Pachniał mydłem i jakąś wodą kolońską, zapach jej przypominał inżynierowi coś gorzkiego, ale nie mógł go z niczym skojarzyć.

— Dawno pan to ma? — spytał lekarz, zapuszczając mu krople do prawego oka.

— To zaczerwienienie? Od... chyba od tygodnia, może trochę więcej.

Krople wpadły do lewego oka.

— Proszę nie wycierać — powiedział okulista, widząc chusteczkę w jego ręku. — Zaraz przestanie szczytać. Czy pan pracuje w bardzo ostrym świetle?

Zawahał się przez chwilę.

— Siedziałem na plaży bez ciemnych okularów — odparł — i to chyba z tego.

— Bardzo nierozsądnie. Pan ma w ogóle słabe oczy, trzeba je oszczędzać.

— Tak, wiem.

Lekarz przyglądał mu się uważnie. „Na słońcu siedział i zupełnie nie opalony. Dziwny facet.” A głośno powiedział:

— Ostre zapalenie spojówek. Zapiszę panu krople. Inne niż te, które wpuściłem. I maść, antybiotyk. Będzie pan nakładał pod dolną powiekę taką szklaną pałeczką, maleńką ilość.

— Nie wiem, czy potrafię. Wolałbym tylko krople.

— No, wprowadzie to nie zastąpi, ale jak pan uważa. W ten sposób jednak kuracja będzie trwała dłużej. I proszę nie wychodzić na słońce bez ciemnych okularów. Sto złotych.

Zapłacił; pożegnał się. Na schodach pomyślał, że jak na prywatną poradę, nie było to dużo. Któryś ze znanych specjalistów wziąłby dwieście, badał dłużej, może wyleczył radykalnie. Tak, ale do znanego lekarza nie chciał iść, nie mógł ryzykować. Tacy zwykle zapisują adres, nazwisko, naturalnie mógł podać pierwsze z brzegu, zaczęłyby się jednak komplikacje, a tego wolał uniknąć. Oczy muszą być wyleczone do końca urlopu, będzie chodził w ciemnych okularach, zapuszczał krople, oszczędzał wzrok.

Opla zostawił na strzeżonym parkingu, w tej części Pragi poruszał się niezbyt pewnie i wolał nie narażać się na kradzież wozu. Okulary kupił w najbliższym sklepie, były dość ciemne i światło przestało go razić. Potem zaszedł do apteki. Farmaceutka spytała, czy ma zakraplacz, był gdzieś w domu, ale na wszelki wypadek wziął, krople otrzymał gotowe, więc nie trzeba było przyjeżdżać drugi raz.

Kiedy podchodził do samochodu, z drugiego wozu ktoś wesoło pomachał mu ręką. Był to jeden z profesorów Politechniki Wrocławskiej, poznali się na jakimś zjeździe, mieszkali nawet w tym samym hotelu i chodzili wspólnie na kolacje.

— Co słychać, panie Ryszardzie? — pytał wrocławianin, wychylając się przez opuszczoną szybę. — Nie wybiera się pan w moje strony?

— Na razie nie — odparł. Podszedł bliżej, przywitali się. Profesor wracał przez Warszawę z urlopu na Krymie, porozmawiali trochę o Jałcie i Ałuszcie, które inżynier znał z wycieczki.

— A wie pan, doktor Mikolc kończy już swoją pracę o modulacji światła laserowego — rzekł profesor w pewnej chwili. — Zna pan Mikolca?

— Nie. To z Politechniki?

— On był u nas, ale niedawno przeszedł do Ośrodka Elektroniki w Warszawie. Wstąpiłem do niego wczoraj i właśnie mi mówił o tej pracy. Chodzi o modulację amplitudy, kryształ KDP i tak dalej. Ale na mnie czas. Do widzenia, inżynierze. A niech pan się wybierze do Wrocławia.

— Do widzenia. Może kiedyś przyjadę.

ROZDZIAŁ 3

Dochodziła dziesiąta wieczór, kiedy zdecydował się. Wyciągnął rękę po słuchawkę, nakręcił numer. Chwilę czekał, potem usłyszał krótkie, niecierpliwe: Halo!

— Przepraszam bardzo, że dzwonię o tak późnej porze — odezwał się płynną angielszczyzną — czy mógłbym mówić z doktorem inżynierem Stanisławem Mikolcem?

Imię wymówił z trudem, a nazwisko przekreślił: Majkolc, tamten jednak zrozumiał.

— Jestem przy telefonie — odpowiedział poprawnie w tym samym języku. — Kto mówi?

— Tutaj profesor Raoul Charrigan z Londynu. Jestem fizykiem, pracuję w tej dziedzinie co i pan i gdyby zechciał mi pan poświęcić pół godziny rozmowy, byłbym zaszczycony.

— Ale... czy pan — doktor zająknął się z wrażenia — Skąd pan profesor zna w ogóle moje nazwisko?

Roześmiał się, wypadło to bardzo naturalnie.

— Zapewniam pana, doktorze Mikolc, że pańskie osiągnięcia w kwestii modulacji światła laserowego znane są nie tylko w Polsce — dodał uprzejmie. — Zresztą, pamiętam pana poprzednią pracę o jonach chromu w rubinie, jeżeli się nie mylę... — zawiesił głos.

— Rzeczywiście doktor był zmieszany i uradowany — jak to dotarło do Anglii?

— Było przecież publikowane w jednym z waszych pism technicznych, nie pamiętam nazwy. U nas się te rzeczy śledzi i często przedrukowuje. Pańska praca jest ogromnie interesująca. Szkoda, że nie był pan dotychczas w Królewskim Instytucie Elektroniki Kwantowej. Ja tam pracuję.

— Tak się złożyło, że nie odwiedziłem jeszcze Anglii. Byłem w Paryżu i w Niemczech. Czy pan profesor nie zechciałby po prostu wstąpić do mnie do domu, zamiast spotykać się w kawiarni? Wprawdzie moja rodzina jeszcze na urlopie, ale umiem zaparzyć dobrą kawę albo herbatę, mam prawdziwą angielską — dodał szybko, przypominając sobie tamtejsze zwyczaje.

— Serdecznie dziękuję, ale tak się składa, że muszę w hotelu czekać na telefon z kraju i niestety nie mogę opuścić budynku. Zapraszam więc pana do siebie — uśmiechnął się. — Mam pokój w tym... jakże się nazywa? Grandzie — wymówił to słowo źle po polsku.

— Aha, na Kruczej. W Grand-Hotelu, wiem. W takim razie — Mikolc spojrział na zegarek — jeżeli pan pozwoli, to będę tam za... („muszę się przebrać” — pomyślał) — za piętnaście, najdalej dwadzieścia minut, mam samochód na dole. Gdzie mam się zgłosić?

— Może w kawiarni, bo w pokoju — zawahał się, chrząknął — będę tu rozmawiał z Instytutem, pan rozumie...

„Nie ma do mnie zaufania pomyślał Mikolc. No cóż, ja na jego miejscu też bym nie

miął.”

— Doskonale, przyjdę do kawiarni. Zaraz, ale jak my się poznamy?

— Niech pan siądzie przy stoliku, ja panu poznam. Pańskie zdjęcie było u nas zamieszczone razem z pracą o jonach, mam je zresztą przy sobie, wyciąłem z gazety, bo chciałem się z panem zobaczyć. Tak się nieszczęśliwie składa, że jutro rano odlatuję, jeszcze raz więc przepraszam, że wyciągam pana z domu o takiej godzinie.

— Ależ nic nie szkodzi. Ja nie spałem, pracowałem jeszcze.

— Może właśnie nad modulacją amplitudy?

— Tak. Już prawie skończyłem.

— Doskonale, gratuluję. Więc za dwadzieścia minut, powiedzmy dla pewności za pół godziny, w hotelowej kawiarni. Do zobaczenia.

Tamten chciał chyba jeszcze coś powiedzieć, ale nie miało sensu ciągnąć tego dalej. Odłożył słuchawkę na widelki, zerwał się z miejsca, wszystko było przygotowane, pozostało jedynie wziąć aparat, zamknąć drzwi zejść na dół, do samochodu.

Szary opel przemykał ulicami z wizgiem opon na zakrętach. Trzeba było się śpieszyć. „Jest teraz dwadzieścia dwie po dziesiątej. Mikolc ma być w kawiarni pięć albo dziesięć po wpół do jedenastej. Wejdzie, nie, najpierw zaparkuje swój samochód, to trochę potrwa, potem wejdzie, chyba będzie miał płaszcz, bo zimno na dworze, koniec września. Więc najpierw skieruje się do szatni, odda płaszcz, weźmie numerek... powiedzmy, razem z parkowaniem siedem minut. Nie, za długo, lepiej liczyć mniej. Niech będzie pięć. Czyli, za kwadrans jedenasta Mikolc znajdzie się w kawiarni, najpierw przejdzie całą salę tam i z powrotem, żebym go zobaczył, jeżeli już jestem. Będzie starał się pokazać, zajrzy w każdy kąt, potem pomyśli, że trzeba poszukać wolnego stolika, ale tam o to nie jest łatwo, może zwróci się do kelnerki, może zresztą znajdzie od razu. Usiądzie, spojrzy na zegarek. Będzie czekał. Jedenasta. Potem pomyśli, że może ja teraz właśnie rozmawiam z Londynem. Zamówi kawę. Będzie czekał. Kwadrans po jedenastej... Zacznie się niecierpliwic. Ale jeszcze nie odejdzie, przecież ja jestem profesorem z Królewskiego Instytutu Elektroniki Kwantowej, to brzmi wspaniale, warto dla takiego poczekać, nawet i godzinę. Nie, Mikolc godziny czekać nie będzie. Gdzieś o wpół do dwunastej pójdzie do recepcji, zapyta o mnie. Tam najpierw chwilę będą się zastanawiać, teraz w Grandzie mieszka sporo cudzoziemców, potem powiedzą mu, że nie. Nie ma i nie było. Wtedy on pomyśli, że... co może pomyśleć? Że pomylił hotele. Pojedzie do Bristolu... Nie, na to nie mogę liczyć. Co ja bym zrobił w takiej sytuacji? Chyba bym jednal do Bristolu i do Europejskiego. Na wszelki wypadek, profesor Raoul Charrigan, to przecież ktoś! Tam zapyta, dowie się, że nie ma, nie mieszkał. Zacznie podejrzewać głupi kawał ze strony kolegów. Wtedy oczywiście wróci do domu. Dwunasta, może kwadrans po. Czyli że — spojrzal znowu na zegarek — teraz wpół do jedenastej, a więc mam do dyspozycji około półtorej godziny. Wystarczy. Musi wystarczyć.”

Zahamował opla przed dużym, nowoczesnym domem w śródmieściu. Mikolc mieszkał dwa numery dalej, bezpieczniej jednak było nie zatrzymywać tam wozu. Wyjął aparat, ukryty w opakowaniu z ciemnozielonego tworzywa, bardzo lekkiego, żeby nie obciążało i tak już dużej wagi lasera. Nałożył wielkie, ciemne okulary, zasłaniające całą górę twarzy, jak maska, i gumowe rękawiczki. Zamknął starannie samochód, gdyby kto go teraz ukradł, byłaby kłeska.

Na schodach świeciło się jeszcze, to mu było nie na rękę, wyłączyć jednak nie chciał, mogło to wzbudzić podejrzenie dozorczy. Szybko, jak tylko ciężar aparatu na to pozwalał, wszedł na drugie piętro. Wyjął z kieszeni coś w rodzaju misternego wytrycha, taki wichajster otwierał wiele drzwi, tylko z tymi w Instytucie Chemii nie mógł się wówczas uporać, więc trzeba było stopić zamek.

Pomyślał, że bardzo dużo ryzykuje. Każdej chwili ktoś mógł ukazać się na schodach, jego wygląd w olbrzymich okularach, z jakimś pudłem czy walizką i z podejrzanym kluczem w ręku mógł wywołać krzyk, strach, nawet panikę lokatorów: Stawka szła jednak o wielką

grę, bez ryzyka niczego by nie osiągnął.

Wszedł do przedpokoju, zapalił światło, zamknął starannie drzwi. Przez chwilę stał bez ruchu, nasłuchując, czy ktoś się nie odezwie, mogła być gosposia, o której Mikolc nie wspominał. Ale nikt się nie poruszył. Były tu dwa pokoje, łazienka i kuchnia, obejrzał wszystko pobieżnie. W pierwszym mieszkały widocznie dzieci czy dziecko Mikolców, natomiast drugi urządzone był w połowie jak sypialnia, a w połowie jak miejsce do pracy. Zapalił małą boczną lampę, upewniwszy się, że zasłony są zaciągnięte.

Potem przyjrzał się temu, co leżało na biurku, i twarz pojaśniała mu zadowoleniem. „Zdaje się — myślał, przeglądając papiery — że obejdzie się bez otwierania zamków. Wszystko chyba jest na wierzchu.”

Tak. To była właśnie ta najnowsza praca Mikolca, o której wspominał profesor z Wrocławskiej Politechniki. Kryształ KPD... skręcenie płaszczyzny polaryzacji... modulacja polaryzacyjna, no, to już jest znane — fachowym okiem przeglądał kartkę po kartce. — Mikolc zastosował jednak zupełnie nowy sposób uzyskania 100-procentowej modulacji amplitudy nośnej fali świetlnej.

Przez kilka minut zagłębiał się w studiowanie wykresu.

— Ciekawe... — mruknął, przekonawszy się, że zamiast kryształu KPD doktor użył tutaj jakiegoś związku amonowego o nie używanym dotąd skrótce AR. Przerzucił znowu kilka stron, zerknąwszy przedtem na zegarek, ale miał jeszcze co najmniej dwadzieścia minut.

W połowie tego czasu zorientował się, że praca nie była jeszcze skończona, brakowało ostatecznego wyniku, niemniej wynik ten zarysował się tak wyraźnie, że nie mogło być wątpliwości: to b y ł o poważne osiągnięcie. Za dwa, trzy tygodnie Mikolc ogłosi je w fachowej prasie, uzyskując sławę wynalazcy w tej dziedzinie.

Biurko było otwarte, widocznie doktor śpieszył się na spotkanie z londyńskim profesorem. Znów spojrzął na zegarek, pozostało już tylko kilka minut, mimo to musiał przekonać się, czy rozłożone na biurku kartki to jedyny rękopis. Ale przecież Mikolc nie pracował nad tym przez kalkę, z tak licznymi poprawkami, wstawkami i skreśleniami, więc chyba poza rękopisem nie było już nic więcej.

Zgarnął ze szklanego blatu wszystkie papiery i notatki, wsadził je do obszernych kieszeni kurtki, obrzucił pokój uważnym wzrokiem, czy wszystko jest na miejscu i czy czegoś przypadkiem nie zostawił. Kiedy wyciągał rękę w kierunku lampy, aby przekręcić kontakt, we drzwiach wejściowych zazgrzytał klucz.

Znieruchomiał, potem błyskawicznie zgasił światło, chwycił aparat, cofnął się w róg pokoju, zasłonięty uchylonymi drzwiami pomiędzy pokojem a przedpokojem. Namacał w ciemności wyłącznik lasera, zobaczył maleńkie, zielonkawe światełko — magiczne oko, znak, że baterie rtęciowe włączyły się do akcji.

Ktoś zdejmował płaszcz w przedpokoju, szeleścił ortalion, na szybie w drzwiach rysował się zarys wysokiej postaci.

„Mikolc... Wrócił wcześniej, niż myślałem.”

Miał kilka sekund do powzięcia decyzji, ale dobrze wiedział, że w tej sytuacji jest tylko jedno wyjście, które mógł zaakceptować. Więc wybrał je, nie bez oporu, bo była to pierwsza tego rodzaju decyzja w jego życiu, a takie sprawy nie należą do łatwych. Może, myślał później o tym, gdyby miał trochę więcej czasu na wybór, znalazłby jeszcze inną możliwość rozwiązania tego problemu — teraz jednak były to naprawdę tylko sekundy.

Mikolc wszedł do pokoju, zapalając górną lampę. Wzrok jego padł na biurko. Stał w miejscu jak wryty, rozchylając usta ze zdumienia, zmarszczył brwi, jakby usiłując sobie coś przypomnieć. Odwrócił się w stronę drzwi. Wtedy zobaczył.

Błysk był ledwo uchwytny dla oka, na ulicy, gdyby nawet zasłony nie były zaciągnięte, nikt by go nie zauważył. Przez maleńką chwilę doktor stał na środku pokoju, w jego oczach nie było ani bólu, ani strachu, tylko ogromne zdziwienie. Potem powoli osunął się na dywan.

No, więc tak. Od tego nie było już odwrotu, wiedział, że nie musi nawet sprawdzać, brać za puls, zbyt dobrze znał potężną siłę swego aparatu. Wyłączył go, zapiął pokrowiec. Ostrożnie stąpając podszedł do leżącego, mimo wszystko chciał zobaczyć... Ale w tym celu trzeba było nachylić się i odgarnąć ręką gęste, ciemne włosy na czaszce, a coś go od tego wstrzymywało, nie obawa, więc chyba wstręt fizyczny, choć przecież w leżącej postaci nie było nic brzydkiego, przeciwnie, Mikołc był bardzo przystojny, wysoki, młody, twarz miała regularne rysy, powleczone złotawą opalenizną.

Czy więc to, co go hamowało, można było nazwać żalem? Nie wiedział. Od dawna znał tylko jedno uczucie, a z żalem nie miało ono nic wspólnego.

Zastanowił się, jakiej wielkości jest otwór, chyba kilku mikronów, kierował laserem trochę po omacku, nie spuszczać wzroku z Mikołca. Tak, na pewno poniżej dziesięciu mikronów.

Potem pomyślał, że bezpieczniej byłoby poczekać teraz i opuścić mieszkanie gdzieś koło drugiej nad ranem, wtedy ulice są zupełnie puste. Bał się jednak, że ktoś dobierze się do opla, kradzieże samochodów były wciąż jeszcze na porządku dziennym, a wówczas może to mieć dla niego nieobliczalne skutki.

Zgasił lampę w pokoju, przy drzwiach wyjściowych posłuchał, czy ktoś nie idzie po schodach, ale panowała cisza. Dochodziła północ, o tej godzinie ludzie śpią już spokojnie na swoich tapczanach, wyłączywszy radia i telewizory.

Nie spotkał nikogo schodząc na dół. Bramę otworzył własnym kluczem. Opel czekał na niego cierpliwie, nie tknięty przez żadne obce ręce, błyszczący w świetle latarni. Ruszył cicho, dopiero kawałek dalej dodał gazu, ale nie była to szybka jazda, teraz nie chciał już nic ryzykować. Przypomniał sobie o gumowych rękawicach, więc zwolnił, przyhamował i zdjął je z dłoni. Ogromne okulary zastąpił zwykłymi, lekko przyciemnionymi, choć oczy były już prawie wyleczone, krople lekarza z Pragi okazały się skuteczne.

Tuż przed placem Trzech Krzyży zobaczył jadący mu naprzeciw milicyjny patrol motocyklowy. Chciał go minąć, miejsca na Nowym Świecie było dużo, ale zobaczył wyciągniętą w jego kierunku rękę w skórzanej rękawicy i z „lizakiem”. Zahamował, zjeżdżając trochę bardziej w prawo, gorączkowo zastanawiał się, dlaczego, światła miał w porządku, więc o cóż mogło im chodzić...

Motocykl zatrzymał się tuż koło niego, milicjant, podpierając nogą pojazd, zasalutował uprzejmie i powiedział:

— Dobry wieczór panu, kontrola drogowa, poproszę o kartę wozu i prawo jazdy.

— Proszę bardzo — odparł, sięgając do portfela, ręce miał wilgotne od potu i od tych rękawic, zapomniał wysypać je w środku talkiem. Podał dokumenty, czekał w milczeniu, patrząc przed siebie.

Funkcjonariusz w białym kasku z literami MO przejrzał papiery, porównał numer, wypróbował światła i sygnał. Zrobił to wszystko szybko, sprawnie, oddał dokumenty, zasalutował, warknął motorem i odjechał.

„No, cóż, zwykła kontrola — myślał, wysiadając przed domem. — A swoją drogą, dziwne, nigdy jeszcze nie sprawdzali w samym centrum. Może skradziono komuś podobnego opla i teraz szukają.”

*

Doktor Mikołc spóźnił się na konferencję. Sekretarka wiceministra bezskutecznie nakręcała wciąż ten sam numer, wsłuchując się w monotony sygnał. Mikołca nie było w domu, bo przecież zupełnie niemożliwe, żeby spał o jedenastej przed południem, więc wyszedł, ale dokąd, trzy dni temu był zawiadomiony o spotkaniu w ministerstwie. Inni zaproszeni czekali, niecierpliwiając się i spoglądając na zegarki, wiceminister nie chciał jednak zaczynać bez Mikołca. Mieli omawiać budowę filii Ośrodka Elektroniki w Poznaniu, a doktor był najlepszym

znawcą jej potrzeb, zresztą wiedział, że zostanie mianowany kierownikiem, to nie była tajemnica urzędowa.

Dlaczego więc nie przychodzi?

Było już prawie dwadzieścia minut po jedenastej, kiedy wreszcie zaczęli, wciąż spoglądając na drzwi i ociągając się z formułowaniem wniosków. Wiceminister był wyraźnie niezadowolony, znał dotąd młodego uczonego z najlepszych stron i, przysłuchując się wypowiedziom, ciągle myślał, co też mogło się stać, że Mikołc nie przyszedł. W końcu go to zaniepokoiło.

— Przepraszam na chwilę... — powiedział, przerywając czyjś wywód w pół słowa. Nacisnął kontakt selektora, a kiedy odezwała się sekretarka, rzekł: — Niech pani pośle kierowcę do mieszkania doktora Mikołca. Jego rodzina jest w tej chwili na urlopie i może mu się coś stało, może zasłabł.

— Dobrze, panie ministrze. Zaraz posyłam Szewczyka.

— Dziękuję. Kontynuujcie, towarzyszu dyrektorze — zwrócił się do kierownika departamentu inwestycji. Iskupił myśli na jego słowach.

Kiedy kończyli konferencję, sekretarka ostrożnie uchyliła drzwi. Wiceminister dojrzał ją i zapytał:

— No co? Szewczyk wrócił?

— Tak, ale... — zawahała się. Doktora Mikołca chyba nie ma w domu. Kierowca mówi, że dzwonił bardzo długo, stukał, dobijał się i nic. Pytał sąsiadów, ale nie widzieli go dzisiaj.

— Może nagle gdzieś wyjechał? — poddał ktoś z zebranych. Chciał dodać: „i zapomniał o konferencji”, ale ugryzł się w język. Lubił Mikołca.

— Na pewno nie! — stanowczo zaprzeczył dyrektor Ośrodka Elektroniki. — Ja bym o tym wiedział.

Inżynier o twarzy różowego prosiątka i zadartym nosie zauważył zatroskanym tonem, że być może doktor Mikołc otrzymał poprzedniego dnia depeszę od rodziny na urlopie, mogło tam się coś stać, i dlatego nie zdążył już nikogo zawiadomić o wyjeździe.

— On by i tak zawiadomił — upierał się dyrektor. - Zadzwoiłby do mnie o trzeciej rano, ale nie wyjechałby tak bez słowa. Jeszcze wczoraj rozmawialiśmy o tej konferencji. Przecież pan go zna, panie Jacku, Mikołc jest niezwykle obowiązkowy.

Wiceminister rozważał przez chwilę tę nieprzyjemną sytuację. On też nie wierzył, żeby doktor wyjechał z Warszawy, nie uprzedziwszy bodaj jednej osoby, która miała być dziś na naradzie. Ale w takim razie co się z nim stało? Czyżby ten młody, przystojny chłopak zabalagał się gdzieś i trafił, powiedzmy, do Izby Wyrzęźwień czy nawet do szpitala? Nie, to do niego nie pasuje.

— No, trudno — powiedział, podnosząc się zza stołu konferencyjnego, przy którym siedzieli. — Musimy wobec tego zebrać się jeszcze raz w tym gronie i z Mikołcem, aby omówić wszystkie szczegóły. Zwłaszcza chodzi mi o wyposażenie laboratoriów. Dziękuję, towarzysze. Do zobaczenia.

Potem było wiele spraw, pilnych i ważnych, wiceminister nie zapomniał jednak o Mikołcu. Gdzieś przed szesnastą sięgnął po specjalny telefon, tak zwaną rządówkę. Nakręcił numer, a kiedy usłyszał znajomy głos, powiedział:

— Jak się masz, Tadeusz. Słuchaj, mam do ciebie taką sprawę. Jestem trochę zaniepokojony o jednego z naszych najzdolniejszych fizyków, doktora inżyniera Stanisława Mikołca. Miał być dziś u mnie na naradzie, nie przyszedł i nie zawiadomił do tej pory, to znaczy, prawie przez pięć godzin, a to do niego zupełnie niepodobne. Jeszcze wczoraj był w Ośrodku Elektroniki, gdzie pracuje, cały i zdrow.

Posłuchał chwilę swego rozmówcy z tamtej strony aparatu, potem roześmiał się i rzekł:

— Nie, nie sądzę. Młode małżeństwo, dziecko... wiesz, takie rzeczy to nie Mikołc. Chociaż wszystko możliwe, oczywiście. Jesteśmy ludźmi. W ogóle bym do ciebie nie dzwonił w

tej sprawie, ale przypomniała mi się kradzież w Instytucie Chemii, pamiętasz, jakiś tajemniczy przestępca zabrał pracę docenta Straszewskiego, taka dziwna sprawa. Nawiasem mówiąc, czas byłby ją wykryć, nie uważasz?... Nie, to tak na marginesie. Więc może by tam ktoś z twoich dzielnych warszawskich milicjantów, ostatnio tak opisywanych w prasie... Pozytywnie, oczywiście, ja się zgadzam z tą opinią, jeżeli zapomnę na chwilę o kradzieży w Instytucie... Właśnie, masz rację. No więc polecam ci doktora Mikołca, tylko żeby go znaleźli żywego i zdrowego, bo jest nam bardzo potrzebny... Widzisz, budujemy filię Ośrodka Elektroniki i on będzie kierownikiem. To wyjątkowo zdolny chłopak. Cześć, Tadeusz. Do zobaczenia. Jutro mamy zebranie w ZBoWiD-dzie, to się tam spotkamy.

W kwadrans później, kiedy hierarchia właściwych osób została telefonicznie uwzględniona, major Daniłowicz, kierownik wydziału zabójstw w Komendzie Stołecznej Milicji Obywatelskiej, powiedział do porucznika Łomnickiego:

— Weź mój wóz i jedź na... — rzucił okiem na kartkę, podyktował adres. — Tam mieszka Stanisław Mikołc, ten fizyk. Sprawdź, co z nim jest.

Łomnicki spojrział na swego szefa ze zdziwieniem.

— A co z nim ma być?

— Właśnie że nie wiadomo. Może zachorował, w każdym razie musisz się przekonać. Miał być na konferencji w ministerstwie i nie przyszedł, nawet nie zawiadomił.

— I major mnie tam posyła? — Łomnicki był rozżalony. — Nie wystarczy dzielnicowy? Ja mam kupę roboty z tymi zwłokami na Hibnera, właśnie miałem jechać do medycyny na Oczuki. Może Szczęśny tym się zajmie?

— Idź do cholery — mruknął kapitan, pograżony w swoich notatkach. Nagle uniósł głowę, coś mu się przypomniało. — Jak mówiłeś? — podniósł się, podszedł do Daniłowicza. — Jakiś fizyk?

— Tak. Telefon od samej wierchuszki. Obiecujący, genialny, jednym słowem pewnie wczoraj zalał pałę i śpi, nie wiedząc, że za nim tęsknią. Pojedź tam, wsadź mu głowę pod kran, niech się wbije w garnitur i poprzeczasza, kogo trzeba. Co się tak patrzysz?

Czarne, wąskie oczy Szczęśnego przyglądały się majorowi z uwagą. Daniłowicz wiedział, że to tylko pozór, kapitan był w tej chwili myślą nieobecny.

— To fizyk? — powtórzył trochę nieprzytomnie.

— Fizyk. A jeżeli jeszcze raz któryś mnie spyta... — przerwał, zastanowił się przez chwilę. — Słyszałeś coś o nim?

— Nie — odparł Szczęśny. — Tak jakoś.

— Instytut Chemii?

— Właśnie.

— Co ma jedno do drugiego?

— Pewnie nic. Ale ty też o tym pomyślałeś, Stefan.

Major zawahał się.

— Dobra, pojedziemy razem. Niech to diabli, mam tyle pracy.

Doktor Mikołc mieszkał na drugim piętrze, na drzwiach była wizytówka z imieniem, nazwiskiem i pełnym tytułem naukowym. Szczęśny nacisnął biały guzik dzwonka. Poczekali trochę, ale w mieszkaniu panowała kompletna cisza. Nacisnęli jeszcze parę razy, dzwonienie słyhać było doskonale aż na schodach.

— Wpół do piątej — mruknął major. — Do tej pory dawno by wytrzeźwiał.

— A może wyszedł przed pół godziną, siedzi teraz u swego szefa i płacze mu w kamielkę? Wiesz co, ja zadzwonię do Ośrodka Elektroniki, może czegoś się dowiem. Poczekaj, zejść do automatu.

Po kilku minutach Szczęśny wrócił z zakłopotaną miną. Dyrektor Ośrodka ma naradę, a wartownik przyszedł na zmianę o szesnastej i nic nie wie.

— Trudno — zdecydował Daniłowicz. — Wejdziemy. W razie czego, zwałę to na komendanta. On już sobie poradzi. Zresztą, mamy moralne prawo zatroszczyć się o zdrowie tego geniusza.

Drzwi dały się otworzyć zupełnie łatwo. Zdziwiło ich światło palące się w przedpokoju, tak jakby ktoś właśnie wszedł do mieszkania i nie zdążył jeszcze zgasić.

— Panie doktorze, czy jest pan w domu? — spytał kapitan głośno, było im trochę głu-
pio, nie przyszli przecież do żadnego przestępcy.

Nikt się nie odezwał.

— Nie ma go, to jasne — rzekł Daniłowicz. Postąpił parę kroków, zajrzał do pierwszego pokoju. — Chyba dziecinny, bo jakieś zabawki. — Wycofał się, wszedł do następnego i zawołał: — No, tak... Chodź tutaj!

Szczęśny szybko poszedł za nim. Na środku pokoju, trochę bokiem do drzwi, leżał jakiś człowiek. Obu oficerom wystarczyło jedno spojrzenie, aby zrozumieć, że człowiek ten nie żyje, palce jednej ręki zaciśnięte były kurczowo na fałdzie dywanu, w takiej pozycji nikt nie śpi.

Stali kilka minut bez ruchu, rozglądając się dokoła oczami długoletnich pracowników milicji, tak robili zawsze, zanim zabrali się do normalnych oględzin, chcieli mieć utrwalony w pamięci obraz pokoju dokładnie tak, jak go zastali, jego atmosferę, zapach, temperaturę, wszystko to, co składa się na otoczenie, najbardziej osobiste i prywatne, jakiegoś człowieka.

Kapitan wciągnął nosem powietrze. Unosiła się w nim bardzo lekka woń papierosów, pokój był widać starannie sprzątnięty, podłoga pod ścianami, gdzie nie sięgał dywan, błyszczała od pasty, pewnie żona Mikołca wyczyściła ją tuż przed wyjazdem albo też przychodziła tu sprzątaczką.

— Zaczynamy? — spytał półgłosem, czuł się dziwnie nieswojo, nie rozumiał tego uczucia.

— Tak.

Major ostrożnie podszedł do zwłok, przysiadł na piętach, odwrócił głowę leżącego. Była to ładna, młoda twarz, teraz już bez żadnego wyrazu, o spokojnie zamkniętych powiekach, wyglądała jak rzeźba. Daniłowicz obejrzał dokładnie czaszkę, rozchylił bujne, ciemne włosy, uniósł brwi ze zdziwieniem.

— Nic? — Szczęśny nachylony śledził wytężonym wzrokiem ruchy jego wprawnych rąk.

Major przecząco poruszył głową. Obejrzał skórę na szyi, kark, rozpiął guziki białej nylonowej koszuli, poszukał serca. Nigdzie jednak nie znalazł śladu krwi, pocisku, uderzenia czy nawet zadrapania. Nic też nie wskazywało na uduszenie.

— Serce? — mruknął z powątpiewaniem. — Chyba zawał.

Położył zmarłego w takiej pozycji, w jakiej go zastali, wstał. Odnalazł telefon, ujął słuchawkę przez chusteczkę, połączył się z komendą, przy telefonie był Kręglewski.

— Wóz techniczny... nie, najpierw lekarz — zdecydował. — Ale trzymajcie, poruczniku, wóz w pogotowiu. — Podał adres, odłożył słuchawkę.

Szczęśny w skupieniu przyglądał się zwłokom.

— Słuchaj, czy to jest on?

— Zaraz sprawdzimy.

W kieszeni marynarki znaleźli dowód osobisty, porównali zdjęcie. Nie było wątpliwości, zmarły nazywał się doktor Stanisław Mikołc, niedoszła chluba i sława polskiej elektroniki kwantowej.

— Stefan, wezwij wóz techniczny — powiedział kapitan z naciskiem. Patrzył na biurko, marszczył brwi. — Tu mi się coś nie podoba.

— Dobrze.

Daniłowicz jeszcze raz połączył się z Kręglewskim. Lekarz zabierze się z ekipą, w porządku. Porucznik spytał ostrożnie, czy jeszcze kogoś zawiadomić, orientował się, że cho-

dzi tu o ważną sprawę. Major zaprzeczył. Na razie nie. Nie był przecież pewny, czy w mieszkaniu Mikołca popełniono jakiekolwiek przestępstwo i wywoływanie alarmu byłoby przedwczesne. Bał się zresztą, że jak w Ośrodku dowiedzą się o śmierci doktora, zwali się tu zaraz całe kierownictwo, a tego chciał uniknąć.

Uprzedzona o tym wszystkim grupa operacyjno-dochodzeniowa zatrzymała nysę o kilka domów dalej. Lekarz medycyny sądowej, docent Stern, poczekał na progu pokoju, aż fotograf zrobi, co do niego należy, potem przykląkł przy zwłokach, z pewnym trudem, bo miał zreumatyzmowane kolana, i zabrał się do oględzin.

— No i jak? — zniecierpliwził się Szczęsny, kiedy według niego trwało to już za długo.

Stern nie odpowiedział, mało go to obchodziło, że się komuś śpieszy, oglądać trupa należało długo i cierpliwie. Zwłaszcza takiego trupa, na którym nie ma żadnych śladów przestępstwa. Powie: „atak serca”, a potem przy sekcji okaże się jakieś cholerne zatrucie, pęknięta wątroba, cios można zadać tak, że na zewnątrz nie wystąpią obrażenia.

Wreszcie podniósł się z klęczek, spytał o łazienkę i poszedł umyć ręce, a wróciwszy do pokoju, rzekł do obu oficerów:

— Prawdopodobnie zawał. Był sam w mieszkaniu, nie otrzymał pomocy. Tak sędzę, ale oczywiście dokładniej będę mógł orzec po sekcji. Zgon nastąpił w nocy, przypuszczalnie krótko przed dwudziestą czwartą albo trochę potem.

— Żadnych śladów obrażeń? — Szczęsny był zamyślony, niespokojny. — Docencie, a gdyby... — umilkł, machnął ręką. — Nie, nic.

— Na „gdyby”, to ja panu nie odpowiem, kapitanie — uciął Stern. — „Gdyby” może być wszystko, ja muszę stwierdzić to, co jest.

— Stefan, chciałbym być przy sekcji — zwrócił się Szczęsny do majora. Ten skinął głową. Bardzo nie lubił asystowania w prosektorium i rad był, jeżeli ktoś go przy tym zastąpił. — Kiedy pan to będzie robił, panie docencie?

— Cóż, to chyba pilne, zważywszy na osobę denata. Jutro, powiedzmy o jedenastej, wcześniej nie zdążę, mam wykład. Niech pan do mnie zresztą zadzwoni z samego rana, zanim wyjdę z domu, bo może się coś zmienić. Szkoda, żeby pan czekał.

Stern szanował cudzy czas tak samo, jak swój własny, i byli mu za to wdzięczni; oni mieli czasu zawsze za mało, jeżeli chciało się zrobić to wszystko, co sobie każdy z nich zaplanował.

— Jakie odciski palców? — spytał Daniłowicz technika dochodzeniowego, który delikatnie zdejmował z biurka linie papilarne na folię.

— Na razie tylko jedno. Chyba jego własne — pokazał głową na zwłoki. — W tamtym pokoju mnóstwo drobnych, pewnie dzieciennych, i jeszcze inne, sędzę, że kobiecej ręki. Ale tutaj, w kuchni i łazience zupełnie świeże, wyraźne linie, wciąż te same.

— Zdjęliście już z jego palców?

— Nie, zaraz to będę robił.

— Chciałbym jak najszybciej porównać.

Okazało się, że wszystkie odciski męskich rąk należą do doktora Mikołca. Wyglądało na to, że podczas nieobecności żony i dziecka nie było tu nikogo obcego. Oczywiście, jeżeli ten obcy nie był w rękawiczkach i nie siedział w nich przez całą wizytę, co było trochę absurdalne, jeżeli uważać go za gościa.

— Nie rozumiem, dlaczego uparłeś się, że to zabójstwo — rzekł Daniłowicz, trochę zirytowany. — Żadnych śladów, umarł na serce, to się przecież ludziom zdarza. Nawet, jeżeli byli młodzi i wyglądali zdrowo. Mówił mi lekarz, że można mieć zawał i nawet o tym nie wiedzieć, dopiero później EKG wykaże ślady. Mikołc mógł się czymś zdenerwować, przejąc do tego stopnia, że serce nie wytrzymało. Trzeba sprawdzić, czy przedtem chorował. I w ogóle...

Podszedł do telefonu, połączył się z centralą Ośrodka Elektroniki i poprosił z dyrekto-

rem naczelnym. Po dwuminutowej rozmowie zawiadomił też o wszystkim, co tu znaleźli, komendanta miasta.

Krótko potem, mieszkanie Mikolca zapełniło się jeszcze bardziej. Ambulans z Zakładu Medycyny Sądowej nie zdążył jeszcze przyjechać, więc zwłoki, nakryte białym prześcieradłem, wciąż leżały na dywanie. Dyrektor, wstrząśnięty i blady z przerażenia, uchylił ostrożnie róg płótna, przyjrzał się martwej twarzy, zrobiło mu się słabo. Dużym wysiłkiem opanował to, ponad wszystkim innym dominowało w nim uczucie głębokiego żalu. Lubił i cenił młodego uczonego, lubili go chyba wszyscy w Ośrodku, dawał się lubić — mówiono o nim żartem.

— Jak to się mogło stać? — powtarzał dyrektor, przysiadłszy na fotelu. — Przecież on nigdy nie chorował na serce! Był wysportowany, chodził po górach, pływał...

Szczęśny podszedł do niego. Od paru chwil uparcie powracał myślą do swojej rozmowy z porucznikiem Kręglewskim, wtedy na plaży, była to teraz niemal obsesja, coś absolutnie nieprawdopodobnego, ale musiał się o tym przekonać.

— Panie dyrektorze — rzekł z naciskiem, chciał, żeby tamten skupił się i odpowiedział przytomnie — czy doktor Mikolc przygotowywał jakąś ważną, odkrywczą pracę naukową?

Dyrektor spojrzał na niego, jak wyrwany ze snu, miał łzy w oczach i kapitan uszanował jego smutek, milczał przez chwilę, nie ponawiając pytania. Wreszcie tamten wierzchem ręki nieznacznie otarł powieki, odchrząknął, pomyślał nad pytaniem.

— Naturalnie, że tak — odparł z goryczą w głosie. — Teraz to wszystko przepadło... Staszek, to znaczy doktor Mikolc, właśnie kończył bardzo ciekawą, oryginalną pracę z dziedziny modulacji światła laserowego. Miał ją potem zgłosić jako referat na Międzynarodowy Kongres Elektroników w Hadze.

— Czy pan dyrektor widział tę pracę?

— Tak, oczywiście. Konsultował ze mną niektóre wykresy.

— A gdzie on to trzymał?

— Jak to gdzie?

— No, tutaj czy w Ośrodku?

Daniłowicz, który przysłuchiwał się rozmowie, zamienił ze Szczęsnym błyskawicznie spojrzenie. „Czyżby znowu...?” — pomyślał.

— Nie jestem pewien — odparł dyrektor — ale chyba miał ją w domu. Zresztą można sprawdzić. Dlaczego pan pyta?

— Chciałbym wiedzieć — odparł kapitan wymijająco.

Biuropisze było otwarte. Oficerowie przyglądali się, jak dyrektor przegląda szufladę po szufladzie, pomagał mu jego zastępca, inżynier z zadartym nosem i zasmuconymi oczami. Przejrzeli wszystko skrupulatnie, ale pracy nie było.

— Widocznie ostatnio trzymał ją w swojej pracowni, w Ośrodku — rzekł wreszcie dyrektor, starając się nie patrzeć na to, co leżało pod białym prześcieradłem.

— Jedźmy tam. Zaraz! — Szczęśny czuł coraz większy niepokój. Daniłowicz podał mu kluczyk od stacyjki.

— Masz, weź nasz wóz. Ja jeszcze zostanę. Potem wróc tutaj i powiedz mi, co i jak. — I on był zatroskany, cała sprawa dziwnie zaczęła mu się kojarzyć z kradzieżą w Instytucie Chemii.

— Niech pan jedzie z nami, panie Jacku — rzekł dyrektor do swego zastępcy. — We dwóch prędzej się w tym zorientujemy.

Wsiadli do kremowo-szarej warszawy, Szczęśny zapuścił motor i zawahał się, nie był pewien, gdzie jest Ośrodek. Ale dyrektor przyszedł mu z pomocą.

— Może pan za jedzie od Bielańskiej, bo frontowe wejście jest właśnie w remoncie.

Wtedy przypomniał sobie duży, biały budynek przy Bielańskiej i dodał gazu. Było w pół do siódmej, w niektórych oknach Ośrodka jeszcze paliły się światła, widocznie nie zakończono zajęć w pracowniach. Zajechał, jak mu powiedziano, od Bielańskiej. Niespokojny, drżąc z

niecierpliwości, szedł po schodach za tamtymi i rozglądał się dokoła.

Dyrektor zatrzymał się przed drzwiami z napisem: „Technika modulacji”, nacisnął klamkę. W pracowni siedziało dwóch laborantów. Na widok wchodzących unieśli się trochę z krzesel, widać było jednak, że myślami pozostali przy swoich doświadczeniach, oczy mieli nieprzytomne, dalekie.

— Panie Zdzisławie — rzekł inżynier z zadartym nosem — czy doktor Mikolc tutaj zostawił pracę, czy też zabrał ją do domu?

— Tę o modulacji polaryzacyjnej z AR?

— Tak.

— A była jeszcze jakaś inna? — wtrącił szybko kapitan.

Laborant obrzucił go badawczym spojrzeniem. Nie odpowiedział.

— Może pan mówić — westchnął dyrektor. — Ten pan jest z milicji.

— O ile ja wiem — odparł laborant ostrożnie — to doktor Mikolc pracuje na razie tylko nad modulacją światła laserowego ze związkami amonowym AR.

— Gdzie jest ta praca?

— U niego, w domu. Zabrał jeszcze wczoraj — rzekł drugi laborant. — Wiem, bo byłem przy tym. Może doktor jest u siebie? Można zadzwonić i... — urwał, twarzę dyrektora i jego zastępcy były jakieś dziwne. — Czy coś się stało? — mimo woli zniżył głos.

— Doktor Mikolc nie żyje. To się stało.

Zapadła cisza. Obaj laboranci byli wyraźnie przerażeni i zdumieni. Przez chwilę spoglądali na przybyłych, jakby nie znajdując słów, wreszcie jeden z nich zapytał:

— Wypadek samochodowy?

— Nie. Zmarł na serce. Prawdopodobnie zawał. Ale gdzie wobec tego może być ta praca? — dyrektor bezradnie rozglądał się po pracowni. — Kto ma klucz od jego biurka?

— Doktor miał przy sobie.

Szczęśny wysunął się trochę do przodu, na jego otwartej dłoni leżał pęk kluczy różnego kształtu.

— Któryś z tych? — spytał, patrząc na laborantów z uwagą.

Każdy z nich mógł to zrobić, łącznie z dyrektorem i jego zastępcą, wszyscy byli fachowcami w dziedzinie elektroniki, on jeden błędził tu prawie po omacku, musiał im wierzyć na słowo, że była taka praca, że naprawdę nie ma jej ani w mieszkaniu Mikolca, ani w jego biurku. Mogła w tej chwili leżeć na sąsiednim stole, tuż pod jego nosem, a on nie byłby w stanie ocenić, zrozumieć, nawet odnaleźć jej wśród innych.

Jeżeli doktor Mikolc zmarł na serce, jego cenna praca powinna była znajdować się tu albo tam, chyba że jest jeszcze jakaś inna możliwość, o tym wszystkim musi dowiedzieć się jak najprędzej.

A jeżeli został zamordowany...

— To ten — laborant wskazał na mały kluczyk, zaczepiony na kółku. — I to biurko — odwrócił się, dotknął palcami dużego, nieco już podniszczonego sprzętu ze szklaną płytą na wierzchu. Właściwie: chciał dotknąć, albowiem kapitan go uprzedził. Błyskawicznym ruchem zatrzymał jego dłoń.

— Nie — powiedział.

Włożył kluczyk w otwór zamku, przekręcił, wyciągnął szufladę. Dyrektor i zadartonosy pochylili się nad nią, przekładali teczki z papierami, rysunki, wykresy. Potem przejrzeni jeszcze boczne szuflady. Wreszcie dyrektor wyprostował się, westchnął ciężko.

— Nie ma — powiedział, choć i tak wszyscy już o tym wiedzieli.

— Dobrze. Czy doktor mógł złożyć swoją pracę w innym miejscu? — spytał kapitan. — Na przykład w ministerstwie? Albo w którejś z katedr Politechniki? Albo wysłać, bo ja wiem, do Krakowa? Do Wrocławia? Może chciał ją z kimś skonsultować?

— Zaraz — dyrektor nie zapamiętał wszystkich pytań naraz. — Sądzę, że nie. To było-

by przedwczesne, praca nie została zakończona. Do konsultacji... Chyba nie. Ja bym o tym wiedział.

— Jak mógłby gdzieś ją wysłać, kiedy jeszcze wczoraj rano mówił mi, że będzie w domu nad tym pracował — rzekł jeden z laborantów. — Właśnie po to ją zabrał z pracowni. Wczoraj przed południem siedzieliśmy razem z kolegą — pokazał na drugiego laboranta — wykonywaliśmy dla doktora Mikołca pewną analizę. A on miał tę pracę rozłożoną tu, na biurku. Przecież widziałem.

— Ja też — przyświadczył kolega.

— Więc panowie jesteście pewni, że doktor Mikołc wczoraj po południu zabrał stąd swoją pracę, tak? — Szczęsny zanotował nazwiska i adresy laborantów. — O której doktor wyszedł z Ośrodka?

— Gdzieś koło piątej.

— Około siedemnastej. I miał pracę w teczce?

— Tak. Zawsze nosił tę swoją czarną teczkę.

— Czy potem już żaden z panów go nie widział?

— Nie — odparli obaj jednocześnie. A jeden dodał: — Nawet dziwiliśmy się, że dzisiaj nie przyszedł. Myśleliśmy, że pewnie pracuje w domu, chociaż nigdy tego rano nie robił. Jak miał jakąś konferencję, to nas uprzedzał telefonicznie.

— A dziś telefonował?

— Nie. Na serce umarł? Taki zdrowy, młody człowiek? Wierzyć się nie chce... — starszy z laborantów potrząsał głową ze zdumieniem.

— Nie narzekał ostatnio na złe samopoczucie? Może go coś bolało?

— On był zdrow — powtórzył laborant. — Zdrow, jak żaden z nas. Nigdy go nawet głowa nie bolała. uprawiał sporty, pływał, wiosłował. Ja nie wierzę, żeby umarł na serce. Może się czymś struł?

— Sekcja wykaze — odparł Szczęsny wymijająco. Potem zwrócił się do dyrektora. — Czy mógłby pan sprawdzić jutro, bo dziś już za późno, czy jednak doktor Mikołc nie dał komuś wczoraj swojej pracy? Jakiemuś koledze, do przeglądu?

— Poszukam, podzwonię. Przede wszystkim u nas, w Ośrodku. Pewnie, że jest taka możliwość. Zabrał pracę do domu, ale na jeden dzień mógł ją u kogoś pozostawić. Spróbuję się dowiedzieć.

W pół godziny później Szczęsny wszedł do mieszkania Mikołca. Zwłoki zabrano już do Zakładu Medycyny Sądowej i Daniłowicz siedział sam, wygnawszy technika i fotografa do roboty. Chciał jak najprędzej otrzymać zdjęcia, linie papilarne, protokół oględzin. Miał już za sobą telefony z ministerstwa, powiedział tyle, ile mógł, właściwie najwięcej zależało od wyniku sekcji.

— Po twojej twarzy widzę, że pracy nie ma — rzekł, kiedy Szczęsny milcząc zapalał papierosa. — Co myślisz o tym wszystkim?

— Wiesz, co ja myślę? Zastanawiam się, czy sekcja wykaze otwór wielkości paru mikronów. W czaszce. To się mogło zasklepić. Ale chyba nie mogło — odparł sam sobie. — Musi być ślad spalania tkanek.

— No, a jeżeli nie wykaze? To co wtedy?

— Wtedy... — umilkł, wzruszył ramionami. — Zobaczymy. Praca Mikołca może być u któregoś z elektroników, mógł ją tam podrzucić i cały raban jest niepotrzebny. Nie ma sensu teraz się zastanawiać. Nic nie wymyślimy przed sekcją.

— Ty na serio przypuszczasz, że Mikołca zabito igłą laserową?

— Stefan, ja przecież nic nie wiem. Ale jeżeli ktoś stopił wolframowy zamek, to tym bardziej mógł laserem zabić człowieka.

— Po co? Żeby wziąć jego pracę?

— Tak, jak zabrał pracę docenta Straszewskiego. A po co, tego nie wiem.

— Z tego wszystkiego, trzeba mi się będzie na starość zabrać do studiowania elektroniki — mruknął major. — Ciekawe, co zrobimy, jak zaczną u nas mordować jacyś faceci z kosmosu. Cholerny świat.

ROZDZIAŁ 4

Znajomy lekarz, dawny kolega szkolny, był chyba żarłokiem, mogła o tym świadczyć nieprawdopodobna wprost ilość zakąsek, które zamówił, nawet kelner był zdziwiony.

— Lubię jeść — powiedział lekarz, kiedy kelner odszedł, unosząc pół bloczka zamówień. — Co sobie będę żałował, i tak mnie czeka owrzodzenie żołądka albo inna cholera. A ty, czemuś taki chudy? Chorujesz?

— Nie — odparł, i była to prawda. Jego organizm musiał mieć niewyczerpane zapasy zdrowia, jeżeli dotychczas nie zrujnował go trybem życia, jaki prowadził. — Gdzie pracujesz?

Spotkali się po paru latach niewidzenia, lekarz przebywał za granicą, gdzieś w Ghanie czy Nigerii, teraz wpadli na siebie na rogu Marszałkowskiej, a że obaj mieli w planach obiad, postanowili zjeść go razem. Restauracja Bristolu wydała im się odpowiednim lokalem.

— Ja? A, tak się zaczęłam w jednej przychodni, no w domu przyjmuję, trzy razy w tygodniu. Mam propozycje w dwóch szpitalach miejskich, ale jeszcze nie zdecydowałam się na żaden. Muszę przewąchać stosunki, wiesz, atmosfera pracy, to dla mnie nawet ważniejsze niż stanowisko czy zarobki. Te są zresztą na ogół jednakowe. A ty? W dalszym ciągu ryjesz pod konkurencją? — zaśmiał się hałaśliwie.

Zeszywniał, odłożył widelec.

— Co przez to rozumiesz? — spytał, mierząc tamtego ostrym wzrokiem, ale lekarz na niego nie patrzył, pochłonięty był szynką z sosem tatarskim.

— Zawsze byłeś taki - odparł, smarując bułkę masłem. — W szkole, nie pamiętasz? Podarłeś kiedyś moje wypracowanie i wrzuciłeś do kosza, bo było lepsze niż twoje. A Chęcińskiemu podstawileś nogę na gimnastyce, jak skakał przez kozioł, bo chciałeś mieć pierwsze miejsce. No, teraz takie rzeczy nie przechodzą. Nie jesteśmy dziećmi. Dlaczego nie jesz?

— Jem — odparł. Sięgnął po koniak, tamten widząc jego ruch uniósł w górę swój kieliszek, mruknęli coś dla zwyczaju, wypili. — Masz rację, to stare dzieje. Wyrasta się z takich rzeczy.

„Albo nie” — pomyślał lekarz, nic jednak nie powiedział, nie obchodziły go te sprawy. Miał pogodne usposobienie, pacjenci uwielbiali go, sam widok tej okrągłej, uśmiechniętej twarzy poprawiał im samopoczucie. Zresztą, był dobrym diagnostykiem i nie żałował czasu dla chorych.

Uporawszy się z szynką, zaatakował befsztyk tatarski z sardynką. W pewnej chwili spojrzał w róg sali, uniósł się trochę i uklonił.

— Nie znasz tej babki? — rzekł później, mieszając z upodobaniem surowe mięso, żółtko i rybę. — Powinieneś znać. Nie tyle ją, ile jego, to coś z twojej branży. Chociaż właściwie, niezupełnie.

— Jej mąż? Jak się nazywa?

— Straszewski, docent chemii. Eryk Straszewski. Ma takie niepolskie imię, bo jego matka była Szwedką. Wielki, gruby, też lubi dobrze zjeść. Ale bestia ma rozum!

— Czekaj... słyszałem gdzieś, że mu skradziono pracę naukową. To prawda?

— Nie wiem. Jak chcesz, mogę się dowiedzieć. Co jemy na gorąco?

Wybrał z karty byle co, dyskretnie obserwował stolik, przy którym siedziała Strasze-

wska. „Elegancka” myślał, taksując wzrokiem ciemnozielony kostium, przybrany brązowym futerkiem. Zaraz potem się poprawił: „Bogata”. To nie było to samo, kostium z zagranicznego tweedu był źle uszyty, nie pasowała do niego złota torebka z jakiegoś błyszczącego metalu. „Niebrzydka, ma pewnie ze trzydzieści pięć, sześć. Za dużo tych pierścionków, bransoletek. Jeden chyba prawdziwy, bo kamień rzuca ładne błyski. Ciekawe, dlaczego siedzi sama. Wygląda, jakby się nudziła.”

— Ona tu często przychodzi?

— Kto? — Lekarz uniósł głowę znad talerza, obejrzał się. — Straszewska? Widziałem ją tu kilka razy. Mąż ciągle zajęty, często wyjeżdża, dzieci nie mają... Wiesz, jak to jest z kobietami. Jeżeli nie pracują, to na ogół nudzą się, histeryzują albo plotkują po kawiarniach. Sądzę, że Straszewscy są już dzisiaj mocno niedobrani.

— Co to znaczy: dzisiaj? A przedtem byli dobrani?

— Tak. W każdym razie, nie było między nimi takich różnic jak dziś. Pobrali się kilkanaście lat temu, on był wówczas młodym, początkującym asystentem na politechnice, żyli skromnie, oszczędzali. Potem on zaczął się wybijać, ciągle się kształcił, nauczył się trzech obcych języków, zupełnie nie wiem, kiedy zdążył to wszystko zrobić. No a ona wciąż była tą panią po technikum czy nawet jakiejś szkole zawodowej, bez zawodu, bez ambicji, żeby mu choć trochę dorównywać, wyrównać poziom. Nie mówię, żeby została uczoną, ale mogła przecież też się pouczyć choćby języków, czytać czasopisma, chodzić do teatru i tak dalej. Pewnie uważała, że jej to niepotrzebne. A teraz — on to znany fizyk, docent, kulturalny, obyty, a ona zachowuje się czasem, jak... nie chcę już mówić. Są zamożni, w domu służąca, własny samochód, Bożena palcem nie musi kiwnąć, cały dzień obja się po lokalach, po sklepach.

— Skąd ty to wszystko wiesz?

— Bywam u nich czasami. Coraz rzadziej, bo jak na to patrzę, to się złoścę. W tym roku byłem tylko dwa razy, na Wielkanoc i krótko potem, jak on dostał jakąś nagrodę państwową. Chcesz, abym cię z nią zapoznał? Prawdę mówiąc, wolałbym nie. Jestem z nią trochę na bakier, ona czuje, że mam do niej żal o Eryka. Straszewski właściwie nie ma domu.

— Nic, nie chcę. Tak sobie pytam. O nim słyszałem, oczywiście. Pracuje w Instytucie Chemii, ma kilka patentów.

W godzinę później jechał swym oplem przez miasto, była godzina szczytu, co w przekładzie na prosty język oznaczało nieprawdopodobny tłok ludzi i pojazdów, posuwał się wolno między jakąś ciężarówką a czarnym humberem, z prawej strony miał nowy typ warszawy, z lewej tramwaj, pomiędzy tym wszystkim płatali się przechodnie, którzy w Warszawie chodzą, jak chcą i którądy chcą.

Przyszło mu na myśl, że powinien na parę godzin pojechać do swego laboratorium, tam w lesie, ale było już trochę późno. Jutro kończył się jego urlop, należało przygotować to i owo, zebrać materiały, podzwonić do kolegów. Biuro Projektów „F-2”, w którym pracował od sześciu lat, było niedużą, skromną instytucją, mało kto o niej słyszał, wychodziły stąd drobne projekty urządzeń dla pracowni fizycznych w szkołach i mniejszych laboratoriach. Kiedy trafiło się jakieś większe zamówienie, dyrektor zwoływał naradę wszystkich pracowników, takie to było święto, czasom stawiano nawet kawę albo lampkę wina.

Wybrał „F-2” umyślnie. Nie podpadał tu nikomu, nie przejawiał żadnych większych uzdolnień, krył się starannie z każdym osiągnięciem, zacierał dokładnie ślady swoich odkryć i wynalazków, które mogłyby wprawić w osłupienie nie tylko całe biuro, ale i wielkie instytuty naukowe. Parokrotnie, podczas wyjazdów za granicę, udało mu się po cichu zrealizować tu i ówdzie sprzedaż, która umożliwia dalsze postępy w dziedzinie elektroniki kwantowej, pozwalała na zakup części i niezbędnych materiałów. Zakupy takie odbywały się za pośrednictwem tamtych, obcych firm, niebezpiecznie było przewozić przez granicę drogie materiały, więc dostarczano mu je tutaj, jako część zapłaty za kupno wynalazku. Patent opiewał na

cudze nazwisko, jakiś Smith czy Brown, tak się umawiał, a tamtym było nawet wygodniej i bez kłopotów.

Gdyby ktoś zapytał go, jak to wszystko godzi z własnym sumieniem, musiał przecież wiedzieć, że niektóre z tych patentów trafiają do firm zbrojeniowych obcych mocarstw — nie potrafiłby na to odpowiedzieć. W każdym razie, nigdy się nad tym nie zastanawiał. Może najlepiej czułby się bez żadnej ojczyzny, bez żadnego sumienia. Mieszkał tu, bo tu się urodził, sądził, że to kwestia przypadku, nie czuł się związany z żadnym narodem ani państwem.

*

Zastanawiał się, czy mogła go wówczas zapamiętać i doszedł do wniosku, że chyba nie. Siedział bokiem do jej stolika, był tłok, ciągle po sali kręcili się kelnerzy. Mimo to, należało sprawdzić. Gdyby tak było, cały plan, który sobie nakreślił, stawał się nieważny.

Przyhamował opla przed pasami, postanowił, że zaparkuje go dość daleko od Bristolu, taki wóz zdradzał właściciela. Kiedy oddawał płaszcz w szatni, potrącił jakiegoś mężczyznę w ciemnym ubraniu. Człowiek ten miał śniadą twarz i bardzo jasne, niemal białe włosy, ale nie siwe, na pewno nie przekroczył jeszcze czterdziestki, był szczupły i zwinny w ruchach.

— Przepraszam — powiedział. W tym momencie zawahał się. Zdawało mu się, że to jest ktoś znajomy, nie mógł jednak przypomnieć sobie, kim jest ten mężczyzna i gdzie go widział. Aktor filmowy? Jakiś znany facet, polityk czy działacz społeczny? Inżynier? Gubił się w przypomnieniach, ale żadne nazwisko ani zawód nie kojarzyły mu się z tą postacią.

— Nic nie szkodzi — odparł śniady, obrzuciwszy go przelotnym spojrzeniem. Wzrok jego był obojętny, nic nie zdradzało, że się znają, więc to chyba była pomyłka albo też pamiętał tę twarz tylko z widzenia.

Obcy odebrał od szatniarza granatowy płaszcz z ortalionu i znikł. Nie było naprawdę żadnego powodu, u by dłużej nim się zajmować, toteż wszedł na salę i zapomniał o tym spotkaniu. Wybrał wygodny stolik, rozejrzał się. Straszewskiej nie było. Oczywiście, wcale nie musiała przyjść, mogła wybrać tego dnia inny lokal albo w ogóle nie wyjść z domu. Sądził jednak, że prędzej czy później ją spotka.

Kiedy kończył obiad, sala była już tak pełna, że parę osób stało we drzwiach, rozglądając się bezradnie po stolikach. Wtedy właśnie zobaczył Straszewską. „Dobrze — pomyślał. — Jeżeli tylko nie jest z kimś umówiona...”

Nie była albo też ten ktoś nie przyszedł, bo widział, jak niecierpliwie przygryza wargi, idąc w jego kierunku. Miała na sobie sukienkę z jerseyu, koloru czerwonego wina, tym razem nieco mniej biżuterii, tak było lepiej. Czekał, aż podejdzie bliżej, miał zamiar zaprosić ją do swego stolika, ale ona go uprzedziła.

— Przepraszam pana, czy nie mogłabym się przysiąść? — spytała uśmiechając się, trochę z zażenowaniem. — Spóźniłam się i nie ma już wolnego miejsca.

— Proszę bardzo — odparł uprzejmie. — Przyszedłem sam, więc z przyjemnością poasystuję pani przy obiedzie.

— A pan już zjadł?

— Tak. Czekam na kawę. Duży ruch dzisiaj — podtrzymał rozmowę.

— Rzeczywiście, nie spodziewałam się... — podjęła z widoczną chęcią. — Ja właściwie jadłam w domu, ale mam ochotę napić się koniaku.

— Zaraz zamówię — rozejrzał się za kelnerem.

Po godzinie wiedział już o niej nie tylko, kim jest i gdzie mieszka, ale nawet co robi w ciągu dnia, na jakim filmie była ostatnio i u którego fryzjera się czesze. W następnej godzinie zamówił po raz trzeci koniak i kawę, słuchając z uwagą jej wynurzeń na temat małżeństwa w ogóle, przytakując w miejscach, w których było to wskazane i zaprzeczając tam, gdzie się tego spodziewała.

— Wie pan co — powiedziała w jakiś czas później, spoglądając na niego zamglonymi

oczami — wydaje mi się, jakbyśmy znali się od wielu lat. Z panem to się świetnie rozmawia. Mój mąż nigdy...

Wiedział, że teraz zacznie się o mężu i nie omylił się. Zręcznie naprowadzał ją na interesujący go temat, usiłując wywnioskować, do jakiego stopnia orientuje się w pracach docenta. Była na tyle sprytna, że to i owo zapamiętała, musiała słyszeć z rozmów, jakie prowadzono w domu, z telefonów, nawet z gazet.

— Mój Boże, to mąż pani pewnie ogromnie zmartwiony, że mu skradziono ważną pracę naukową — rzekł ze współczuciem w głosie.

Lekceważąco wydeła wargi.

— Gdzież tam — mruknęła. — Miał kopię.

A więc jednak. Pierwsza część planu powiodła się nadspodziewanie, czuł się oszołomiony nie tyle koniakiem, ile tempem osiągnięcia informacji, która była mu potrzebna.

Straszewski miał kopię! Cóż, należało się tego spodziewać. W takim razie jednak, trzeba będzie zrealizować drugą część planu, i to dość szybko.

— Pani mąż powinien trzymać tę kopię w domu, nie zostawiać jej w Instytucie — powiedział. — Nie znam się na tych chemicznych osiągnięciach, jestem jak już pani mówiłem, tylko zwykłym urzędnikiem, ale gdybym to ja napisał ważną pracę, trzymałbym ją pod kluczem we własnym mieszkaniu.

— On też tak robi — odparła niedbale, nudził ją ten temat. — Od tej kradzieży ma wszystko w domu, w kasie żelaznej. Stamtąd już nikt nie zabierze.

Postanowił, że na dzisiaj dosyć. I tak dowiedział się więcej, niż przypuszczał, nie należało zbytnio interesować się pracami pana docenta, Straszewska była już trochę pijana, ale natarczywe pytania mogły mimo wszystko obudzić w niej podejrzenie. Prócz tego bał się, że mogą spotkać kogoś ze znajomych, ryzykował wiele, przedstawiając się jej pod zmyślnym imieniem i nazwiskiem.

Uregulował rachunek, szatniarz przywołał taksówkę. Straszewska zażądała odwiezienia do domu, więc ulokował się obok niej, jeszcze była mu potrzebna.

— Zdzisiu, kiedy się zobaczymy? — spytała, przytulając twarz do jego ramienia.

Speszył się, tego nie przewidział, ale jego męska próżność została mile polechtana, choć zwycięstwa na tym polu mało go interesowały. Pogłaskał jej policzek, pocałował przelotnie.

— Widzisz — znalazł dobry wykręt — chciałbym się z tobą spotkać, ale gdzie? U ciebie w domu mąż, u mnie żona, dzieci, teściowa. Moglibyśmy tylko wyjechać poza Warszawę. Musiałbym jednak wziąć urlop, a teraz mi nie dadzą.

— Możesz mnie odwiedzić — uśmiechnęła się. — Mąż jutro wyjeżdża na cztery dni, a gosposi powiem, żeby nie przychodziła. Jestem sama. No, jak? — zajrzała mu w oczy. — Nie myśl, że ja tak zawsze, z każdym. Ja tylko z tobą. Podobasz mi się — zachichotała. — Przyjdiesz?

— Przyjdę — odparł z zadowoleniem. Oto wszystko składało się po jego myśli, pchało się po prostu w ręce, czuł w tej chwili wdzięczność do Bożeny, że mu tak ułatwia robotę.

— Jutro nie, ale pojutrze. We czwartek. Dobrze?

— Dobrze. O której?

— Może gdzieś o szóstej? Kiedy wychodzisz z biura?

— O czwartej, ale muszę być w domu. Przyjdę koło dwudziestej, wcześniej nie da rady. Powiem, że mam nocną pracę. Co przynieść?

— Nic, ja przygotowuję kolację. Mam sporo wódki, wino, radeberger. Nic nie przynos. Najwyżej kwiaty.

Powtórzyła mu adres, i tak wiedział, ale zapisał starannie w notesie. Przed jej domem nie chciał wysiąść, trzeba być ostrożnym — powiedział, więc pożegnali się oficjalnie. Kiedy weszła w bramę, kazał taksówkarzowi odwieźć się niedaleko parkingu, gdzie stał opel.

W dwa dni później dzwonił do drzwi jej mieszkania, w rękę trzymał bukiet kwiatów,

jak przystało na zakochanego mężczyznę, trochę obawiał się, czy nie urządziła mu jakiegoś kawału, więc przygotował się, że może mu otworzyć drzwi sam docent, a wówczas powie po prostu, że pomylił mieszkania, ukloni się i odejdzie.

Nie było jednak żadnych niespodzianek. Bożena uchyliła drzwi uśmiechając się z widoczną radością. Miała na sobie obcisły szlafrok z cienkiego jedwabiu, poczuł mocną woń perfum, kiedy musnęła mu wargi pocałunkiem. Musiał przyznać, że wygląda świetnie, daleko lepiej niż tam w Bristolu, to ułatwiało sytuację, bo chciał, żeby tego wieczoru wszystko było po jej myśli. Wtedy myślał tylko o swoich planach, dziś podobała mu się jako kobieta.

Wprowadziła go do pokoju, służył on widać za sypialnię, bo szeroki dwuosobowy tapczan zajmował w nim najwięcej miejsca, szafy ukryte były w ścianach, trochę obrazów i telewizor oraz mały podręczny barek stanowiły resztę umeblowania.

Rozejrzał się uważnie, szukał wzrokiem żelaznej szafy, o której wspomniała, ale tu jej nie było. W jakiś czas później spytał z umiarkowaną ciekawością, ot, jak każdy obcy przybysz, o resztę mieszkania, więc pokazała mu drugi pokój, wyjaśniając, że to gabinet męża.

Żelazna szafa stała w rogu, nieduża, trochę staroświecka, może docent odziedziczył ją po przodkach albo kupił okazyjnie, takich szaf teraz nikt nie robił. Obejrzał ją dokładnie, zainteresowanie było w tym przypadku usprawiedliwione właśnie tą staroświeckością mebla. Zorientował się, że zamek nie jest skomplikowany, zwyczajne podwójne klucze, osądził, że chyba nie byłoby trudno go zrobić, ale oczywiście, o tym trzeba było się upewnić.

— Chodź tutaj... — zawołała Bożena, kiedy stał jeszcze w tamtym pokoju i zapamiętywał jego rozkład, rozstawienie mebli, położenie drzwi i okna.

Leżała na tapczanie, sennie uśmiechnięta, przyzywająca, pełna oczekiwania. Kiedy podszedł, wolnymi ruchami zrzuciła z siebie szlafrok.

„Dasz mi nie tylko to” — pomyślał, obejmując jej nagie plecy.

*

Pułkownik Stablewski potrząsnął głową, był zniecierpliwiony, trochę zły.

— To zakrawa na jakieś idiotyczne żarty — powiedział, odkładając protokół na biurko. — Nieznana broń świetlna? Kto to wymyślił? Nie wierzę!

— A jednak, chyba będziemy musieli uwierzyć — odparł major Daniłowicz. — Docent Stern, sam zaskoczony, powołał do sekcji dwóch swoich kolegów. Potwierdzili jego opinię.

— Zrozumcie, majorze, wystawimy się na śmiech, jeżeli uwierzymy w jakieś tam promienie śmierci czy coś w tym rodzaju. Owszem, było już kiedyś zabójstwo przy pomocy igły, ale normalnej igły metalowej, która przeszła czaszkę. Natomiast tutaj...

Urwał, wziął znowu do ręki protokół sekcji zwłok Stanisława Mikołca i czytał głośno:

— „Drobne wylewy krwawe w okolicy skroniowej prawej i ciemieniowej lewej, w tkance podskórnej głowy...” Dobrze, to jasne. Ale dalej: „Na skórze w tych miejscach zwęglenie, dostrzegalne tylko pod mikroskopem”. Skąd zwęglenie? Przypuśćmy, że został porażony prądem, w jakiś specjalnie skomplikowany sposób, ale... — Wzruszył ramionami, zastanawiał się chwilę. Potem znowu czytał: — „W miejscach, odpowiadających zmianom na skórze i tkankach miękkich, znajdują się ubytki kości czaszki, w kształcie maleńkich punkcików, połączone jakby kanałem, biegnącym przez cały mózg.”

— Tym kanałem biegła właśnie igła świetlna lasera — odezwał się kapitan Szczęsny, siedząc swoim zwyczajem na parapecie.

Pułkownik spojrzał na niego spod oka. Nie odpowiedział.

— Stern dodaje w protokole, że badania włosów, skóry i kości nie wykazały obecności żadnych cząstek metalicznych — zauważył Daniłowicz. — Stąd wniosek, że pocisk nie miał nic wspólnego z metalem.

— Wniosek, moim zdaniem, pochopny. Cząstek mogło nie być, mogły być tak mikroskopijne, że nie dały się zauważyć. Ale Stern wnioskuje dalej, że Mikołca zabito za pomocą

wiązki promieni o niezwykle wysokiej temperaturze — kontynuował Szczęsny. — Sugeruje, że była to nie znana nam broń świetlna. Stern ma rację, pułkowniku!

— Widzę, że koniecznie chcecie to połączyć ze sprawą w Instytucie Chemii. Tam laser i tu laser. Nonsens! — Sapnął gniewnie, zaczął krążyć po gabinecie dużymi krokami. — Dobrze, załóżmy nawet, że macie rację. W takim razie, skąd się wziął u nas w Polsce taki aparat laserowy, który jeden człowiek przenosi z miejsca na miejsce, a więc musi być to przedmiot lekki, stosunkowo nieduży, w dodatku pracujący na jakimś niewiarygodnie silnym źródle mocy, na bateriach, bo ja wiem? Atomowych, czy coś w tym rodzaju. Skąd taki aparat, jeżeli dotychczas nie wynaleziono go nawet w bardziej uprzemysłowionych, bogatszych krajach? Tam, gdzie technika jest posunięta o wiele dalej niż u nas?

— Skąd wiecie, pułkowniku, że ten aparat nosił jeden człowiek? — zauważył Daniłowicz. — Może było ich dwóch, a nawet trzech. Skąd wiecie, że nie wynaleziono go w innych krajach? Tak sądzi Straszewski, tak mówią inni fizycy i chemicy u nas. A jeżeli się mylą?

— Musiałby zostać przywieziony do Polski — mruknął pułkownik z powątpiewaniem w głosie. — Przez granicę. Celnicy nie przepuściliby nieznanego urządzenia, które w dodatku może być straszliwą bronią.

— Celnicy nie badają bagaży dyplomatycznych.

— W takim razie, ta sprawa kwalifikuje się dla kontrwywiadu — pułkownik rozłożył ręce.

— Być może. Ale niekoniecznie. Nie mamy żadnego dowodu, że ktoś przewiózł przez granicę cudzoziemskie urządzenie laserowe. Nie mamy więc dowodu na to, że nie wymyślił i skonstruował go nasz rodak. Tu, w kraju. Kontrwywiad nie podejmie takiej sprawy.

— Musimy tam iść — Szczęsny zerwał się z miejsca. - Może w mieszkaniu Mikołca jest jednak coś, co przeoczyliśmy. Jakieś urządzenie... trzeba wziąć eksperta-fizyka. Dobrego inżyniera. Mikołc mógł ostatecznie zostać zabity wskutek własnej nieostrożności. Może szukaliśmy nie pod tym kątem. Nawet na pewno nie. Przecież wprawdzie wydawało się, że to zawał serca.

— Dobrze — zgodził się pułkownik. — Pojadę z wami.

Połączył się z Zakładem Kryminalistyki, przedstawił prośbę o eksperta. Poinformowano go, że będzie za dwie godziny, zaproponował, że pojedą po niego pod Zakład. Potem odłożył słuchawkę i jeszcze raz zaczął studiować wyniki sekcji, marszcząc brwi w niedowierzaniu.

Mieszkanie Mikołca stało jeszcze puste. Wysłano depeszę do jego rodziny, ogłędną w słowach, ale stanowczo domagającą się przyjazdu. Okazało się jednak, że żona i dziecko do-ktora wraz z całą grupą znajomych urządzili coś w rodzaju rajdu samochodowego po Mazurach. Depesza leżała więc w Mikołajkach, czekając na dzień, kiedy zmotoryzowana wycieczka zjawi się tam na parodniowy wypoczynek. Nadano parokrotnie wezwanie przez radio, jak dotąd bez odpowiedzi.

Pułkownik Stablewski rozglądał się po ścianach gabinetu naukowca, śledząc pracę grupy operacyjnej, która po raz drugi, tym razem w innym składzie, przystąpiła do wizji lokalnej. Ekspert-fizyk, dyplomowany magister inżynier, w lot pojął, o co Szczęsnemu chodziło. Miał ze sobą potrzebne do tego przyrządy, badał ściany, podłogę i sufit cierpliwie i dokładnie, centymetr po centymetrze, w końcu zabrał się do mebli, okien i drzwi.

Po godzinie oświadczył stanowczo: żadnych urządzeń elektrycznych, żadnej ukrytej aparatury, która mogłaby wywołać nagłe porażenie prądem. Nie z tych rzeczy.

— Niemożliwe — mruknął pułkownik, zawiedziony.

— W jakim położeniu były zwłoki? — spytał nagle technik dochodzeniowy. Stał na najwyższym szczeblu aluminiowej, składanej drabinki i z tej wysokości mierzył oczami odległość pomiędzy nim a podłogą.

Szczęsny podał mu dwa zdjęcia.

— Dlaczego pytaacie? — zdziwił się Stablewski.

— Właściwie chodzi mi o co innego — odparł technik. — Doktor Mikolc, sądząc z położenia ciała, tuż przed osunięciem się na dywan stał w tej pozycji, mniej więcej... — zeskoczył z drabiny i stanął niedaleko biurka. — Tak?

— Zgadza się — potwierdził kapitan. — Wskazuje na to układ zwłok. Znalazłeś ślad na ścianie?

— Nie jestem pewien — rzekł tamten z wahaniem. — Być może, jest to dalszy ciąg tej wiązki promieni. Bardzo nieznaczny ślad, ale...

Wspiął się z powrotem na górę, ostrożnym ruchem zdjął ze ściany nieduży obrazek w drewnianej, szerokiej ramie, zszedł na dywan i położył obraz na biurku.

— Tutaj — powiedział, wskazując końcem ołówka na ledwie widoczny znak, jakby opalenia, pośrodku ramy. — Pod lupą widać mikroskopijny otworek. Oczywiście, trzeba to zbadać dokładniej, ale jeżeli Mikolc stał właśnie w takiej pozycji, to ta igła świetlna po przebicciu czaszki mogła, że tak powiem, skończyć swój bieg na ramie.

— Pomiary — rzekł niecierpliwie Stablewski.

Zaczęli wymierzać, posługując się danymi o wzroście, tuszy i innych wymiarach zmarłego. Trzeba było dodać trochę na obuwie, ustalić kierunek lotu nieznanych promieni śmierci.

— Więc tak — powiedział wreszcie Szczęsny. — Zabójca ze swoim aparatem czy innym śmiertcionośnym urządzeniem stał w kącie pokoju, chyba zakryty drzwiami. Być może, a wiele na to wskazuje, znajdował się tu, kiedy Mikolc wszedł do mieszkania. Więc ukrył się w kącie, a widząc wchodzącego do pokoju doktora strzelił, celując w głowę. Igła świetlna przebiła czaszkę, następnie dolną ramę obrazu.

— To by sugerowało — zauważył major — że Mikolc o pewnej godzinie opuścił mieszkanie, a potem wrócił i zastał tu zabójcę. Jak wiemy z oświadczenia laborantów w Ośrodku Elektroniki, wyszedł stamtąd o godzinie siedemnastej. Zabrał ze sobą w teczce pracę. Tę, która potem zniknęła. A więc, chyba przyniósł ją do domu. Ktoś o tym musiał wiedzieć.

— Nie tylko o tym — wtrącił Szczęsny. — Ktoś musiał zauważyć, że Mikolc opuścił mieszkanie na pewien czas. Jeżeli zależało mu na pracy, a tak można sądzić, to nagły powrót doktora w pewnym sensie zmusił go do zabójstwa. To znaczy, przypuszczam, że zabójstwo było rzeczą wtórną, było przypadkowe, co oczywiście nie usprawiedliwia, chcę tylko rozumować przez chwilę tak, jak zabójca. Nie wydaje mi się, żeby ten człowiek c h c i a ł zabić, raczej chciał tylko zabrać pracę. Do czego zmierzam? Może to on sam, celowo, wywołał Mikolca z mieszkania, aby móc swobodnie poszukać pracy i zabrać ją?

— Chyba się mylisz — zaprzeczył Daniłowicz. — Gdyby tak było, urządziłby to tak, aby Mikolc nie wrócił zbyt wcześnie. Nie. Ja myślę, że po prostu obserwował dom i zauważył, że tamten wyszedł. Nie wiedział jednak, na jak długo, i dlatego Mikolc zastał go w mieszkaniu.

— Będziemy musieli zatrzymać tamtych dwóch laborantów — rzekł pułkownik. — Oni wiedzieli, że Mikolc wyszedł z pracą i że zabrał ją do domu. Któryś z nich może być zabójcą albo jego współnikiem, prędzej to drugie.

— Zajmę się lokalami — mruknął kapitan. — Może doktor wyszedł coś zjeść. Był sam w domu, w kuchni nie widać żadnych zapasów, więc pewnie jadał na mieście. Może umówił się z kimś na kawę. Potrzebuję całe mnóstwo odbitek jego zdjęcia.

— Z tym wszystkim — mówił później pułkownik, kiedy wracali radiowozem — jeżeli przyjąć, że to rzeczywiście były promienie laserowe, będziemy mieli bardzo ciężkie zadanie! Pomyślcie, człowiek, który skonstruował taki aparat, to właściwie niemal geniusz w dziedzinie fizyki. Gdzie są u nas ci geniusze? I gdzie on mógł taką rzecz wykonać, przecież w każdym instytucie czy ośrodku musiałby użyć do pomocy techników, laborantów, rzecz byłaby znana od początku do końca, nie dałaby się ukryć.

— Może nie jeden człowiek, a cała grupa ludzi — powiedział major w zamyśleniu. — Ludzie, którzy w niewiadomym celu niszczą prace znanych fizyków i chemików. Może to naprawdę jest robota dywersyjna i należałoby ją oddać kontrwywiadowi.

— Nie — odezwał się Szczęsny. — To nasza sprawa.

Milczeli potem, zatopieni każdy w swoich myślach, zdumieni niezwykłością morderstwa, wprowadzie za pomocą genialnego mózgu, ale jednak — fakt pozostawał faktem morderstwa. Kiedy wysiadali już z samochodu, Stablewski rzekł z powątpiewaniem:

— A jeżeli Stern się omylił?

— Tam było ich trzech — przypomniał major. — Mogą się mylić co do rodzaju broni, ale na pewno nie mylą się co do wyniku sekcji.

— Do tej pory nie znalazł się nikt, do kogo Mikolc tamtego wieczoru zaniósłby swoją pracę — rzekł Szczęsny. — Pytaliśmy według listy naukowców i techników, przygotowanej przez Ośrodek Elektroniki. Rozmawiałem też z docentem Straszewskim i innymi w Instytucie Chemii. Owszem, znali Mikolca, niektórzy nawet dość blisko, ale nikt go wtedy nie widział. Czyli, jeżeli nikt się dalej nie zgłosi, to należy uznać, że Mikolc przyniósł pracę do domu.

Wrócili do Komendy, usiedli w gabinecie Stablewskiego. Kapitan zaparzył kawę, wyręczając nieobecną sekretarkę. Potem wyjął z teczki kilka arkuszy papieru i rozłożył je na stoliku.

— Spisałem wszystkie instytucje, fabryki, ośrodki, zjednoczenia i tak dalej, które mają coś wspólnego z elektroniką, fizyką i chemią — powiedział. — Gdyby można tutaj ściągnąć... o, właśnie pan jest nam potrzebny — rzekł na widok eksperta-fizyka, który zaglądał do gabinetu.

— Przepraszam bardzo — ekspert był w codziennym życiu nieśmiały i małowówny, ożywił się tylko podczas pracy — czy któryś z panów nie znalazł mego długopisu?

— Taki zielony? Owszem, zostawił pan na biurku Mikolca.

— Bardzo dziękuję. Fatalny długopis, ale nie mogę go zgubić, zawsze ktoś mi oddaje. Do czego mogę być jeszcze potrzebny?

— Chodzi o to — rzekł kapitan, wskazując stolik. — Pan jako fizyk zna się na tych sprawach. W których instytucjach powinniśmy szukać, aby natrafić na przypuszczalnego zabójcę? To, co mówię, może się okazać absurdalne, bo mam na myśli jedynie wybitnych, wyjątkowo zdolnych naukowców... Zakładam jednak, że istnieje człowiek albo paru ludzi, którzy postawili sobie za cel niszczenie dorobku polskich fizyków i chemików.

— Rzeczywiście, chyba absurdalne — odparł ekspert, spoglądając na papiery. — Łączy pan to morderstwo z kradzieżą pracy docenta Straszewskiego?

— Tak.

— Zdaje się, że w tej chwili nie mamy innego wyjścia, jak uwierzyć w taką koncepcję — mruknął Stablewski. — Poza tym, w zbrodni nie ma motywów nie do uwierzenia. Innymi słowy, wszystko jest możliwe i ze wszystkim trzeba się liczyć. Także z tym, że mamy do czynienia z nieobliczalnym szaleńcem, może nawet: genialnym szaleńcem. Pomysły takiego człowieka wcale nie muszą być logiczne, zgodne ze zdrowym rozsądkiem.

— Czyli, musimy nastawić się na tok myślenia wariata — major wyłożył to jaśniej, odstępując ekspertowi swoją filiżankę kawy.

— Zaraz ci dam. — Szczęsny jeszcze przez chwilę bawił się w panią domu, po czym obaj z fizykiem pochylili się nad listą.

— Ośrodek Elektroniki... oczywiście — rzekł inżynier, stawiając „ptaszka” swym fatalnym, zielonym długopisem, który długo skrobał po papierze, zanim zdecydował się pisać. — Instytut Chemii... Politechnika i oba wydziały Uniwersytetu... Instytut Fizyki Jądrowej też. Instytut...

Wiele „ptaszków” pojawiło się na liście. Pułkownik westchnął ciężko. Trzeba było porozumieć się z Brezżą, wziąć do pomocy wydział gospodarczy, poinformować komendantów

wszystkich dzielnic, zaprzęgnąć do roboty służbę wywiadowczą, zwrócić się do kontrwywiadu...

— Fabryka Przyrządów... nie, tam nie ma co szukać. Ośrodek Informacji Fizyko-Chemicznej, chyba też nie, oni nie mają żadnych laboratoriów, żadnych urzędów, Zakład „T-6”... tak, tam są inżynierowie elektronicy. Biuro Projektów „F-2”... nie warto. Robią takie drobiazgi, raczej dla szkół.

Zielony długopis ominął Biuro Projektów „F-2” i przesunął się dalej. Szczęsny śledził jego ruchy ze zmarszczonymi brwiami. Im więcej „ptaszków”, tym więcej roboty. Nieprawdopodobnie ciężkiej, roboty. Powinni ochraniać i czuwać nad wszystkimi naukowcami, którzy przygotowują teraz jakieś nowe prace, a jednocześnie powinni tychże samych naukowców uważać za podejrzanym o kradzieże i zbrodnie.

— Potworny paradoks! - - dokończył na głos myśli. — Słuchaj, Stefan — zwrócił się do Daniłowicza — nie pamiętasz, czy docent Straszewski miał kopię skradzionej pracy, czy też zabrano mu wszystko?

— Brezga mówił mi, że skradziono wówczas oryginał i obie kopie. Chyba nic nie pozostało.

— A Mikołc? Miał kopie?

— Dyrektor Ośrodka i laboranci twierdzą, że nie. Praca była jeszcze nie zakończona, nie przepisana na czysto.

Po przejrzeniu listy okazało się, że powinni zbadać sytuację w siedemnastu instytucjach. W każdej z nich, według opinii eksperta, mógł znajdować się wybitnie zdolny fizyk lub chemik, zorientowany w elektronice kwantowej i w pracach dotyczących tej dziedziny.

— Chyba tą drogą nie ujedziemy daleko — rzekł Daniłowicz ze zniechęceniem. — To może potrwać parę lat.

*

W ciągu następnych dni pracownicy służby wywiadowczej odwiedzili wszystkie lokale w centrum stolicy i większość w innych dzielnicach. Mieli przy sobie zdjęcia doktora Stanisława Mikołca, które cierpliwie i skrupulatnie okazywali portierom, szatniarzom, kelnerom, babkom klozetowym, barmanom, windziarzom, sprzedawczyniom w hotelowych kioskach „Ruchu” i komu tam jeszcze.

W tym samym czasie inni robili to samo z taksówkarzami, ale bez większej nadziei, gdyż było wiadome, że Mikołc miał własny samochód i z taksówek raczej nie korzystał.

Wreszcie czwartego dnia pod wieczór, kiedy Szczęsny z Kręglewskim mieli właśnie wyjść z Komendy, na schodach spotkał ich jeden z wywiadowców ze śródmieścia, szczupły chłopaczek o drobnej, delikatnej twarzy, ubrany jak typowy bywalec lokali nocnych, na oko tak niepozorny, że często podpici goście zaczepiali go dla wywołania draki, mylnie sądząc, że mają przed sobą potencjalną ofiarę. Wywiadowca ten obdarzony był bowiem niezwykle szybkim refleksem i zdawał się widzieć wszystko naraz, z przodu, z tyłu i z boków, nie sposób było go podejść i zaskoczyć. Gumowa pałka wyskakiwała mu z rękawa tak niespodziewanie, jakby tkwiła tam na stalowej sprężynie, działającej na zasadzie fotokomórki.

— Coś, nowego, Andrzej? — spytał kapitan przyjaźnie. Znał tego wywiadowcę i doceniał.

— Chyba tak — uśmiechnął się milicjant. — Mikołc był w kawiarni Grand-Hotelu, gdzieś od wpół do jedenastej wieczorem. Poznał go na zdjęciu ten facet z recepcji, bo pytał go o jakiegoś Anglika, profesora. Taki Anglik nie mieszkał w hotelu, podobno Mikołc był tym bardzo zdziwiony. Kelnerki też pamiętają, rozmawiałem z dwiema. To był przystojny gość, taki kobietom wpada w oko. Siedział sam przy stoliku, rozglądał się, patrzył na zegarek, ale nikt do niego nie podszedł. Więc potem pytał w recepcji, no i wyszedł.

— To już jest coś — westchnął Kręglewski z zadowoleniem. — Jedziemy tam?

— Tak — odparł Szczęsny. — I to zaraz.

Pojechali w trójkę. Kapitan wypytywał o każdy szczegół, nawet o ubranie Micolca. Okazało się, recepcjonista miał doskonałą pamięć, że doktor był ubrany tak, jak go znaleźli zabitego w mieszkaniu. Nie był to strój, w jakim mężczyzna zwykle pracuje w domowym zaciszu, prócz tego Szczęsny pamiętał, że w łazience Micolca leżały niedbale porzucone flanelowe, trochę już zniszczone spodnie, sweter i kolorowa koszula. Wyglądało na to, że doktor otrzymał niespodziewanie jakiś telefon czy innego rodzaju zawiadomienie, aby przyszedł do kawiarni w Grand-Hotelu; przebrał się więc spiesznie i wyszedł. Oczywiście mógł umówić się na to spotkanie wcześniej, jednak wiele wskazywało na to, że doktor był niezwykle porządny i utrzymywał swoje osobiste rzeczy niemal w idealnym ładzie. Nie przebierałby się więc tak w pośpiechu, porzucając koszulę na podłodze, a sweter na brzegu wanny, gdyby nie jakaś nagła wiadomość.

Dziwne było, że pytał o Anglika, który w ogóle w hotelu nie mieszkał, choć według jego zapewnień m i a ł mieszkać, recepcjonista nie mógł sobie wprawdzie przypomnieć nazwiska tego Anglika, ale pamiętał, że przeszukiwał dokładnie, dwa razy, listę gości, miał to być jakiś angielski profesor.

— Może panowie zapytają w Europejskim albo w Polonii? — podsunął któryś z pracowników hotelu.

Po godzinie sprawdzili wszystkie hotele. Żaden angielski profesor w tamtych dniach nie mieszkał.

— Nabrali go — stwierdził Kręglewski. — Ktoś wywołał go z mieszkania, bo chciał ukraść pracę. Sądził, chyba słusznie, że dla byle jakiego spotkania Micolc nie wyjdzie z domu późnym wieczorem. Więc wymyślił zagranicznego profesora, pewnie fizyka albo chemika.

— Być może, że jest to nowa cecha zabójcy, którą znamy: mówi po angielsku — rzekł Szczęsny.

— A Micolc znał angielski?

— Podobno bardzo dobrze.

— Co nam to da, ta cecha? Pół Warszawy mówi dziś po angielsku. Zobacz, jakie kolejki stoją jesienią do Metodystów, na placu Zbawiciela. Dłuższe niż po bilety na zagranicznych bitelsów.

— W każdym razie pozostaje jeszcze drugie pół, które po angielsku nie mówi — roześmiał się Szczęsny.

Mimo wszystko, był zadowolony. Pierwsza nić, fakt bytności Micolca w kawiarni i poszukiwanie przez niego jakiegoś Anglika, została uchwycona. Przyszło mu jednak na myśl, że w tej sytuacji sprawa trąci szpiegostwem, i zasępił się.

ROZDZIAŁ 5

— Poczta, panie dyrektorze — sekretarka położyła na biurku stos listów, druków i kartek. — Tego nie otwierałam, bo napisane: do rąk własnych — zaakcentowała ostatnie słowo z leciutką irytacją, ktoś tam przypuszcza, że sekretarka i tak nie wie o swoim dyrektorze wszystkiego, co chciałaby wiedzieć.

Położyła list oddzielnie, była to zwykła biała koperta, pismo maszynowe, bez żadnych nadruków ani pieczętki.

Dyrektor Gołąb spojrział na list obojętnie. Nie miał nic do ukrywania przed sekretarką, w każdym razie w poczcie, kochanki miewał rzadko i nigdy nie pisały do niego listów.

— Niech pani otworzy — mruknął, przeglądając impertynenckie pismo ze Zjednoczenia; nie mógł się obrazić, bo potrzebował dodatkowych etatów, postanowił więc, że rewanz

odłoży na dalsze terminy.

Zdziwiła go nagle cisza. Spojrzał na sekretarkę, była blada i jakby zmartwiała, przestraszył się, że zemdleje.

— Co pani jest? — zawołał, a widząc, że wciąż wpatruje się w otwarty list, bezceremonialnie wyrwał go z jej ręki. Szybko przebiegł oczami treść, wykrzyknął: — Coś takiego!... — i zaczął czytać jeszcze raz, wolniej i uważniej.

„Panie dyrektorze — pisał ktoś, podpisany „Przyjaciół” — tak się złożyło, że otrzymałem wiadomość, którą muszę się z Panem podzielić, bo może mieć najgroźniejsze skutki. Chodzi o pracę naukową profesora Zaklickiego, zatrudnionego w Zakładzie ETO, którym Pan kieruje. Przestępca, który ukradł już pracę docenta Straszewskiego i zabił doktora Mikołca, zamierza teraz ukraść cenny dorobek naukowy profesora Zaklickiego. Proszę pilnować pracy! Proszę pilnować profesora! Ostrzegam, póki czas.”

List pisany był na maszynie, podpis też. Dyrektor Gołąb obracał w ręku białą kartkę, zastanawiając się, co powinien z tym zrobić. Nie wolno było lekceważyć ostrzeżenia, w ETO wiedziano o wszystkim, co zaszło zarówno w Instytucie Chemii, jak i w Ośrodku Elektroniki. Pierwszą jego myślą było zawiadomić jak najszybciej Zaklickiego. Ponieważ jednak przywykł dobrze się namyślić, zanim coś postanowi, wstrzymał się z tą decyzją, ostatecznie nikt nie zamorduje profesora w biały dzień, w pracowni Zakładu ETO, tego był pewien.

— Dobrze — powiedział, odkładając list na biurko. Popatrzał spod oka na sekretarkę, która z wolna przychodziła do siebie. — Ale pani strachliwa! To anonim. Powiniennem wrzucić do kosza.

— A jeżeli naprawdę profesorowi coś grozi? — spytała, przypominając sobie wszystko, co jej mówiono o Mikołcu.

— W każdym razie, nie w tej chwili — odparł stanowczo. — W ETO profesor jest bezpieczny. Niech mu pani powie... albo nie, niech mnie pani z nim połączy. I proszę nikomu ani słowa o liście.

— Rozumiem, panie dyrektorze.

Wyszła do sekretariatu. Po chwili na biurku dyrektora odezwał się brzęczyk telefonu. To był Zaklicki. Trochę zniecierpliwiony, pytał o co chodzi, miał pilne analizy do wykonania.

— Proszę zejść do mnie, profesorze — rzekł Gołąb z naciskiem i odłożył słuchawkę. Potem siedział przez kilka minut nieruchomo, a twarz jego stopniowo przyoblekało coraz większe zdziwienie. Wiedział bowiem, że obecne prace profesora nie są już żadną rewelacją naukową. grzebał się od roku w jakichś mało ważnych doświadczeniach z włóknami optycznymi, nic z tego nie wychodziło, trzymano go w ETO tylko ze względu na dawne osiągnięcia, o których zresztą mało kto już pamiętał.

Czyżby teraz udało mu się odkryć coś niezwykłego? Ale jeżeli tak, to dlaczego się z tym kryje i o co tu chodzi?

Zapukano do drzwi. Zaklicki wszedł swym drobnym, denerwującym kroczkiem i od progu zaczął zrzędzić na jakieś nie dostarczone materiały. Gołąb słuchał go niecierpliwie, wreszcie widząc, że tamten nie zamierza skończyć, przerwał mu w pół słowa.

— Niech pan siada, profesorze — wskazał fotel, kto wie, może stary się wystraszy i zasłabnie, miał już doświadczenie z sekretarką.

Zaklicki usiadł i zabierał się do dalszych wywodów, ale dyrektor podał mu list, więc umilkł, popatrzył niechętnie na białą kartkę, potem wziął ją do ręki. W miarę jak czytał, na jego twarz zaczął wypływać mocny rumieniec. Gołąb obserwował go ze zdumieniem. To nie był strach. Oczywiście Zaklickiego rozblęskiły, przygarbiona postać jakby rozprostowała się. „On się z tego cieszy” — zrozumiał wreszcie dyrektor. To było nie do uwierzenia, ale Zaklicki naprawdę ucieszył się z listu, który miał wywołać w nim strach.

— A więc jednak doceniają gdzieś tam moje prace — powiedział z nie ukrywaną dumą w głosie. Zupełnie nie zwrócił uwagi na groźne ostrzeżenie, zawarte w liście „Przyjaciół”. —

No, pewnie, mają rację. Moje ostatnie doświadczenia z rdzeniem ze szkła neodymowego...

Trudno, nic nie dało się poradzić. Gołąb musiał wysłuchać długiego wywodu na temat tego szkła i w ogóle włókien optycznych, próby wtrącenia choćby jednego zdania nie powiodły się. Słyszał tylko bez końca: ja, moje, przeze mnie, o mnie. Ostrzegawczy list leżał spokojnie na biurku, zapomniany przez tego, komu miało grozić niebezpieczeństwo.

W końcu dyrektor zdenerwował się.

— Panie profesorze! — wykrzyknął. — Chodzi może o pańskie życie, a pan mi tu... — urwał, powściągnął język, nie wypadało użyć brzydkiego słowa wobec szanowanego starca.

Zaklicki spieszył się, zamrugał obwisłymi powiekami.

— Sądzi pan, że... — zaniepokoił się jednak. — To co mam zrobić?

— Właśnie o tym myślę. Chyba trzeba będzie zawiadomić milicję.

— A może to głupi żart? — Profesor wyraźnie posmutniał. — Co prawda, wątpię, żeby ktoś sobie wobec mnie pozwolił na takie żarty. W każdym razie lepiej, żebym swoją pracę trzymał w ETO, nie w domu. Chociaż u mnie dom pełen, syn, synowa, wnuki, niełatwo byłoby komuś zakraść się niepostrzeżenie.

— Chyba ma pan rację, ale proszę jednak nie zabierać pracy do domu. I proszę też uważać na siebie, profesorze.

Na tym poprzestali, aczkolwiek później Gołąb miał wyrzuty sumienia. A jeżeli naprawdę ktoś zamierza zabić starego profesora... Na drugi dzień poradził się swego zastępcy i, na wszelki wypadek, sekretarza organizacji partyjnej. Zastępca całkowicie zlekceważył ostrzeżenie, jego zdaniem był to niemądry kawał, komu mogło zależeć na starym i na jego pracach. Sekretarz był ostrożniejszy. radził porozumieć się z milicją. Mimo to, Gołąb postanowił jeszcze zaczekać.

W trzy dni później przyszedł następny list. Zawierał już tylko kilka słów:

„Ratujcie profesora Zaklickiego! Dzień napaści zbliża się.”

— Niech mnie pani połączy z Pałacem Mostowskich — powiedział Gołąb do sekretarki. — Najlepiej z szefem wydziału zabójstw, bo kto wie, co tu się szykuje.

Jakiś czas potem siedział w gabinecie majora Daniłowicza i przyglądał się, jak tamten uważnie studiuje oba listy. Dwa lata temu milicja odnalazła jego skradziony samochód, stało się to w ciągu niespełna godziny od chwili zawiadomienia komendy dzielnicowej i, prawdę mówiąc, wywiadowca natrafił na tego moskwicza zupełnie przypadkowo, w trakcie innej roboty. Ale dyrektor ocenił to jako błyskawiczne działanie, był zachwycony i nabrał dla milicji szacunku.

Teraz więc zdał się całkowicie na jej decyzję, niech powie, co należy robić w tak skomplikowanej sytuacji.

Ale major Daniłowicz sam nie był pewien, co zrobić z profesorem i jego pracami. Znał tylko jedno absolutnie bezpieczne miejsce, tam jednak profesor na pewno nie zgodziłby się przebywać. Odszukanie ewentualnego nadawcy anonimów wyłącznie za pomocą maszynowego pisma i białej koperty było zadaniem obliczanym na miesiące, tu zaś chodziło o tygodnie, może dni.

— Czy to są poważne prace naukowe? — spytał ostrożnie, nie słyszał nigdy o profesorze Zaklickim, a może powinien był wiedzieć o nim to i owo.

Gołąb zmarszczył nos, westchnął i odparł ze szczerością w głosie:

— Wcale nie. Dlatego sam się dziwię... Chyba że profesor dokonał jakiegoś wyjątkowego odkrycia i nie zawiadomił o tym kierownictwa ETO. Ale w takim razie wiedzieliby inni pracownicy Zakładu, takiej rzeczy nie da się ukryć w laboratorium.

— Może zwierzał się ludziom spoza ETO, że opracowuje coś bardzo istotnego, wynalazek czy rewelacyjną metodę, i o tym dowiedział się autor listów. Jakież cel miałyby alarmowanie dyrekcji, gdyby nic się za tym nie kryło?

— Więc co mamy robić? — odpowiedział dyrektor pytaniem.

Pomyślał, że naprawdę mógł to być wynik gadulstwa. Stary był głęboko przekonany o swojej wiedzy i na tyle zarozumiały, że pewnie celowo stwarzał dokoła siebie atmosferę wielkiego uczonego i odkrywcy. Taka rzecz nie miała większych szans w samym ETO, ale mogła się doskonale udać w innym środowisku, gdzie trudno było sprawdzić, ile profesor umie i co jest wart.

— Trzeba uważać — odparł Daniłowicz. — Uważać na Zakład. Profesorem my się zajmujemy, to znaczy przydzielimy mu niewidoczną opiekę, ale oczywiście poza murami ETO. Niech pan zwróci uwagę na wartowników, na zamknięcia szaf, pokojów. Niech pan wpadnie, powiedzmy, co drugą, trzecią noc na kontrolę, o nieregularnych porach, to dobrze robi. Czy podejrzewa pan kogoś z pracowników ETO?

— Nie. To zupełny nonsens — Gołąb wzruszył ramionami.

— Kradzież w Instytucie Chemii i zabójstwo doktora Mikolca wskazują, że mamy do czynienia z przestępcą-fizykiem lub chemikiem. Przykro mi, ale musimy zwrócić uwagę również i na pracowników ETO.

Tak, ten major miał rację. Czy dyrektor mógł ręczyć, że listów nie wysłał żaden z nich? Jasne, że nie mógł.

*

Bożena wyjęła z barku butelkę koniaku.

— Co pijesz, Zdzisiu? — spytała, patrząc w głąb szafki; stała tam jeszcze wódka eksportowa i jakieś wino. Miała wczoraj kupić jarzębiak, ale zapomniała.

— Koniak, jeśli można — odparł uprzejmie. Wiedział, że właśnie w nim najmniej czuje się smak tego, co miało znaleźć się w jej kieliszku. Wypróbował to już kiedyś na sobie, spał potem chyba ze dwanaście godzin, ale pijąc nie poczuł nic przykrego, nic, co by wyraźnie zmieniało smak alkoholu.

— Kiedy twój mąż wraca z Francji? — spytał, kiedy usiadła obok niego na tapczanie i podała mu kieliszek.

— W przyszłym tygodniu. We czwartek czy środę, nie pamiętam. Czy to ważne?

— Nie. Tak sobie zapytałem. — Odstawił ostrożnie kieliszek, zaczął ją całować, objął ramieniem i zasłonił sobą stolik. Bożena przymknęła oczy.

W palcach lewej ręki miał przygotowaną tabletkę, była bezbarwna, bezwonna, znakomity środek nasenny dla ludzi, którzy nie powinni wiedzieć, że go zażywają. Przywiózł sobie kiedyś te tabletki z zagranicy i chował, przeczuwając, że się kiedyś przydadzą.

Wrzucił narkotyk do jej kieliszka. Tabletkę rozpuszczała się w ciągu trzydziestu sekund, przez ten czas całował oczy Bożeny, całą twarz pokrywał pocałunkami, uważny, chłodny, każdy ruch miał obliczony i przygotowany.

— Wypijmy — powiedział, sięgając po swój koniak.

— Podaj mi — szepnęła leniwie.

— Proszę...

Umyślnie nie patrzył, jak pije, bał się, że wzrok go zdradzi, Bożena była sprytna i dociekliwa. Spojrzył, kiedy usłyszał leciutki stuk kieliszka o szklaną płytę stolika przy tapczanie. Wypiła.

W pół godziny później zobaczył, że co chwila przymyka powieki, ziewnęła raz i drugi, uśmiechając się do niego przepraszająco.

— Taka jestem senna — mruknęła, przykładając głowę do poduszki.

— Prześpij się, kochanie — odparł, nakrywając jej nogi różowym pledem.

— A ty? Połóż się też.

— Ja sobie coś poczytam.

Wziął z półki kolorowe czasopismo francuskie, pewnie docent przywiózł je z którejś podróży. Usiadł w fotelu obok tapczanu, zaczął przerzucać kartki. Od czasu do czasu rzucał

na nią przelotne spojrzenie. Zasnęła, ale jeszcze wolał poczekać. I tak będzie spać dostatecznie długo, nie obudzi się prędzej niż jutro koło południa.

Po dwudziestu minutach usiadł koło niej, wziął ją za rękę, powiedział parę słów. Nie otworzyła oczu. Oddychała lekko, spokojnie, tak śpią ludzie pogrążeni w głębokim śnie. Mimo to jeszcze czekał kwadrans. Nachylił się, odgarnął jej włosy z czoła, spróbował wyciągnąć spod głowy poduszkę. Głowa zsunęła się na tapczan, oczy nawet nie drgnęły. Podłożył więc poduszkę z powrotem i wstał.

Zgasił górne światło, zostawił małą boczną lampę. Na palcach wyszedł do drugiego pokoju, zamykając drzwi za sobą.

Żelazna szafa dała się otworzyć zupełnie łatwo, widocznie docent nie bawił się w zakładanie specjalnych zamków, wystarczył mu podwójny klucz. Cicho zachrząściły zawiasy, kiedy otworzył drzwiczki. W środku były trzy półki, pełne teczek i papierów. Opróżnił najpierw górną, zwracając uwagę na kolejność i układ, aby później pozostawić wszystko w takim samym stanie. Rozłożył zawartość na dużym, pustym biurku i zaczął przeglądać.

Na żadnej z półek nie znalazł jednak kopii pracy docenta o spójnym promieniowaniu, wynikającym z domieszek jonów optycznie czynnych, do kryształów. Nic było nawet jakiegś próby odtworzenia tamtego opracowania, żadnych notatek ani wykresów. Cała zawartość szafy to były stare, dawno już opublikowane prace, widocznie przechowywane z naukowego sentymentu lub przezorności.

Ułożył wszystko starannie na półkach, zamknął szafę i zamyślił się. Albo Bożena się omyliła, albo też docent przed wyjazdem do Francji oddał komuś kopię do przechowania. To było całkiem możliwe. Nauczony doświadczeniem, nie dowierzał już żelaznym szafom — w każdym razie, nie w domu ani chyba w Instytucie. Z pewnością mógł znaleźć kilka innych, daleko bezpieczniejszych miejsc, choćby tylko w ministerstwie czy w którymś z dobrze strzeżonych obiektów wojskowych.

Wrócił do sypialni. Bożena spała w tej samej pozycji; nie drgnęła, kiedy wszedł. Nie miało sensu tkwić tutaj do następnego dnia, bał się jednak zostawić na stole kartkę. Postanowił, że zatelefonuje jutro i wytłumaczy swoje odejście jakąś pilną robotą.

Ale kiedy tak o tym myślał, nagle zrozumiał rzecz bardzo prostą, która w konsekwencji nie wymagała już telefonów ani wizyt w tym domu. Oto zadanie, jakie chciał tutaj wykonać, zostało wykonane i właśnie teraz należało odejść na zawsze, nie odezwać się więcej. Wprawdzie nie zabrał z szafy kopii, dowiedział się jednak, że jej tam nie ma, a więc przedłużanie znajomości z Bożeną nie było już potrzebne. Przeciwnie, każdej chwili groziło przecież zde-maskowanie jego roli rzekomego urzędnika, w dodatku o fałszywym nazwisku.

Tak. Kopii nie ma w domu, być może nie ma jej wcale, Bożena mogła o tym nie wiedzieć. Nie sądził, aby celowo wprowadziła go w błąd, nie widział ku temu żadnej przyczyny. Należało więc odejść.

Spojrzał na śpiącą, przez chwilę było mu żal, zaraz jednak odpędził to uczucie. Miłych kobiet jest dostatecznie dużo, aby nie zajmować się jedną. Zresztą potrafił obywać się bez nich, jeżeli nie było ku temu wygodnej okazji.

Wyszedł, zatrzasnął drzwi wyjściowe. Przedtem jednak starannie umył oba kieliszki, wytarł i ustawił na swoim miejscu, jak również butelkę z koniakiem. Teraz, gdyby nawet docent wrócił niespodziewanie, nie znajdzie w mieszkaniu żadnych śladów libacji.

*

— Zjadłbym coś — powiedział porucznik Kręglewski. Przystanął na rogu Marszałkowskiej i Alei Jerozolimskich, posyłając tęskne spojrzenie w kierunku baru „Cybernetyk”.

— Nie mamy czasu — mruknął Szczęsny. Podniósł kołnierz czarnego, skórzanego płaszcza. Dzień był zimny, od Wisły ciągnął porywisty, przejmujący wiatr.

Ale jego towarzyszy zdecydowanie skierował kroki w stronę „Cybernetyka”. Nie miało

sensu się upierać. Kiedy mały porucznik był głodny, a bywał bardzo często, żadna siła nie potrafiła go zapędzić do roboty. Poszli więc do baru, wybrali pieczeń wołową i pyzy. Kręglewski z zalem przypomniał sobie, że muszą wrócić do Komendy, wobec czego żadne sto gramów nie przejdzie, zwłaszcza że mieli później naradę z komendantem.

Pyzy były dobre. Tak dobre, że wzięli jeszcze po jednej porcji.

— Słuchaj — Szczęśny rozpiął płaszcz, w barze było gorąco — co byś myślał o facecie, który zostawia na parkingu samochód, a potem dojeżdża do niego taksówką, aby się później z powrotem przesiąść do swego wozu?

— Gdzie w co się przesiada? Mów tak, żebym rozumiał. Ja się wysiłam tylko z przestępcą z tobą nie muszę.

— Baranie, przecież mówię jasno. Na parkingu niedaleko Bristolu stał opel-record 1700, własność pewnego inżyniera. Akurat tamtędy przechodziłem i przystanąłem, żeby popatrzeć. Aż tu nadjeżdża taksówka, wysiada mój inżynier...

— Dlaczego twój?

— Właściciel opła. Nie denerwuj mnie. Płaci taksówkarzowi, przesiada się do swojego wozu, odjeżdża. Co może oznaczać taki manewr?

— Czy ja wiem... Może tam, dokąd pojechał taksówką, a w każdym razie tam, skąd wrócił, nie chciał się pokazywać takim pięknym wozem?

Szczęśny zamyślił się.

— Co to za facet? — spytał porucznik, nie znał żadnego właściciela opła-record 1700.

— Nie wiem. Widziałem go raz na giełdzie samochodowej, w jakąś deszczową niedzielę. Miał zapalenie spojówek. I obraził się, jak go o to spytałem.

— Bardzo słusznie. Na drugi raz nie pytaj obcych ludzi o żadne zapalenia. Zwłaszcza takich, których stać na opła-record 1700. Ten inżynier musi niewąsko zarabiać. A w ogóle, co cię obchodzą jego spojówki? Jak cię znam, to pewnie zanotowałeś numer gabloty.

— Jego wozu? Znam ten numer na pamięć.

— Nie. Taksówki.

Szczęśny uśmiechnął się. Rzeczywiście, miał w notesie zapisany numer tej taksówki, sam nie wiedział po co. Często notował różne niepotrzebne rzeczy, wyrzucał je potem razem z notesem, bywało jednak i tak, że na pozór zbyteczna notatka okazywała się potem bezcenną. Tak już było w jego trudnym zawodzie.

— A co on robił na giełdzie?

— Szukał części, zdaje się świecy czy karburatora. No, idziemy.

*

Profesor Zaklicki otworzył wielki, czarny parasol i przełożył teczkę do lewej ręki. Z wrodzonego skąpstwa nie wziął taksówki, mimo iż ulicą płynęły potoki wody, w których brodził desperacko, czując, że przemokły mu skarpetki.

Wszystko to jednak nie przeszkadzało mu w poszukiwaniach. Unosząc co chwila w górę parasol, rzucał wzrokiem to w prawo, to w lewo, czasem oglądał się raptownie w tył, a wtedy strumień wody z parasola wlewał mu się za kołnierz.

Na razie nie dostrzegał nikogo, wiedział jednak, że gdzieś są, jeden albo kilku, obserwują go spod swoich kapeluszy albo siedzą w samochodzie i przez szybę śledzą każdy jego krok. Wczoraj natknął się na takiego jednego, stał w bramie i zapalał papierosa, tak długo i dokładnie, jak nikt tego naprawdę nie robi, oczywiście był tam tylko po to, aby przyjrzeć się profesorowi z bliska, kiedy będzie go mijał.

A dzisiaj rano zauważył innego, kręcił się w hallu ETO, niby coś oglądał, niby na kogoś czekał, ale naprawdę to czekał na niego, to było jasne.

Przyśpieszył kroku, wpadł w wielką kałużę i zaklął. Grypa pewna, a w jego wieku może być groźna. Ktoś potrafił go przed wystawą „Delikatesów”. Odwrócił się gwałtownie, a

wówczas tamten znikł, jakby go zdmuchnął wiatr. „Jeszcze jeden” — pomyślał profesor. To przestało już być interesujące, zaczynało męczyć i denerwować.

Kiedy dobrnął wreszcie do domu, był spocony i serce biło mu nierównym rytmem. Postanowił, że zaraz się położy, weźmie asprocol i napije się gorącej herbaty.

Jakiś człowiek stał na półpiętrze, wysoka sylwetka rysowała się niewyraźnie w półmroku, jak zwykle dozorca zapomniał włączyć światło. Zaklicki wchodził wolno po stopniach, było mu duszno i źle. Teczkę przyciskał bezwiednie do płaszcza, choć nie było w niej najważniejszych papierów, zostawiał je już teraz zawsze w Zakładzie. Zbliżył się o dwa stopnie do stojącego i zatrzymał. Ogarnął go strach.

— Dobry wieczór, panie profesorze — odezwał się tamten półgłosem. — Okropna pogoda.

— Tak — odparł Zaklicki, nie wiedząc, co to znaczy i z kim rozmawia, ale bał się zapytać.

— Źle się pan czuje?

— Kim pan jest? — odważył się jednak, przecież to mógł być ktoś ze znajomych, kogo nie poznawał w tych ciemnościach. — Przepraszam, ale tu nic nie widać.

— Nie szkodzi. Mnie teraz światło niepotrzebne.

— Jak to: niepotrzebne? — Zaklicki zląkł się na dobre, nie wiedział, czy lepiej będzie zbiec szybko na dół, czy minąć tamtego i dopaść do drzwi własnego mieszkania.

— A pan wkrótce będzie miał światła za dużo — ciągnął dalej ten głos, który był zupełnie obcy, kryło się w nim jednak coś straszliwego.

— Milicja! — wrzasnął nagle profesor z całych sił, aż poczuł ból w gardle. Rozpaczliwym skokiem poderwał się, minął obcego, przesadzając po dwa stopnie i krzycząc wciąż: — Milicja! — znalazł się wreszcie na swoim piętrze. Miał klucze, ale zaczął dzwonić na alarm, nie odrywał palca od guzika dzwonka, zdawało mu się, że tamten pobiegł za nim, bał się jednak obejrzeć.

Drzwi otworzyły się gwałtownie, na progu stał jego syn, zdumiony i przestraszony, za nim wyrzały dzieci, zaciekawione niezwykłym wyglądem dziadka.

— Co się stało, tato? — spytał młody lekarz, zapalając światło w przedpokoju.

— Tam, na schodach... — dyszał ciężko profesor — ale nie wychodź, proszę cię... on tam stoi...

— Kto?!

Doktor Zaklicki wyrzał na klatkę schodową, zszedł parę stopni w dół. Nie było nikogo. Tylko od sąsiadów ktoś otworzył drzwi, zaniepokojony wzywaniem milicji. Zapytamy jednak o obcego, wzruszył ramionami. Nikogo nie widział, słyszał tylko wołanie profesora.

Nagle na schodach rozbłysło światło. Wtedy zobaczyli, że po stopniach idzie w górę jakiś mężczyzna w szarej jesionce, bez kapelusza.

— To ten? — szepnął lekarz.

— Tak... Nie! Nie wiem — profesor mimo woli cofnął się do przedpokoju. Obcy zatrzymał się przy nich i zapytał:

— Czy ktoś z państwa wzywał milicję?

— Ja — odezwał się profesor. Był już teraz bezpieczny i odważny.

Mężczyzna w jesionce wyjął legitymację, pokazał ją lekarzowi i rzekł:

— Chciałbym wejść do środka i porozmawiać.

— Proszę bardzo — odparł doktor Zaklicki, robiąc mu przejście.

Kiedy wszyscy trzej znaleźli się już w mieszkaniu i profesor zdołał ochłonąć, sierżant Kotela powiedział z lekkim zdziwieniem:

— Dlaczego pan wzywał milicję, profesorze? Przecież lepiej było... — urwał, zorientował się, że przecież Zaklicki go nie zna i, być może, nie wie jeszcze, że jest obserwowany.

— Czy to pan zaczepił mnie na schodach? — profesor przyglądał mu się trochę nieu-

fnie. — Tam, na półpiętrze?

— Ktoś pana zaczepił? Na pewno nie ja, stałem w bramie. Widziałem, jak pan profesor wszedł na schody i właśnie miałem już odejść. Proszę opowiedzieć, jak to było i co ten człowiek mówił.

Zaklicki treściwie zreferował rozmowę, dodając, że obcy mężczyzna był wysoki, ale wskutek ciemności nie mógł rozróżnić jego rysów ani ubrania. Miał kapelusz i płaszcz czy kurtkę.

Kotela zastanawiał się chwilę. Kiedy stał w bramie, minęło go parę osób, dwie kobiety weszły w podwórze, jakiś mężczyzna — ale to był robotnik w kombinezonie, pochłapanym wapnem — otarł się prawie o niego wychodząc na ulicę... a potem... tak, chyba jeszcze ktoś wyszedł... zdaje się, że był wysoki i w kapeluszu. Zaraz potem usłyszał to wołanie: milicja! i pobiegł na schody. Cholera, żeby przypuszczał coś takiego, odprowadziłby profesora aż pod drzwi mieszkania.

— I powiedział, że pan będzie miał wkrótce za dużo światła? — powtórzył w zadumie. — No, nic. Proszę się nie obawiać, profesorze. Teraz będziemy pilnować każdego pańskiego kroku, od drzwi mieszkania do drzwi ETO i z powrotem. Trochę to dla pana kłopotliwe. Cóż robić.

— Nie szkodzi — odparł mężnie Zaklicki. — Wolę, żeby za mną chodziła milicja niż jakieś podejrzan typy. Zresztą, w moim wieku — uśmiechnął się — nie wchodzi już w grę żadne randki ani szaleństwa w lokalach.

— Może ja się zwolnię z dyżurów w szpitalu i będę przychodził po ciebie do ETO? — zaofiarował się doktor. — Albo Renia?

— Nie trzeba — zaproponował sierżant. — My musimy dowiedzieć się, kim jest autor anonimowych listów, który grozi pańskiemu ojcu. Proszę tylko nikomu nie mówić, że profesor jest pod naszą obserwacją, bo to by nam zepsuło robotę.

— Oczywiście — przyrzekli obaj i jednocześnie obejrzel się na drzwi, za którymi były dzieci. Doktor machnął ręką:

— One nie słyszały. Mówimy przecież bardzo cicho.

Za drzwiami dzieci spojrzały na siebie znacząco.

*

Major Daniłowicz spytał ze zdziwieniem:

— Jak to możliwe, że wyście go nie zauważyli?

— Obywatelu majorze, doprowadziłem profesora aż do domu, wszedł na schody, więc sądziłem, że już dalej lepiej nie iść, mieszka na drugim piętrze, miał minutę drogi. Godzina taka, że ludzie z pracy wracają, nie było powodu do... — urwał i zmieszał się.

— Okazuje się, że jednak był powód. Właśnie w ciągu tej jednej minuty mieliście szansę, przynajmniej tak można sądzić, uchwycenia przestępcy. W każdym razie, zobaczenia jego twarzy. To był duży błąd z waszej strony, sierżancie! Poza tym, Zaklicki mógł zostać zabity i nie chciałbym wtedy znaleźć się w waszej skórze.

Kotela milczał, zdesperowany. Rozumiał, że major miał rację. Zaprzepaścić taką szansę!

— No, dobra. Znam was nie od dziś, wiem, że to się nie powtórzy. Zaklicki, z którym widziałem się dziś w ETO, mówił mi o „ludziach, którzy go śledzą, chodzą za nim” i tak dalej. Co to znaczy?

— Majorze, to niemożliwe! — Sierżant stanowczo potrząsnął głową. — Nasi by spozregli, jakby ktoś obcy śledził profesora. Gdzie to miało być i kiedy?

— No, więc jednego podobno widział przedwczoraj, to znaczy we środę, w bramie domu około godziny siedemnastej, jak zapalał papierosa. A drugiego zauważył wczoraj rano, kiedy wchodził do hallu ETO. Potem, jak wracał do domu, ktoś go potracił przed „Delikate-

sami” i zaraz uciekł. Szliście przecież wtedy za profesorem, nic nie zauważyliście?

— Zaraz — Kotela wyjął notatnik, przebiegł oczami — we środę w bramie jego domu byłem ja, ale nie zapalałem papierosa, bo w ogóle nie palę. Szedłem bardzo blisko profesora, miałem mundur listonosza i torbę.

— Tamten człowiek miał być w ciemnej jesionce i berecie.

Sierżant uśmiechnął się.

— To wywiadowca z Żoliborza, Michałowski, wracał po służbie. Rzeczywiście, zapalał właśnie sporta, przypominam sobie. Był duży wiatr i chłopak wszedł do bramy, bo mu gasły zapalki. A ten w hallu ETO jak wyglądał?

— Był bez płaszcza i bez nakrycia głowy. Granatowe ubranie.

— I szary krawat — uzupełnił Kotela. — To ja. Profesor przyjechał samochodem, bo rano po niego posyłają z Zakładu, a ja byłem już wcześniej, chciałem pokręcić się trochę po ETO. Dziś przed „Delikatesami” nikogo nie było, po prostu o tej porze tłumy chodzą po ulicach, więc ciągle ktoś kogoś potrąca.

— W porządku. Dziękuję, sierżancie.

Daniłowicz zamyślił się. Taka opieka nie mogła ciągnąć się tygodniami, bo chociaż profesor, stosując się do jego prośby, rzadko wychodził po pracy na miasto, to jednak całkowicie nie dało się tego uniknąć. Były przecież różne sprawy domowe, narady w instytucjach, a w końcu trudno wymagać od człowieka, aby całkowicie wyłączył się ze środowiska, w którym żyje, i zamknął się w domu jak w klatce.

Tak, ale dobrych, doświadczonych wywiadowców milicja wcale nie miała za dużo. Przestępca mógł jeszcze długo nie wykonać swojej groźby, czekając cierpliwie na dobrą okazję. Wiązało to siły służby wywiadowczej, osłabiało komendę dzielnicową.

Major podzielił się tymi wątpliwościami ze Szczęsnym, kiedy Kotela odszedł, wciąż nie mogąc sobie darować, że nie wykorzystał jedynej okazji, jaka się nadarzyła.

— Wiem, że komendant dzielnicy jest niezadowolony — rzekł kapitan. — A swoją drogą, pomyśl, Stefan, ile byśmy zyskali, gdyby wczoraj Kotela nie nawalił. Przecież miał go prawie pod nosem! Musieli minąć się na schodach czy w bramie. Cholera, taka szansa przeszła nam bokiem.

— No, bo któż inny to mógł być? — mruknął major, jakby odpowiadając na własne wątpliwości. — Tylko ten, kogo szukamy.

— Myślałem już nad tym. Na przykład, że autor anonimowych listów nie ma nic wspólnego z laserowym mordercą, lecz wykorzystuje atmosferę dokoła tej sprawy i rozprawia się z Zaklickim, z którym ma jakieś porachunki. Chce wywołać w nim coraz silniejsze uczucie strachu. Starego może w końcu szlag trafić.

— Człowiek na schodach powiedział: „Będzie pan miał wkrótce za dużo światła”. Rozumiesz? Oślepiający błysk igły świetnej.

— Tak. Albo i nie. Nie tak trudno dowiedzieć się, że laser to może być dla kogoś: „za dużo światła”. Chyba jednak masz rację, że to był człowiek, którego szukamy. Stąd wniosek, że nie wolno nam przerwać obserwacji profesora ani na chwilę. Odwrotnie, trzeba ją rozszerzyć. Nie spuszczać z niego oka. Być w nocy niedaleko jego mieszkania. Albo nawet w mieszkaniu, jeżeli Zaklicki się zgodzi. Może będzie anonimowy telefon, list, próba włamania w nocy.

Profesor Zaklicki zgodził się, dodając, że chętnie pomieściłby u siebie nawet całą komendę dzielnicową, gdyby miał większe mieszkanie. Od tajemniczego spotkania na schodach nie próbował nawet udawać, że się nie boi.

— Jestem stary, ale chcę jeszcze żyć — oświadczył szczerze.

Toteż wywiadowcy nie opuszczali go ani w dzień, ani w nocy. Dzieci doktora Zaklickiego zostały na jakiś czas przeniesione do jego teściów, co przyjęły z dużym zadowoleniem, bo dziadkowie rozpuszczali je do niemożliwości.

Przez cały dzień nie ustawał gwałtowny, przejmujący wiatr. Ludzie na przystankach kulili się z zimna, zdawało im się, że w ten sposób mniej odczuwają ostre podmuchy, albo uciekali za ściany kiosków, przywierając do nich plecami. Pod wieczór zaczęło padać i wichura zmniejszyła się trochę.

— Leje — powiedział inżynier Rakowski do żony, uchylając firankę. Po szybie spływały potoki deszczu. — Z naszej jutrzejszej wycieczki nici.

— Bo kto wyjeżdża do Zegrza w listopadzie — wzruszyła ramionami. — Poza tym, dzwoniła pani Straszewska. Zapraszają nas na jutro, na brydża.

— Nie mam białej koszuli — Rakowski wpadł w popłoch.

Zawsze tak było, choć czyste koszule stałe wisiały w szafie. Jego żona zajmowała się tylko domem i półrocznym dzieckiem, a zajmowała się dobrze. Mimo to, każda wizyta u Straszewskich wywoływała u inżyniera tysiące obiekcji. Żona podejrzewała trochę, że dzieje się tak nie wskutek stosunku podwładnego do swego szefa, lecz wskutek przewrotnego usposobienia szefowej, która nie przepuszczała żadnej okazji do flirtu.

— Masz cztery — odparła z odrobiną irytacji. — Ciągle ta sama historia. Cztery nylonowe i mnóstwo zwykłych. A spodnie sobie uprasujesz.

— Jutro rano — zgodził się.

— Nie, dzisiaj. Jutro rano mogą przyjść twoi rodzice, wiesz przecież, że... — urwała, podnosząc się do telefonu. Po chwili wróciła: — Do ciebie.

— Ojej, trzeba było powiedzieć, że mnie nie ma — zniecierpliwił się. — Sobotnie wieczory chcę mieć wolne.

— To trzeba było mnie uprzedzić. Wykręc się, jeżeli dzwonią z Instytutu. Możesz powiedzieć na przykład, że leżysz obłożnie chory. Słuchaj, co to znaczy: obłożnie?

— Nie wiem. Coś od łoża. Że się leży.

Wyszedł do przedpokoju, podniósł słuchawkę.

— Inżynier Rakowski? — Głos był daleki, przytłumiony.

— Tak. Kto mówi? Proszę głośniej, bo źle słyszę.

— Mówi Głabisz... Dyrektor Głabisz... Słyszysz mnie pan?

— Bardzo słabo. O co chodzi, dyrektorze?

— Jestem w Instytucie... komisja... — Głos rwał się, widocznie coś przeszkadzało na linii — ...jechali towarzysze z komisji rządowej... te notatki, w sprawie... cznika optycznego na diodzie la...

— Że co? Nie słyszę, dyrektorze! — Rakowski krzyczał w słuchawkę. — Co przynieść?

Wreszcie zrozumiał, że chodzi o projekt laserowego przełącznika optycznego, opartego na półprzewodnikach. Projekt był dziełem jego własnym i kolegi Rawicza, ultraszybki przełącznik tego typu nie był czymś zupełnie nowym, lecz zastosowali w nim innego rodzaju diody. W produkcji przełącznik taki byłby sześciokrotnie tańszy, a przy tym mógł wywołać mały przewrót w elektronicznej technice obliczeniowej.

Od tygodnia pracowali z Rawiczem nad projektem, to u jednego w domu, to u drugiego. Dziś właśnie Rakowski miał u siebie teczkę, sądził nawet, że Henryk wpadnie po kolacji i posiedzą jeszcze trochę nad obliczeniami.

Zastanowił się przez chwilę, co to za komisja. Rządowa? Chyba resortowa, źle usłyszał. I dlaczego przychodzą tak późno? Spojrzał na zegarek, było pięć po siódmej. Od kiedy to komisje urzędują po nocach. Ziewnął, zachciało mu się spać. Był zmęczony, za wiele ostatnio pracował.

— Włazłbym teraz do wanny — powiedział, naciągając marynarkę — potem bym się napił kieliszek dobrego koniaku, do tego parę kanapek z szynką, zresztą mogą być z żółtym serem. Albo z jajkiem. Wziąłbym jaki kryminał do czytania... Czego ta komisja może chcieć?

- Pewnie dadzą ci nagrodę.
- Za co? Słuchaj, gdzie druga skarpetka?
- Trzymasz w ręku.
- Ale druga!
- To jest druga. Pierwszą masz na nodze. A Heniek też jedzie?

— Nie wiem. Jakby zadzwonił, powiedz, że Głabisz mnie wezwał i że zabieram projekt. Cholera, kiedy ja się dorobię jakiego grata na kółkach — jęknął, spojrzawszy na mokre szyby.

- Jak wygramy w totka.

W pobliżu domu nie znalazł żadnej taksówki. Na rogu placu stały dwie, ale kierowcy oświadczyli zdecydowanie, że pojedą tylko na Ochotę, bo mieli właśnie „zjazd do bazy”, choć godzina była wcale nie po temu. Zrezygnowany, postawił kołnierz płaszcza, kapelusz nasunął głęboko na czoło, teczkę wcisnął pod pachę i zaczął iść krokiem szybkim, energicznym w kierunku pośpiesznego „C”.

Na ulicach ludzi jakby wymiotło, siedzieli w ciepłych lokalach albo w mieszkaniu. „Tylko osioł w taką pogodę idzie piechotą” — wymyślał sobie, omijając kałuże. Na książeczce samochodowej miał tyle, ile trzeba, aby wygrać ładnego wartburga czy warszawę, ale chyba podpadł Komuś Na Górze, bo los wciąż udawał, że go nie dostrzega. Mimo to, inżynier cierpliwie czekał.

Minął skrzyżowanie, wszedł w boczną uliczkę na skróty, trochę dalej autobus miał swój przystanek.

Później nie potrafił sobie przypomnieć, czy to się stało tuż przed ciemną, wielką bramą, czy dalej, ale chyba przed bramą, bo ten ktoś znalazł się przy nim tak nagle, że nie było innej możliwości tylko brama, tam się musiał ukryć i raptownie wyskoczył. W każdym razie, nie tyle szarpnięcie teczką, ile zaskoczenie, właśnie ta nagłość działania sprawiła, że nie minęło ani dziesięć sekund i już stał znów samotnie na ulicy, bezradny, oszołomiony — bez teczki z projektem.

Kiedy oprzytomniał, dokoła niego było pusto, nie słyszał też żadnych kroków, nikt nie uciekał ze zdobyczą, pewnie napastnik był już daleko.

— Złodziej! — wykrzyknął inżynier. Podbiegł w kierunku skrzyżowania, zawrócił, wbiegł w ciemną bramę, podwórze było oświetlone, ale nie dojrzał w nim nikogo, więc wybiegł z powrotem, miotał się po ulicy, jeszcze nie myśląc, nie precyzując straty, choć musiał pomyśleć o tym za chwilę, wiedział przecież, że był to j e d y n y egzemplarz.

— Co się stało? — usłyszał głos kobiety. Z bramy wyszła młoda dziewczyna w króciutkim płaszczu i w kolorowej chusteczce na głowie. — Pan kogoś szuka?

- Okradli mnie — powiedział, zacinając się ze zdenerwowania.

- Kiedy? Gdzie?

— Teraz. Tu, przed chwilą... Czy pani nie widziała człowieka z teczką? Taką brązową, skórzaną?

- Wyrwał panu teczkę?

— Tak. — Rozglądał się dokoła, wargi mu drżały. — Gdzie tu jest... aha, już wiem. Pójdę na milicję, zgłoszę... może znajdą. Nikogo pani nie widziała?

— Dopiero co wyszłam z domu. Na schodach nie było nikogo. Tam były pieniądze, w tej teczce?

Machnął ręką, nie było czasu na rozmowy. Z półmroku wyłoniła się taksówka, zwolniła koło nich, była wolna. „Teraz to jest” — pomyślał wściekły i rozgoryczony, ale wskoczył do środka, zatrzasnął drzwiczki.

- Instytut Chemii — warknął do kierowcy.

— Dobrze, proszę pana — odparł tamten uprzejmie. Oczywiście, nie miało sensu rzucać na niego odpowiedzialności za kolegów, może naprawdę zjeżdżali do bazy, faktem jednak było, że gdyby nie szedł pieszko, miałby teraz teczkę przy sobie.

Przed gmachem Instytutu nie stał żaden samochód. Trochę się zdziwił, komisja powinna była przyjechać wozem, nie widział też służbowej wołgi Glabisz. „Czyżby już odjechali?” — zdziwił się przelotnie, w tej sytuacji było jednak właściwie wszystko jedno, projekt diabli wzięli i nie ma o czym dyskutować.

Zadzwoił do drzwi frontowych, niecierpliwie czekał na wartownika. Kiedy mu otworzono, wbiegł do środka i zatrzymał się w hallu, niezdecydowany.

— Gdzie oni siedzą? — rzucił śpiesznie.

— Kto, panie inżynierze? — zdziwił się wartownik.

— No, ci z komisji. I dyrektor Glabisz.

— Tu nie ma nikogo. Pan dyrektor wyjechał, będzie ze trzy godziny temu albo i więcej. Żadna komisja nie przyjeżdżała.

— Jak to... nikogo nie ma? — Rakowski patrzył na wartownika ze zdumieniem. — Nikt nie był?

— Nie. A co się stało?

— Dyrektor dzwonił do mnie, że czeka w Instytucie, razem z komisją. Przecież to... — podszedł do telefonu, w zdenerwowaniu mylił numery i trzy razy nakręcał, zanim zrobił to prawidłowo. Wreszcie usłyszał niski, dobrze znany głos Glabisz.

— Panie dyrektorze, tu Rakowski, ja jestem w Instytucie. Co z tą komisją?

— Z jaką komisją? — Glabisz był wyraźnie zdziwiony.

— No, przecież pan do mnie dzwonił o siódmej do domu i...

— Ja? Do pana? Człowieku, przed kwadransem z kina wróciłem.

— Nie dzwonił pan?

— Inżynierze, chyba pan już poznaje mnie po głosie, nie? Chwała Bogu, znamy się cztery lata. Co to za historia?... Halo! Dlaczego pan nie odpowiada?

Rakowski milczał, ściskając słuchawkę w dłoni, mokrej od potu. W końcu rzekł:

— To już dla mnie jasne. Ktoś się podszył pod pana, ten głos w telefonie był bardzo daleki, niewyraźny, myślałem, że jakieś uszkodzenie na linii. Szedłem pieszo, bo nie było taksówki. Ktoś na mnie napadł... Szedłem z projektem, pan rozumie?

— Z projektem! Laserowego przełącznika optycznego?

— Tak. Pan... znaczy ten ktoś w telefonie, powiedział, że w Instytucie jest komisja rządowa czy resortowa, że mam zabrać projekt i zaraz przyjeżdżać... Boże drogi! — Rakowski oparł się o ścianę. Był tak blady, że wartownik śpiesznie podsunął mu krzeselko.

— I co? Zabrał pan ten projekt?

— Zabrałem. A potem ktoś wyszarpnął mi teczkę... na Bocznej, wie pan, tamtędy się idzie do autobusu pośpiesznego „C”... I uciekł. Nie zdążyłem nawet się obejrzeć. Z bramy chyba wyskoczył...

— Nic nie rozumiem! Jak to możliwe, że pan nie poznał mego głosu, inżynierze?

— Mówię panu, że było bardzo źle słychać, trzaski i szumy.

— Zawiadomił pan milicję?

— Nie. Przyjechałem od razu tutaj, bo myślałem... no, byłem pewien, że pan tu jest... i ta komisja.

— Czy ma pan w domu jeszcze jakieś notatki? Chodzi mi o to czy...

— Nie — przerwał mu Rakowski. — Ani ja, ani Rawicz nie mamy już nic więcej. Wszystko, nad czym pracowaliśmy wspólnie, było w mojej teczce. A teczki nie ma.

ROZDZIAŁ 6

Pod koniec listopada nagle zrobiło się ciepło, ustał porywisty wiatr północny i blade,

już prawie zimowe słońce udawało trochę, że grzeje.

W południe wyszedł z „F-2”, aby załatwić kilka spraw dla dyrektora. Był rad, że może odetchnąć od biura, nudnych kolegów, całej tej atmosfery urzędniczej, którą znosił z trudem, choć rozumiał, że daje mu doskonale zabezpieczoną pozycję. Tu, wśród szelestu przewracanych, mało ważnych papierków, wśród ubogich plotek i zwiędłych dowcipów, nikt nie będzie szukał twórcy lasera na rtęciowych bateriach. Tu było szaro, zwyczajnie i cicho.

Szedł ulicami, nie zwracając uwagi na przechodniów, wstąpił do księgarni technicznej, wybrał książki dla biurowej biblioteki, potem odwiedził bank i Zjednoczenie, wszystkie sprawy dawały się załatwić bez oporu i czekania, więc zaszedł na kawę do któregoś z barów przy Marszałkowskiej.

— Jak się masz, Ryszard! — usłyszał czyjś wesoły głos.

Odwrocił głowę. Za nim stał dawny kolega szkolny, dziś magister farmacji. Spotykali się od czasu do czasu, gawędzili o tym i owym, była to znajomość bez zobowiązania, mogli nie widywać się nawet rok, nie miało to wpływu na ich wzajemny stosunek. Lubił go, bo farmaceuta był inteligentny, ocytany, znał się dobrze na chemii, mieli o czym porozmawiać przy spotkaniu.

I teraz też podjęli interesujący ich temat, zagłębiając się w dyskusję. Wreszcie spojrzął na zegarek; trzeba było wrócić do biura. Wyszli razem na ulicę, znajomy zaofiarował się, że go odprowadzi do „F-2”.

Byli tak zajęci rozmową, że nie zauważył czyichś oczu, które patrzyły na niego najpierw ze zdumieniem, potem prawie z obrazą. Dopiero kiedy stanęła przed nimi zagradzając drogę, ocknął się, spojrzął i urwał w pół słowa, zaskoczony. Nie był przygotowany na spotkanie, dawno wyrzucił tę kobietę z pamięci, teraz jednak dostrzegł w jej oczach wyrzut, a także i radość, którą na próżno starała się ukryć.

Dostrzegł jednak również niebezpieczeństwo tego spotkania.

— Nie przywitasz się ze mną, Zdzisiu? — spytała, głos jej trochę drżał. Uśmiechała się lekko, była ładna jak zawsze, ślicznie ubrana i kolega w pełni widać docenił te walory, bo rzucił mu spojrzenie aprobujące.

— Pani wybaczy — odzyskał już równowagę, zdecydował się błyskawicznie na tę właśnie, nie inną taktykę — widocznie jestem bardzo podobny do któregoś z pani znajomych. Szczerze żałuję... — zawiesił głos, wzrok miał uprzejmy, ale obojętny.

— Jak to, Zdzisiu?... — urwała, zmarszczyła brwi. Przyglądała mu się z uwagą. — Tak szybko zapomniałeś?

— Bardzo panią przepraszam — odezwał się farmaceuta, chcąc pomóc koledze — ale mój znajomy nie ma na imię Zdzisław, a znam go jeszcze z czasów szkolnych. Jak po nas widać, niestety, było to dość dawno — próbował zażartować.

Straszewska spoglądała to na jednego, to na drugiego. Sytuacja stawała się głupia, tak w każdym razie myślał kolega, któremu było trochę żal ładnej, eleganckiej pani, był jednak przekonany, że nastąpiła tu przedziwna pomyłka.

— Dobrze — odparła w końcu, twarz miała teraz rozgniewaną, zaciętą. — Może mi pan jednak wytłumaczy, panie Zdzisławie — zaakcentowała te słowa — co takiego zaszło, że nie chce pan mnie poznać? Chyba mam prawo wiedzieć, panie referencie z magistratu...

— Strasznie mi przykro — odparł chłodnym tonem — ale ja naprawdę nie wiem, za kogo pani mnie bierze.

— Kolega ma na imię Ryszard — wtrącił farmaceuta — i jest inżynierem, nie referentem. Nie pracuje w magistracie, zapewniam panią. To rzeczywiście jakiegoś przykre nieporozumienie.

Chwilę milczeli wszyscy troje, wreszcie Straszewska powiedziała z wysiłkiem:

— W takim razie... przepraszam, że zatrzymałam panów.

Odwrociła się gwałtownie i znikła w bocznej uliczce.

— Cóż za historia! — rzekł kolega, goniąc wzrokiem za dziwną nieznajomą. — Musi chyba bardzo kochać tego Zdzisia, a facet pewnie puścił ją kantem. Swoją drogą, ja bym na jego miejscu tego nie zrobił. Babka na medal.

— Ale ma trochę niepokładane w głowie — wzruszył ramionami. — Normalna kobieta poznałaby przecież swego kochanka.

— Może kochali się tylko po ciemku roześmiał się farmaceuta. — Ale heca! Opowiem znajomym. Nie wiesz, kto to jest?

— Ta pani? Nie mam pojęcia. Nigdy jej nie widziałem. Chodźmy, śpieszę się.

Rozstali się przed biurem „F-2”, umawiając się niedbale na następne spotkanie. Każdy z nich myślał już w tej chwili o swoich sprawach.

Wszedł do gabinetu dyrektora, zrelacjonował mu wykonanie poleceń, potem zaniósł książki do biblioteki. Był tu zawsze przykładnym urzędnikiem i cieszył się uznaniem. W tych murach z rzadka tylko pozwalał sobie wybiegać myślami do laboratorium w głębi lasu lub do tego, co zamierzał na najbliższe tygodnie. Bo przecież ani na chwilę nie opuszczała go świadomość ogromnej, wspaniałej przewagi, którą miał nad tymi ludźmi — tak uważał. Umożliwiała mu ona zachowanie wzorowej; niemal pokornej grzeczności wobec dyrektora, którego uważał za durnia. Bawiła go ta gra, rozgrywał ją tak, jak chciał, a zakończy, kiedy tylko zechce. Tymczasem „F-2” było mu jeszcze potrzebne.

Późnym popołudniem opuścił biuro. Obiad zjadł w stołówce, robił to od czasu do czasu, skarżył się wówczas na samotność, chwalił wątlę krupniczek i duszone mięso z kapuścianą surówką, koledzy dziwili się, że mając taki samochód — nic jada w „Bristolu”. Tyle razy jednak tłumaczył im, że to wóz kuzyna, który przebywa na delegacji w Anglii, tyle narzekał na koszty garażowania i napraw, tak rzadko zajeżdżał oplem przed biuro, że w końcu chyba uwierzyli w te koszty i w skromny tryb życia, jaki samotnie prowadził.

Szedł pieszo, wmieszany w tłum wracający z pracy, dojrzał na wystawie sklepu chemicznego odczynniki, których właśnie potrzebował, więc wstąpił do środka, załatwił kupno. Postanowił, że w niedzielę przez cały dzień będzie pracować w laboratorium. Z notatek znalezionych w teczce inżyniera Rakowskiego dowiedział się niejednego, należało to jednak wypróbować w praktyce. Dobrze, że tamten dał się tak łatwo zaskoczyć. Nie chciał, aby powtórzyło się to, co z Mikolcem — był jednak przygotowany na opór, nie przywykł bowiem rezygnować ze swoich planów.

Wszedł do mieszkania, włączył elektryczny ekspres do kawy, przebrał się w wygodne, domowe ubranie i miękkie pantofle. Przypuszczał, że odwiedzi go jeden z pracowników biurowych, obiecał mu małą pożyczkę, takie rzeczy były dobrze widziane, zwłaszcza przed pierwszym, i wyrabiały opinię solidnego, a przy tym koleżeńskiego. Do jego domu mógł wejść każdy, nie było tu nic, co by musiał ukrywać przed cudzym wzrokiem, wszystko znajdowało się tam, w podziemnym laboratorium.

Dzwonek odezwał się gdzieś po godzinie. Odłożył papierosa, podniósł się z fotela i podszedł do drzwi. Na progu stała Bożena.

Trwało kilka sekund, zanim opanował nagle oszołomienie. Ogarnął go gniew, tak silny, że nie był zdolny przemówić słowa. Straszewska spoglądała na niego bez uśmiechu. To już nie była kochająca kobieta. To był wróg, zdawał sobie z tego sprawę. Jeszcze nie wiedząc, co potem zrobi, odsunął się na bok, wpuszczając ją do mieszkania.

Milczeli oboje, kiedy zdejmował z niej płaszcz i umieszczał na metalowym wieszaku w przedpokoju. Wolnymi ruchami rozwiązywała pod szyją jedwabną chusteczkę, ściągnęła ją z głowy, niedbale rzuciła na stolik pod lustrem.

— Proszę... — wskazał otwarte drzwi do pokoju. — Napijesz się kawy?

Osunęła się na fotel, nie odpowiedziała, nie podała mu też ręki na przywitanie.

Usiadł z a biurkiem. To milczenie było mu na rękę, mógł spokojnie zastanowić się, co dalej. Oczywiście, musiała go śledzić, szła za nimi aż do „F-2”, potem pewnie czekała na jego

wyście. Zadziwił go ten upór, nigdy by jej o to nie posądził.

„Taka wielka miłość? — myślał, obserwując jej twarz. — Może raczej: urażona kobieca ambicja” - rozstrzygnął. Tak czy owak, stało się bardzo źle. Cierpliwie czekał, aż się odezwie. Chciał, żeby to ona zaczęła, będzie wtedy wiedział, jak zareagować.

Wreszcie spytała na pozór spokojnym głosem:

— Kim ty jesteś właściwie?

— Tym, kogo widzisz przed sobą — odparł. Na ustach miał ledwo dostrzegalny uśmiech.

— Ukrywasz się? — pytała dalej, jakby nie słysząc wykrętnej odpowiedzi. — Jesteś szpiegiem? Przystępcą?

Uniósł brwi ze zdziwieniem.

— Aż przystępcą? Dlaczego tak myślisz?

Przyglądała mu się z natężeniem, marszcząc czoło. Wyglądała teraz dużo starzej niż na ulicy.

— Czego szukałeś w szafie, gdzie mój mąż trzyma swoje prace? Ja nie spałam. Wylałam koniak, nie zauważyłeś tego. Spróbowałam, był jakiś niedobry w smaku. Chciałeś mnie otruć.

— Jeszcze nikt się nie otruł jedną tabletką środka nasennego — odrzekł z pobłażliwym uśmiechem. — Chciałem, żebyś zasnęła. To wszystko.

— Czego szukałeś w szafie? — powtórzyła z uporem.

— Nie znasz się na tym. Nic nie zabrałem.

— Ale chciałeś zabrać. Nie okłamuj mnie. Przedstawiłeś mi się pod innym nazwiskiem, a potem zniknąłeś. Jesteś inżynierem, nazywasz się Ryszard Nort... wiem, nie przerywaj. Dowiedziałam się. Nie było znów tak trudno. Szłam za tobą aż tutaj.

— Po co?

— Żeby wiedzieć. Obraziłeś mnie, udawałeś, że mnie nie znasz. Tego nie wybaczy żadna kobieta.

Postanowił spróbować, czy znajdzie jakieś inne wyjście prócz tego, które rysowało się przed nim coraz wyraźniej.

— Słuchaj, Bożeno — pochylił się w jej stronę, uśmiechnął przeprasząco. — Jestem żonaty, rozumiesz? Żona na razie nie mieszka ze mną, ale w tych dniach wraca do Polski. Jest pracownikiem jednej z central handlu zagranicznego. Bardzo zdolna, rozumna kobieta, cóż, kiedy ogromnie zazdrosna! Nie wybaczyłaby mi, gdyby chociaż cień zdrady pojawił się między nami. Dlatego... przyznaję, postąpiłem bardzo brzydko wobec ciebie, ukrywając to wszystko. Ale myślałem, że to z twojej strony tylko przelotny flirt, taka mała przygoda, o której zapomina się po tygodniu. Więc wołałem, abyś mnie znała pod innym nazwiskiem. To w końcu przecież nie ma znaczenia.

— A tam... na ulicy, wobec twego kolegi... przecież mogliśmy być po prostu zwykłymi znajomymi!

— To tyś wszystko zepsuła. Owszem, mogliśmy się zwyczajnie przywitać, jak znajomi. Ale ty od razu: „Nie chcesz mnie znać, co to znaczy” — i tak dalej. Musiałem jakoś z tego wybrnąć, kolega bywał u nas w domu, a jest trochę plotkarzem.

Milczała chwilę, patrząc na niego oczami pełnymi gniewu i podejrzeń. Potem potrząsnęła głową.

— Nie wierzę ci. Znowu kłamiesz. Gdyby tak było, gdyby to z twojej strony było zwykłe męskie tchórzostwo, nie próbowałbyś mnie uspić. Nie zaglądałbyś do żelaznej szafy.

Zerwała się z fotela, stanęła tuż przy nim. Oczy miała roziskrzona, twarz jej poczerwieniała.

— Po coś tam zaglądał? — krzyknęła ze złością. — Czego szukałeś?... Milczysz? To ja ci powiem: ty jesteś złodziej! Tak, złodziej. Kradniesz cudze prace naukowe! Mój mąż się o

tym dowie. To pewnie ty ukradłeś mu pracę z Instytutu Chemii. Ciebie trzeba zamknąć, słyszysz?

— Aż nadto dobrze — odparł.

Wstał również, zaczął chodzić po pokoju. Już nie namyślał się: czy, szukał tylko sposobu: jak. Laser był w laboratorium, a więc tą drogą pójść nie można. Pozostawały wyjścia najprostsze, chociaż czuł do nich wstręt. Brzydziło go nie tyle samo działanie, ile prymityw takich sposobów, niezgodnych z jego umysłem, inteligencją, możliwościami technicznymi.

„Jak zwykły bandzior” — pomyślał przelotnie. Ale konsekwencje tego, co zaszło w ciągu ostatniej godziny, a właściwie już od chwili spotkania Bożeny na ulicy, mogły być dla niego katastrofalne.

— Słuchaj — powiedziała nagle, głos jej teraz był inny, miękki, łagodny. — Ja cię przecież kocham.

Nic nie odrzekł. Stał kilka kroków przed nią, z rękami w kieszeniach, zdecydowany i spokojny. Czekał tylko na właściwy moment.

— Nie powiem mężowi — ciągnęła dalej, na próżno szukając w jego wzroku choć odrobiny serdeczności czy przyjaźni. Jeżeli ty też mnie...

Umilkła nagle, przerażona. W spojrzeniu tych ostrych, jasnych oczu czaiło się okrucieństwo. Ogarnął ją strach.

— Dlaczego tak patrzysz? — krzyknęła, cofając się w stronę drzwi.

Szedł ku niej z wolna, potem przyspieszył kroku.

*

Sądził, że najlepiej się do tego nadaje duży szwajcarski kufer, w którym kiedyś przywiózł z Genewy aparaturę do neutralizacji kwasów. Potrzebował prócz tego kilku szerokich arkuszy folii polietylenowej lub czegoś podobnego, ale to właśnie było w kufrze, szwajcarski spedytor użył folii do zawijania szklanych butli i retort.

Starannie rozłożył arkusze na podłodze, umieścił na nich najpierw jej płaszcz, na tym dopiero ciało, chusteczkę jedwabną, którą porzuciła w przedpokoju i torebkę. Zawinał wszystko dokładnie, spiął w kilku miejscach agrafkami, sprawdził, czy czegoś nie zapomniał.

Potem ułożył to w kufrze. Mieściło się z trudem na wąskim dnie, kufer był jednak tak wysoki, że na samym wierzchu pozostało jeszcze trochę wolnego miejsca. Pomyślał, że na wszelki wypadek dobrze byłoby położyć tam trochę osobistych rzeczy, jakąś pidżamę, koszulę, tak, aby wyglądało, że naprawdę wybiera się w podróż. Zrobił więc to, na samej górze przykrył bieliznę dużym białym ręcznikiem, odstąpił krok i przyglądał się w skupieniu, próbując wczuć się w tej chwili w milicjanta, który — obojętnie, z jakiej przyczyny — kufer na chwilę otworzy. Nic nie sprawiało wrażenia, że pod osobistymi rzeczami znajduje się zupełnie inna zawartość.

Spojrzał na zegarek. Sześć po wpół do ósmej. Było jeszcze o wiele za wcześnie na wyjazd, musi poczekać do nocy. Dźwignął kufer, poczuł jego ogromny ciężar przez chwilę zwątpił, czy sam doniesie go do samochodu. Nie było jednak innego wyjścia. Z trudem wytańczył kufer do przedpokoju. Kiedy wrócił, zobaczył nagle, że na podłodze, w miejscu gdzie przedtem leżały zwłoki, ciemnieje spora kałuża krwi.

Zdrętwiał z przerażenia. Jak mógł o tym zapomnieć! Widocznie uderzenie metalowym świecznikiem przecięło tętnicę na szyi. Trzeba było natychmiast usunąć te ślady.

Zrzucił marynarkę, zagiął rękawy koszuli. Z łazienki przyniósł miskę pełną ciepłej wody i szmaty, których używał przy porządkach. Z szafki w przedpokoju wyjął plastikowe pudełko, otworzył, do białego proszku dosypał trochę zielonego, wymieszał. Powinno momentalnie rozpuścić krew. Wszedł do pokoju, ukląkł obok plamy dokładnie, klepka przy klepcie, wycierał podłogę wilgotną szmatką, posypaną proszkiem. Z zadowoleniem widział, jak krew znika z drewnianych prostokątów, nie pozostawiając żadnych śladów.

Znikła jednak również pasta do podłogi, więc wytarł klepki do sucha, a następnie posmarował pastą. Potem wylał brudną wodę, wyszorował miskę i postawił na miejsce, szmaty zabarwione krwią dołączył do kufra, pod bieliznę. Wreszcie usiadł w fotelu, sięgnął po papieroś. Trzeba było czekać. Po godzinie wyfroteruje ten kawałek podłogi, po trzech lub czterech wyjedzie.

Obejrzał bardzo starannie spodnie, które miał na sobie i koszulę, czy nie ma na nich śladów krwi, ale nie znalazł. Długo mył ręce pod bieżącą wodą, szorując szczoteczką paznokcie. Wyrzucił do miski w ubikacji resztę mieszaniny i schował w szafce plastikowe pudełko.

Gdzieś około dziewiątej zaparzył sobie kawę, zjadł w kuchni kilka kawałków chleba z pasztetem i jabłko. Przebrał się w szare ubranie, upozorował w mieszkaniu wyjazd — porządnie ustawione meble, zasłonięte okna, nic na kuchni, nic na stole, z łazienki zabrał maszynkę do golenia, mydło, szczotkę do zębów i pastę.

„Teczka” — pomyślał. Wrzucił do niej różne papiery, potem siadł przy biurku i wypisał sam sobie delegację służbową do Wrocławia. Blankiety z pieczętką miał zawsze przygotowane na taką okazję.

Wyfroterował zapastowaną podłogę, a kiedy zaczęła błyszczeć, zdeptał trochę butami, aby nie wydawała się zbyt inna od reszty. Nie zapomniał wyłączyć i odstawić na miejsce froterki. Potem siedział już spokojnie i czekał, spoglądając co pewien czas na zegarek.

Krótko przed północą włożył płaszcz, kapelusz, rękawiczki, pogasił światła, wyniósł kufer na schody i zamknął drzwi. Opel-record był w podwórzu, miał tam swoje stałe miejsce obok murowanego śmietnika, miejsce może mało reprezentacyjne, lecz wygodne.

Wiedział, że dozorca najczęściej nie zamyka bramy, nie był to dozorca etatowy, lecz obsługiwał po trochu trzy kamienice, a mieszkał w czwartej, toteż rzadko kiedy chciało mu się przykładać do roboty. Z okna klatki schodowej widać było, że na podwórzu nie ma nikogo. Parę znanych mu wozów stało na swoich miejscach, dwa w pokrowcach, inne też wyraźnie opuszczone przez właścicieli, którzy przyjechali już pewnie z godzinę temu albo więcej.

Wyteżając mięśnie, nie nawykłe do takiej roboty, schodził ostrożnie z trzeciego piętra, kufer był cięższy niż się na początku zdawało, niemal włókł go po stopniach, w dodatku w drugiej ręce miał teczkę i nie mógł opierać się o poręcz. Kiedy dobrnął jakoś do samochodu, był cały spocony, serce waliło mu mocno, a przed oczami latały świetliste kręgi.

Poczekał chwilę, rozglądając się, czy ktoś nie nadchodzi, ale nie było nikogo. Wreszcie serce uspokoiło się, więc otworzył bagażnik, umieścił w nim kufer, zamknął starannie. Sprawdził, czy brama jest otwarta, potem zapuścił motor i wolno wyjechał na ulicę. Mimo szalonej chęci, aby z miejsca wystrzelić setką, jechał najwyżej sześćdziesiątką, tak było bezpieczniej, szybka jazda mogła niepotrzebnie zwrócić uwagę „lotnej”.

Dopiero za miastem, na nie oświetlonej, pustej szosie, dodał gazu i coraz mocniej naciskał pedał, chciał jak najszybciej znaleźć się w lesie, chciał już to wszystko mieć poza sobą.

Z szerokiej drogi nie skręcił w bok, jak zwykle do laboratorium, lecz minął boczny wiadukt i jechał dalej. Pamiętał, że gdzieś tutaj jest inna leśna droga, znalazł się tam raz przez pomyłkę i potem musiał wracać na wstecznym biegu, bo nie dało się zakręcić, po obu stronach rosły gęste drzewa i krzaki. Znalazł teraz tę drogę, jechał nią uważnie, powoli. Zatrzymał wóz mniej więcej po kilometrze, wysiadł i stał parę minut bez ruchu, nasłuchując, ale nie dosłyszał nawet szczekania psów ani szelestu liści, dokoła była zupełna cisza i pustka. Więc wszedł w zarośla, przyświecając sobie latarką.

O parę metrów od drogi znalazł niewielkie miejsce wolne od drzew i krzewów, pokryte mokrą, jesienną trawą. „Tutaj” — pomyślał. Wrócił do samochodu, wytaszczył kufer na drogę. Na dnie bagażnika leżała nieduża, lecz ostra łopatka, kiedyś potrzebował jej w laboratorium, kupił i przywiózł, lecz nie nadawała się, więc wrzucił do bagażnika, mogła się przydać podczas jazdy.

Kopał długo. Ziemia była mokra, korzenie traw owijały się dokoła ostrza łopaty, był

zresztą zmęczony tym wszystkim i gniewny. Po dwóch godzinach dół był gotowy. Przyciągnął kufer, otworzył, zabrał z wierzchu swoją bieliznę, odłożył na bok. Potem, z twardo zaciśniętymi szczękami, wyjął owinięte ciało i spuścił do dołu. Opadło ciężko, folia zaszeleściła i ucichła.

Wrzucił na wierzch zakrwawioną szmatę, zaczął spychać ziemię. Nie wiadomo dlaczego, trochę jej zabrakło, nie mógł wyrównać powierzchni. Rozejrzał się więc po trawie, odszedł na bok i zerwał kawałek darni pod jednym krzakiem, pod drugim, ułożył na zasypanej ziemi, wrzucił na to zeschnięte gałęzie, trochę żółkłych liści. Długo przypatrywał się, czy wygląda to naturalnie, poprawił jakąś szerniałą gałązkę, potem zabrał swoje rzeczy, jeszcze raz obejrzał cały teren, czy czegoś nie pozostawił.

Schował bieliznę do kufra, był teraz lekki, mógł go nieść jedną ręką. Postawił go w bagażniku, otrzepał płaszcz, rękawiczki. Wycofywał samochód powoli, bał się, aby o coś nie zawadzić, aby na lakierze nie zrobiła się rysa od otarcia gałęzią czy kamieniem.

Przez miasto przejechał nie zaczepiony. W domu raz jeszcze sprawdził, czy wszystko w porządku. Zasnął dość szybko.

*

Docent Straszewski zbudził się jak zwykle o wpół do siódmej rano. Usiadł na tapczanie, przeciągnął się, ziewnął. Już miał wstać, kiedy pewna myśl uderzyła go nieprzyjemnie. Z tą myślą zasypiał gdzieś koło północy i potem raz jeszcze zbudził się nad ranem, na pewno było to coś przykrego, ale w pierwszej chwili nie mógł sobie przypomnieć, czego dotyczyło.

Błądził spojrzeniem po pokoju, potem wzrok jego spoczął na drzwiach, które oddzielały gabinet od sypialni Bożeny. Oczywiście, to chodziło o Bożenę. Nie przyszła na noc do domu.

Zastanawiał się chwilę, gdzie też mogła przenocować. Wrócił z Krakowa późnym wieczorem i nie zastał w mieszkaniu żadnej kartki, która mogłaby wyjaśnić, dokąd żona poszła i co zamierza. Sądził więc, że zjawi się gdzieś koło jedenastej. Ale nie przyszła. Zaraz... a może jednak wróciła, tylko on nie usłyszał?

Wstał z tapczana, rozsunął zasłony na dużym oknie, które zajmowało całą ścianę, ale na dworze był jeszcze mrok, więc zapalił górną lampę, chociaż nie lubił wstawać przy sztucznym świetle, zdawało mu się wtedy, że zrywa się w środku nocy. Wyszedł do przedpokoju. Przez chwilę postać pod drzwiami sypialni, były zamknięte i nie mógł sobie przypomnieć, czy tak je zostawił przed pójściem spać. ale jeżeli Bożena wróciła późno, nie chciał jej teraz budzić.

Drzwi od kuchni uchyliły się, wyjrzała gospoia, przychodziła zawsze kilka minut po szóstej, aby przygotować mu śniadanie.

— Czy pani jest u siebie? — spytał dudniącym szeptem.

— A gdzie ma być? — odpowiedziała trochę zadziornie, była pyskata, ale lubili ją oboje, miała w sobie coś typowo warszawskiego, co czasem drażni, ale do czego człowiek się przyzwyczaja i potem bez tego trudno już się obyć.

— Niech gospoia zajrzy, tylko ostrożnie — poprosił.

— A pan to nie może? — mruknęła, w głosie jej był śmiech. Przeszła cicho w miękkich pantoflach przez przedpokój, uchyliła drzwi, potem otworzyła je szeroko i powiedziała ze zdziwieniem: — Przecie pani nie ma! Tak rychło się zerwała?

Stanął na progu sypialni i rozglądał się dokoła ze zdziwieniem. Nic nie wskazywało na to, że Bożena wyjechała. Zostawiłaby przecież jakąś wiadomość. Oczywiście, mogła otrzymać depezę, że matce nagle się pogorszyło, chorowała od miesiący na serce, a mieszkała w Lublinie. Na stoliku ani na toaletce nie było jednak żadnej depezy czy też listu.

— Walizka jest i obie torby są, to pani z miasta nie wyjechała — powiedziała gospoia, zaglądając do pawlacza w przedpokoju. — Pewnie poszła gdzie w gości i zanocowała. Na obiad przyjdzie.

Machnęła ręką, wróciła do kuchni.

— Dawać śniadanie? — krzyknęła stamtąd. — Co pan będzie jadł, jajka, ser czy kielbasę?

— Wszystko — odparł, był głodny, wczoraj nie zjadł kolacji. Nieobecność Bożeny zirytowała go; powinna była zostawić jednak wiadomość.

Wszedł do łazienki, golił się i mył z roztargnieniem, myślał o sesji naukowej, która miała się rozpocząć pojutrze i na której powinien wygłosić referat, a nie miał na to żadnej ochoty. Od czasu kradzieży w Instytucie Chemii nie miał ochoty właściwie na nic, była to apatia wywołana utratą pracy, ale chyba nie tylko to. Myślał dość często o śmierci doktora Mikołca, znał go i lubił, odczuł więc tę śmierć jako coś osobistego i bardzo tragicznego.

Poza tym, bał się. Kradzież jego pracy, zabójstwo Mikołca, napad na inżyniera Rakowskiego — wszystko to wiązało mu się w logiczną całość. Nakazywało również mieć się na baczności, uważać na każdy krok, pilnować wszystkich notatek i analiz, bo przestępca — kimkolwiek był — na pewno na tym nie poprzestanie.

Nie miał pretensji do milicji, wiedział, że tu nie chodzi o zwykłego rabusia, bandytę, mordercę, takich odnajdywali szybko, wiedzieli, gdzie ich szukać, znali kontakty i powiązania w przestępczym środowisku. Ale tutaj...

Może nikt tak dobrze jak on nie orientował się, kim musi być człowiek, który z precyzyjną dokładnością uderzał właśnie tam, gdzie narodził się oryginalny pomysł, gdzie dokonano nowego, interesującego osiągnięcia w dziedzinie elektroniki kwantowej. Człowiek ten musiał mieć dostęp do szerokiego świata naukowców, musiał w tym świecie obracać się zupełnie swobodnie, bywać na sesjach i obradach, poruszać się bez przeszkód po instytutach i ośrodkach.

Dlatego człowiek ten w i e d z i a ł. Mało tego: umiał celowo wprowadzać w błąd i skierowywać czujność milicji nie tam, gdzie następnie chciał uderzyć.

Straszewski od początku nie wierzył w próby zamachu na profesora Zaklickiego, choć nie przyznawał się do tego głośno, z różnych względów. Tamten człowiek specjalnie ściągnął uwagę milicji i kierownictwa Instytutu Chemii na profesora, ale sam musiał wiedzieć, że prace Zaklickiego nie mają żadnej wartości. Musiał — to była żelazna logika i konsekwencja jego postępowania, dwukrotnie bowiem przywłaszczył sobie właśnie te prace, które były swego rodzaju rewelacją, więc i za trzecim razem nie mógł się omylić.

„Genialny zbrodniarz” — myślał o nim Straszewski i odczuwał coraz silniejszy lęk przed tym człowiekiem. Lęk ten paraliżował w nim zapał do pracy, wiązał ręce, obezwładniał. Może właśnie o to tamtemu chodziło? Może to była dalsza część jego przestępstw, nieuchwytna, na pozór nie mająca nic wspólnego z kodeksem karnym, ale przez to tym niebezpieczniejsza. Ilu jeszcze kolegów odczuwa ten lęk, który niszczy im nerwy i hamuje rozwój nauki?...

W niewesołym usposobieniu zasiadł do śniadania. Jadł, bo był głodny, ale jadł bez apetytu. Przed wyjściem zostawił w sypialni Bożeny kartkę, aby zatelefonowała do Instytutu zaraz po powrocie.

Podczas pracy zapomniał o tym, zważyło się na niego mnóstwo spraw, odbył dwie konferencje, ułożył szkic referatu na sesję i dopiero koło godziny szesnastej zorientował się, że czas na obiad. Zagarnął papiery do teczki, postanowił, że referat napisze w domu. Wtedy przypomniała mu się Bożena.

— Czy moja żona nie telefonowała? — spytał sekretarki, która nakładała już płaszcz.

— Nie, panie docencie — odparła, trochę zdziwiona. Pani Straszewska prawie nigdy nie dzwoniła do Instytutu. — Jeżeli pan jeszcze zostaje, to może połączyć z domem?

— Dziękuję, zaraz tam jadę.

Nagle ogarnął go dziwny niepokój o Bożenę. Tak jeszcze nigdy nie było. „Zaniedbuję ją — pomyślał, pełen przekonania o swojej winie. — Jest młodsza ode mnie, nudzi się w

domu. Gdybyśmy mieli dziecko...”

Tak, ale Bożena nie chciała dziecka. Obawiała się, że zbrzydni, roztyje się, straci urok młodości. No cóż, trzeba będzie jednak bardziej się nią zająć. Może jakiś wyjazd za granicę, bo w kraju o tej porze roku nie ma dokąd pojechać. Więc na przykład do Francji. Na Nowy Rok. Ma tam sporo franków, tłumaczyli kilka jego książek, zapłacili niezgorzej. Można by spędzić ze dwa tygodnie w Paryżu.

Zadzwonił do drzwi w nieco lepszym usposobieniu. Jeżeli Bożena dąsa się o coś, to taka perspektywa na pewno ją udobrucha. Zaraz jej o tym powie.

— A gdzie pani? — zapytała gosposia, otwierając drzwi.

— Jak to, jeszcze nie przyszła? — zdumiał się i zaniepokoił na dobre. — I nie telefonowała?

— Nie.

Przez chwilę stali, patrząc na siebie z zafrasowaniem, wreszcie gosposia powiedziała niepewnie:

— Może pani coś się stało? Ciemno na tych ulicach, wiatr taki, że mało człowieka nie przewróci.

— Zadzwonię do Pogotowia.

Zrzucił płaszcz, odnalazł numer, połączył się i czekał cierpliwie, aż tam odnajdą, potem odłożył słuchawkę z westchnieniem ulgi.

— Nie — odparł, widząc utkwione w siebie niespokojne spojrzenie. — Nie mieli takiego wypadku. Chyba żeby gdzieś w szpitalu...

— Przecie szpital dałby znać! — wykrzyknęła z kuchni, stawiając zupę na gazie. — Pani nosiła w torebce dokumenty, tam był adres i telefon.

— Może zgubiła torebkę.

— Eee, tam. Niech pan teraz je, może jak raz pani nadejdzie. Polecę później do dozorczy, zapytam, czy nie zostawiła u niego wiadomości.

— Kiedy gosposia widziała panią ostatni raz? — spytał, siadając przy stole.

— No, kiedy... — zastanowiła się, z kuchni zapachniało ogórkową zupą. — Dzisiaj mamy piątek, wczoraj pan wrócił z Krakowa, to był czwartek, a ja... Jakże, no przecie wczoraj rano! Przyszłam jak zwykle, kiedy pana nie ma, gdzieś koło ósmej. Pani zaraz wstała, zjadła śniadanie, ja o dziesiątej wyszłam na miasto po sprawunki. Potem wróciłam, była chyba dwunasta. Ale pani nie było. I na obiad nie przyszła. Czekałam do piątej, potem zostawiłam pieczeń i surówkę na stole, zupy pani nie chciała, to nie gotowałam, ziemniaki były pokrajane do smażenia i kompot stał w lodówce, pani lubi zimny. No i poszłam do domu.

— A dziś rano?

— Zobaczyłam, że nic nie ruszone, tom sobie pomyślała, że pani była w gościach i wróciła niegłodna. A tu masz, wcale nie przyszła.

— No, dobra. Niech gosposia poda zupę. I kawę proszę zaparzyć.

Miał wielką ochotę spytać ją, czy ktoś Bożeny nie odwiedzał podczas jego nieobecności, wstydził się jednak trochę takiego wypytywania, nie znosił plotek we własnej rodzinie.

Zjadł obiad, potem przeniósł telefon z przedpokoju do gabinetu, wyjął notes z adresami wszystkich przyjaciół i znajomych i zaczął po kolei wydzwaniać, pytając żartobliwym tonem, czy nie ma tam jego żony, bo właśnie wrócił z podróży i się stęsknił. Nigdzie jednak jej nie było, poczuł więc coraz silniejszy niepokój.

Wreszcie gdzieś koło siódmej wieczór wyszedł do kuchni, aby zrobić sobie jeszcze kawę i zobaczył, że gosposia siedzi pod oknem, cicha jakaś i niespokojna.

— Czemu gosposia nic poszła do domu? — zdziwił się. Zwykle odchodziła koło piątej.

— Tak mi jakoś markotno — odparła, wzruszając ramionami. — Gdzie też ta pani poszła?

Siadł w kuchni przy stole, oparł głowę na rękę. Bożena wiedziała, że on ma wrócić we

czwartek. „Gdyby nawet — pomyślał, nie chcąc precyzować bliżej tego, o co ją teraz posądzał — to musiała się przecież liczyć z moim powrotem, więc gdyby nawet to zrobiła, miała dość czasu, aby w porę przyjść do domu. Ale kto to może być?” Przebiegł myślą tych znajomych, których kiedyś podejrzewał o podkochiwanie się w jego żonie — i tych, którymi ona, jak sądził, mogła się zainteresować. Jeżeli z którymś z nich wyjechała...

— Nikt tu nie przychodził? — wyrwało mu się, zanim powściągnął język.

— Kto by tam miał przychodzić — odpowiedziała, nie patrząc w jego stronę. Zdawało mu się, że w głosie jej była jakaś dziwna nuta.

Siedzieli tak jeszcze z kwadrans, milcząc i myśląc każde co innego, choć myśli te bieły w jednym kierunku. Wreszcie gosposia podniosła się z krzesła, sięgnęła po płaszcz.

— Przyjdę rano, to pani na pewno już będzie — zawołała, chcąc go pocieszyć. — A pan mógłby zadzwonić do Lublina, może tam się co stało. Pani dostała pewnie wiadomość i tak się zacukała, że zapomniała kartki zostawić. Matka pani jest stara, to i pogrzeb może być.

— Ma gosposia rację.

Jednakże w Lublinie Bożeny nie było. Musiał tłumaczyć zaniepokojonej teściowej, że wyjechała i po drodze miała do niej wstąpić, dlatego dzwoni, ale pewnie jeszcze nie dojechała, wykrzykiwał to wszystko nieporadnie, nie umiał zmyślać na poczekaniu, poza tym łączność była fatalna, a teściowa miała przytępiony słuch. Odłożył słuchawkę, nie wiedząc, co robić. Próbował skupić myśli nad referatem, praca nie szła mu jednak, ciągle łapał się na tym, że nasłuchuje kroków na schodach i chrobotania klucza w zamku, ale nikt nie przychodził i w miarę, jak upływały godziny, zdenerwowanie jego rosło coraz bardziej.

O północy położył się, nie mógł jednak zasnąć. Nad ranem zmorzył go krótki, ciężki sen, po którym zbudził się wymęczony i z obolałą głową. Wstał, otworzył drzwi do sypialni. Bożeny nie było.

Przed szóstą przyszła gosposia. Nie musiała pytać, wystarczyło jedno spojrzenie na pobladłą twarz docenta z głębokimi cieniami na policzkach.

— Pan musi dać znać do milicji — powiedziała cicho. — Bóg wie, co się mogło stać.

Sam wiedział. Odwlekał jednak tę chwilę, wzdrygając się przed wywlekaniem w milicji swoich osobistych spraw. Zaczyna pytać o ich małżeńskie pożycie, o to, czy się nie kłócili, zaczyna patrzeć na niego podejrzliwie, sprawdzać, kiedy wrócił i co robił w Krakowie, czy Bożena ma kochankę albo czy on sam jej nie zdradza... Wstrętne.

Nagle przypomniał sobie, że przecież w Pałacu Mostowskich jest ten sympatyczny starszy pułkownik, który prowadził sprawę kradzieży w Instytucie Chemii. Jak on się nazywa? Aha, Brezga. Może więc dałoby się tą drogą...

Odszukał numer telefonu pułkownika, spojrzął na zegarek. Było kilka minut po ósmej. Połączył się, odezwała się sekretarka, spytała, kto mówi, powiedział swoje nazwisko. Po chwili usłyszał niski głos Brezgi:

— Dzień dobry, panie docencie.

— Dzień dobry, pułkowniku. Ja... — zawahał się. Brezga inaczej to wahanie zrozumiał i rzekł.

— Niestety, nic jeszcze nie wiem w tej sprawie. W dalszym ciągu szukamy.

— Ja nie o tym.

— Tak, słucham?

— Chciałbym... Wolałbym nie mówić tego przez telefon — zdenerwował się nagle.

— W takim razie proszę przyjechać. Ma pan wóz, czy przysłać?

— Nie mam, ale przyjadę taksówką.

— Niech pan nie bierze przepustki, uprzedzę milicjantów w bramie.

— Dziękuję.

W pół godziny później Straszewski siedział naprzeciwko pułkownika i zastanawiał się, jak zacząć. Brezga czekał cierpliwie, ssał małą, drewnianą fajeczkę i postukiwał nią od czasu

do czasu o kant biurka. „O co mu może chodzić? — myślał, przyglądając się zmęczonej twarzy docenta. — Martwi się tą kradzieżą czy jeszcze co innego...”

— Ma pan jakieś kłopoty? — spytał, nie mogąc doczekać się, aż tamten rozpocznie rozmowę.

Wtedy Straszewski powiedział. Skąpymi, urywanymi zdaniami, nakreślił przecież jasny obraz sytuacji. Pułkownik słuchał nie przerywając, czoło sfałdowało mu się, odłożył fajeczkę. Potem zadał kilka pytań, których docent tak się obawiał, ale które w ustach tego niemłodego już, znającego widać życie człowieka, brzmiały dużo łatwiej do zniesienia.

— Czy sądzi pan — rzekł wreszcie, notując coś na kartce — że zniknięcie żony mogło mieć jakiś związek z pańskimi pracami naukowymi?

Straszewski spojrział na niego ze zdumieniem.

— To przecież nonsens — odparł porywczo. — Bożena nigdy nie interesowała się moją pracą. Nie zna się na elektronice.

Brezga uśmiechnął się lekko.

— Zdaje się, żeśmy się nie zrozumieli. Ja bynajmniej nie posądzam pańskiej żony o kradzież pracy albo o współnictwo w kradzieży. Ale czy pan nie przypuszcza, że jest w tym pewien punkt wspólny? Dajmy na to, że ktoś uderza w osoby lub w przedmioty, które są dla pana bliskie. Cenne.

Docent pobladał jeszcze bardziej.

— Czy to znaczy... czy myśli pan, że Bożenie coś się stało?

— Mogę się mylić — rzekł pułkownik ostrożnie. — I chciałbym w tym przypadku myśleć się gruntownie. Ale jeżeli pan twierdzi z całą pewnością, że nic podobnego dotąd się nie zdarzyło, że nigdy żona nie wyjeżdżała tak nagle, bez pozostawienia wiadomości, w dodatku bez rzeczy, bo walizki są w domu... Przyszedł pan tu, do milicji, bo chyba panu również wydaje się to wszystko niezrozumiałe i budzi niepokój. Czy tak?

Skinął głową. Tak było, przyszedł tutaj po pomoc.

— Więc czy chce pan, żebyśmy zajęli się odszukaniem żony? Pytam, bo muszę mieć podstawy do wszczęcia poszukiwań. Nie zawsze rodzina sobie tego życzy od razu, czasem wolą czekać tydzień lub dwa. Tutaj nie mamy jeszcze żadnych danych, aby przypuszczać, że pańskiej żonie stało się coś złego. Zdarza się dość często, że w małżeństwie ktoś nagle odchodzi i to są na ogół prywatne sprawy.

— Pan powiedział: jeszcze. Że nie ma jeszcze żadnych danych. To na co mam czekać? Aż wyłowicie zwłoki z Wisły?

— Niech pan się uspokoi, panie docencie. Cóż to za przypuszczenia! Powiedzmy sobie szczerze: pani Straszewska mogła z powodów zupełnie osobistych odejść od pana z innym mężczyzną. Naprawdę pan jest przekonany, że tego nie zrobiła?

Docent zwiesił głowę. Nie, wcale nie był przekonany. Wiedział, że Bożena lubiła łatwe flirty, nie był dotąd zazdrosny, bo w gruncie rzeczy, myślał, były to sprawy nic nie znaczące, jakiegoś przelotnego sympatie, nudziła się w domu, a on mógł jej poświęcać bardzo niewiele czasu.

Ale skąd może wiedzieć, czy wśród tych przelotnych znajomości nie narodziło się raptem prawdziwe uczucie?

— A wtedy — kontynuował Brezga — nasze milicyjne poszukiwania mogą panu sprawić trochę przykrości i kłopotów małżeńskich. Oczywiście, będziemy dyskretni, o ile się da, wolałbym jednak to i owo się dowiedzieć, właśnie po to, aby pan nie przypuszczał rzeczy najgorszych. Zepsute małżeństwo da się naprawić. Co innego, nie — dodał ciszej.

— Dobrze. Proszę rozpocząć poszukiwania. Niech ja chociaż wiem, co zaszło. To prawda, nie jestem dobrym mężem. Nie mam na nic czasu. Rzadko z nią gdzieś chodzę. To wszystko prawda.

Brezga milczał. Myślał o tych żonach pracowników milicji, które tygodniami widują

mężów tylko przez parę godzin na dobę, miesiącami nie chodzą z nimi do kina lub na zabawę, czasem przez kilka lat nie wyjeżdżają z nimi na urlop, a przecież jakoś te małżeństwa trwają, lepsze lub gorsze, coś je wiąże, może obustronne zrozumienie, może licho wie co. Oczywiście, i tutaj bywa inaczej.

— Umówmy się tak — rzekł na zakończenie — poczekamy jeszcze do jutra rana. Jeżeli do tego czasu żona nie wróci i nie otrzyma pan od niej żadnych wiadomości, nasz pracownik zgłosi się do pana do domu, powiedzmy: jutro pod wieczór i zajmujemy się tym. Będzie to oficer doświadczony i dyskretny, może pan rozmawiać z nim otwarcie. Nie umiem w tej chwili podać jego nazwiska, bo nie wiem, który z kolegów dysponuje wolniejszym czasem, ale on się panu przedstawi i powoła na naszą dzisiejszą rozmowę.

Pożegnali się, Straszewski wyszedł. Brezga siedział dobry kwadrans, bawiąc się fajeczką i rozmyślając. Dałby wiele, aby wiedzieć już teraz, czy zniknięcie żony docenta ma jakikolwiek związek z kradzieżą jego pracy, czy też Straszewska po prostu wyjechała z jakimś facetem w siną dal, bo miała już męża dość. Dziwne tylko, że nie zabrała rzeczy, kobiety są na ogół przywiązane do własnych fatalaszków. Według tego, co mu docent mówił, nie miała przy sobie wiele pieniędzy. Chyba że odłożyła na boku trochę gotówki albo też jej amant dysponował niezgorszą sumą.

Westchnął z irytacją. Podniósł słuchawkę wewnętrznego telefonu, nakręcił trzy cyfry.

— Stefan?... Brezga mówi. Słuchaj, czy któryś z twoich ludzi ma trochę czasu?... Ja wiem, że są zajęci przez cały rok, ale to się chyba wiąże ze sprawą kryptonim „Laser”... Nie wiem, tak przypuszczam. Obym się mylił... Przyślij do mnie kapitana Szczęsnego. Cześć.

— Diabli nadali — warknął Szczęsny, kiedy major Daniłowicz powtórzył mu polecenie. — Czego on chce?

— Nie wiem. Mówił, że to się wiąże ze sprawą „Laser”. Idź, to się dowiesz.

ROZDZIAŁ 7

— Nie — powiedział kapitan Szczęsny. — Ja wiem, co pan robił w Krakowie, i nie będę o to pytał.

— Już pan wie? — docent był zdziwiony i urażony.

— Już. A jeżeli pan będzie mnie traktował jak natręta, nigdy się nie porozumiemy. Podjąłem się zadania niełatwego, bo dotyczy ono najbardziej osobistych spraw pomiędzy dwójgiem ludzi. Jednym z nich jest pan, docencie. To nie jest towarzyska rozmowa, z której mogą później wynikać plotki. Chcę panu pomóc w odnalezieniu żony, chcę to zrobić dostępnymi mi środkami, ale nie dam rady, jeżeli pan mi tego nie ułatwi. A w każdym razie, będzie to trwało o wiele dłużej.

— Nie chciałem pana urazić. Jest mi ciężko w tej chwili.

— Ja przecież rozumiem.

Straszewski popatrzył na śniadą, pociągłą twarz oficera; spojrzenie czarnych oczu było naprawdę życzliwe, dałby jednak dużo, aby cała ta rozmowa nie była w ogóle potrzebna. Ale mijał już czwarty dzień od chwili, kiedy Bożena wyszła z domu, aby do niego nie powrócić. W tej chwili był niemal pewien, że opuściła go z innym człowiekiem, nie mógł tylko zrozumieć, dlaczego zrobiła to tak bez słowa, bez żadnego usprawiedliwienia czy wyjaśnienia.

— Potraktowała mnie jak obcego — rzekł na wpół do siebie, kończąc myśl. — Przepraszam... pan mnie przedtem o coś pytał?

— Czy przechowuje pan w domu swoje prace naukowe?

— Tak — w głosie docenta było zdziwienie, nie tego się spodziewał. — Większość prac piszę w domu.

— Gdzie pan je tutaj trzyma?

— W szafie — ruchem głowy wskazał na żelazną szafę w kącie pokoju.

— Zawsze jest zamknięta, kiedy pan wychodzi?

— Tak.

— Czy w ostatnich tygodniach często pan do niej zaglądał?

— Do czego pan zmierza?

— Niech pan odpowie — zniecierpliwził się Szczęsny. Stał przed szafą i oglądał ją uważnie.

— Przyznam się, że nie otwierałem jej chyba od dwóch tygodni. Byłem zajęty innymi pracami w Instytucie.

— Proszę ją teraz otworzyć. Albo nie, proszę dać mi klucze.

Delikatnymi ruchami manipulował przez chwilę przy zamku, potem uchylił drzwiczki. Zajrzał do środka, leżały tam różne teczki i dokumenty.

— Proszę, niech pan tu podejdzie, ale nic nie dotyka — rzekł, przyglądając się ściankom wnętrza. — Niech pan spojrzy. Tak to leżało, kiedy pan ostatni raz zaglądał do szafy?

Straszewski milczał, próbując przypomnieć sobie zupełnie nieważne dla niego szczegóły sprzed paru tygodni. Wzruszył ramionami.

— Nie potrafię panu odpowiedzieć. Może i tak. Nie pamiętam. Sądzi pan, że ktoś tu grzebał? Nonsens. I w ogóle, jaki to może mieć związek z odejściem mojej żony?

— Nie wiem — mruknął Szczęsny. — Wszystko może być — rzucił niedbale, wyjmując z kieszeni przybory do daktyloskopowania. Opylił argenteratem teczki i papiery, ściągnął ślady linii na folię. Były dość wyraźne. — Proszę odcisnąć palce — zwrócił się do docenta, który mimo woli zaciekawiał się tą operacją. — Dziękuję. Zaraz będę gotowy.

Usiadł przy biurku, wyciągnął lupę, długo porównywał linie papilarne. Potem uśmiechnął się z zadowoleniem.

— Ktoś był mocno nieostrożny — powiedział. — Niech pan spojrzy. Tu, na te linie, zwłaszcza kciuka. To jest męska ręka, ale nie pana. Dawał pan komuś klucze od tej szafy?

— Nikomu, miałem je z sobą w podróży. Nie moja ręka? A czyja?

Kapitan roześmiał się.

— Oczywiście, powiedziałem głupstwo — zreflektował się docent. — Ale tak mnie pan zaskoczył... Myśli pan, że...

Wpatrywał się to w folię, to w otwartą szafę, czuł zamęt w głowie, wszystko było coraz bardziej niezrozumiałe. I stawało się groźne.

— Co ja mam o tym sądzić? — szepnął, przecierając czoło. — Bożena nagle znika z domu, ktoś obcy otwiera moją szafę, wyciąga teczki... — Zerwał się, podbiegł do szafy, zaczął nerwowo przerzucać papiery. Szczęsny przyglądał mu się z uwagą.

— Zginęło coś?

— Nie — odparł docent po dłuższej chwili. — Nic.

— Miał pan tu jakieś ważne opracowania?

— Nie. Tak się złożyło, że ważniejsze wykresy i obliczenia są w Instytucie, pracujemy nad nimi w laboratorium.

— Człowiek, który zaglądał do szafy, był w chemii dobrze zorientowany — zauważył kapitan. — Dlatego nic nie zabrał. Przypuszczam, że to ten sam człowiek, który ukradł pańską pracę o spójnym promieniowaniu. Wtedy, z Instytutu Chemii. I ten sam, który... — urwał. Nie chciał dokończyć myśli. Ale Straszewski i tak wiedział.

— Który zabił doktora Mikołca, prawda? Straszne. Na miłość boską, kapitanie, co ma do tego... jaki to ma związek z moją żoną? Ja muszę wreszcie zrozumieć, znać jej rolę w

tym... Proszę powiedzieć wyraźnie, podejrzewa pan ją o coś?

— Nie — odparł Szczęsny, twarz mu się zasepiła. — Obawiam się o nią. Człowiek, który to wszystko zrobił, nie zawaha się przed niczym. Czy nie mogło być tak, że pańska żona go znała? Że go zna? — poprawił się szybko. — Będę zupełnie szczery: rozmawiałem już z gosposią, ona ma pewne podejrzenia, że w czasie pana nieobecności przychodził tu jakiś mężczyzna. Wprawdzie nie widziała nikogo, ale rano znajdowała, dwa lub trzy razy, ślady... no, kolacji wspólnie jedzonej, kieliszki i tak dalej.

— Nic mi o tym nie mówiła!

— To zrozumiała. Nie wie pan, kto to mógł być?

— Nie mam pojęcia.

— Jeszcze jedno pytanie. Czy nie podejrzewa pan o to wszystko kogoś z naukowców? Fizyków lub chemików? To nie jest absurdałne pytanie. Wiele szczegółów wskazuje tu na działanie wybitnego fachowca, powiedziałbym, niemal geniusza w dziedzinie elektroniki.

— Ma pan na myśli ten laser? To jest zupełnie niemożliwe, kapitanie. Nie istnieją lasery tej mocy, które dawałyby się przenosić z miejsca na miejsce, jak walizka. Nikt jeszcze nie wyprodukował laserów na baterie atomowe czy rtęciowe.

— A jednak doktor Mikolc został zabity igłą świetlną niezwyklej mocy. I taką samą igłą, taką wiązką potwornie silnych promieni, został stopiony zamek w szafie Instytutu. Pan widział ten zamek, te stopione resztki, docencie!

Straszewski długo milczał, zgnębiony i postarzały nagle o kilkanaście lat. Wreszcie potrząsnął głową przecząco.

— W każdym razie — rzekł cicho — ja nie znam żadnego fizyka czy chemika, którego mógłbym posądzić o kradzieżę i zbrodnię.

— Dobrze, wobec tego odwróćmy pytanie: a czy zna pan takiego, który mógłby skonstruować przenośny laser na atomowe lub inne baterie?

— Także nie. Czy pan zdaje sobie sprawę, czym byłby taki laser? Rewelacją na skalę światową! I jak pan sobie wyobraża, że on to zrobił? Sam? W domu, za pomocą świderka i młotka? Absurd! Musiałby mieć do dyspozycji całe laboratorium, wspaniale wyposażone, i ze dwóch, trzech równie genialnych pomocników. I co to ma wspólnego ze zniknięciem mojej żony! O czym pan myśli, kapitanie?

— Myślę, że człowiek, który stworzył obie szafy, znał pańską żonę. I wie, gdzie ona jest.

*

Była niedziela. Szczęsny szedł przez Łazienki, prawie puste o tej porze roku, co w zupełności odpowiadało jego nastrojom. Potrzebował pustki i ciszy, aby przemyśleć coś bardzo trudnego i nieuchwytnego, błędził w tym jak w gęstej mgle, nie chciał niczyjej rady, sam musiał ze swymi myślami dojść do ładu.

„Fakty” — zastanawiał się i próbował je podliczyć, uporządkować, ale faktów było niesłychanie mało, dla mniej dociekliwego człowieka właściwie nie było ich wcale. Bardziej więc liczył na swój instynkt śledczy, do czego za nic w świecie nie przyznałby się kolegom. W komendzie od dawna utarło się przekonanie, że pomoc mogą tylko dowody przestępstwa i zeznania, nie zaś instynkt, o którym nie bardzo było wiadomo, co to jest i czym się charakteryzuje.

Przysiadł na ławce, dzień był dość ciepły, mimo początków grudnia, na stawie woda jeszcze nie zamarzała i widać było buszujące w niej wielkie karpie. Z góry grzbiety ich wyglądały jak długie, czarne smugi.

„Fakt pierwszy — myślał, rzucając rybom kawałki precli — spotkanie z tym człowiekiem na giełdzie samochodowej. Zapalenie spojówek lub coś w tym rodzaju, to bezsporne.

Dlaczego tak się nagle rozgniewał? Piękny opel-record 1700. Inżynier, mieszka na Mokotowie, pracuje w «F-2», małe biuro, robią trochę projektów... Inżynier Ryszard Nort. Niepolskie nazwisko, to bez znaczenia. Fizyk albo chemik.”

Rzucił większy kawałek, karpie zatrzepotały, kręgi wody rozbiegły się dokoła.

„Fakt drugi: spotkanie w szatni Bristolu. Znowu te oczy, chyba trochę podleczone, ale jeszcze widać ślady choroby. Nie poznał mnie, żadnego drgnienia na twarzy, błysku we wzroku, nic. Albo udawał. Dlaczego? Nie, nie wolno mi się sugerować, po prostu nie poznał, zresztą cóż to wtedy była za rozmowa, kilka zdań.”

Otrzeptał ręce, sznurek od precli zagrzebał butem w śniegu. Karpie czekały cierpliwie tuż pod powierzchnią wody.

„Fakt trzeci: opel na parkingu, inżynier Nort przyjeżdża taksówką, przesiada się do swojego wozu, odjeżdża. Dziwne, że kierowca taksówki pamiętał, skąd zabrał tego pasażera. Widocznie coś mu w nim podpadło. Mniejsza z tym. Nort wszedł do taksówki przed Bristollem. I nie sam. Kierowca odwiózł tych dwoje na ulicę Szwoleżerów. Kobieta wysiadła, Nort pojechał na parking. Kobieta była ładnie ubrana, niestara, więcej taksówkarz nie pamięta.”

Wstał z ławki, wszedł w szeroką aleję.

„Na Szwoleżerów mieszkają Straszewscy. To jeszcze nic nie znaczy, ale mieszkają pod szóstym, tam gdzie wysiadła z taksówki ładnie ubrana, młoda kobieta. Kierowca długo oglądał zdjęcie Bożeny Straszewskiej, nie powiedział jednak na pewno: ta czy nie ta. Cóż, trudno mu się dziwić. Kelnerzy w Bristolu... jeden pamięta, że Straszewska jadła niedawno obiad czy kolację z mężczyzną, którego bardzo pobieżny rysopis przypomina inżyniera Norta. Żonę docenta znają tam, bywała bardzo często. Założmy, że tych dwoje znało się naprawdę. Co z tego wynika?”

— Nic — mruknął, wsuwając ręce w kieszenie kurtki. Znowu zgubił rękawiczki, chyba trzeci raz w tym roku.

Poszukiwania Straszewskiej trwały już przeszło tydzień. W miarę jak upływały dni, Szczęsny coraz bardziej wątpił, czy znajdą ją żywą. Było nie do pomyślenia, aby ta kobieta — jak można było sądzić z licznych wypowiedzi znajomych, krewnych, przyjaciół, sąsiadów — zniknęła z własnej chęci i woli, porzucając nagle wszystko, co miała w domu, a miała sporo.

— Gdyby kogoś pokochała — powiedział mu docent — dałbym jej rozwód bez słowa protestu. Wiem, że życie ze mną, dla takiej kobiety jak Bożena, nie było niczym atrakcyjnym. Mam dość dużo pieniędzy, dawałem jej, ile chciała, ale zdaję sobie sprawę, że pieniądze to nie wszystko.

— Nie klócili się — twierdziła stanowczo gospoia. — Pan był dobry, tyle że go było mało w domu. Ale pani radziła sobie, jak chciała... Sukien miała w szafie tyle, że trzy by obdzielił. Na mój rozum, to pan trochę wiedział, że pani z tym i tamtym chodzi, ale nigdy nie krzyczał, jak to inni mężowie. Smutna? Nie, smutna nie była. Może tylko, na krótko przed tym nim odeszła, trochę jakby zmizerniała, martwiła się czymś, wciąż mnie pytała, czy kto nie dzwonił. I do skrzynki na listy biegała...

Docent stanowczo zaprzeczył: nie zna żadnego inżyniera Norta i nawet o nim nie słyszał. Nie było więc żadnych podstaw, aby nad tym człowiekiem rozciągnąć dyskretną obserwację. Straszewska mogła pójść z nim do lokalu, potem odwiózł ją do domu, uprzejmy towarzysz, nic więcej.

Szczęsny westchnął z irytacją. Wiedział, że Nort jest w Warszawie, chodzi codziennie do biura, nie wyjechali więc we dwoje i chyba należało się od inżyniera odczepić.

A jednak — nie potrafił.

*

Dochodziła jedenasta w nocy. Siedzieli we trzech w gabinecie majora Daniłowicza,

rozłożywszy na jego biurku notatki i plan miasta. Tu było wygodniej niż w ich ciasnym pokoju na drugim piętrze, gdzie od czasu do czasu odzywały się telefony albo wpadał ktoś z innego wydziału. Łomnicki wygrzebał resztkę kawy i zaparzył.

— Zestawiłem daty — powiedział Szczęsny, gryząc w zamyśleniu koniec długopisu. — Czwarty lipca: kradzież pracy Straszewskiego z Instytutu Chemii. Potem trochę spokoju. Dwudziesty szósty września: zabójstwo Mikołca i kradzież jego pracy. Nasz wydział dołącza do grupy pułkownika Brezgi, ogólny kryptonim sprawy: „Laser”. Drugiego października przeprowadzamy w mieszkaniu Mikołca wizję lokalną, znajdujemy ślad na ramie obrazu. Znowu parę tygodni ciszy i czternastego listopada ktoś zabiera Rakowskiemu teczkę z projektem pracy. Dziś już jestem pewien, że cała ta historia z profesorem Zaklickim była z góry ukartowana, aby odwrócić naszą uwagę od innych osób. Przesiępca celowo wysłał parę anonimów, a potem zaryzykował nawet zaczepkę Zaklickiego na schodach, tak, abyśmy byli pewni, że profesor będzie obiektem następnej napaści. Cóż... przechytrzył nas, to prawda. No i ostatnie: dwudziesty szósty listopada, Bożena Straszewska znika z domu, aby do dziś nie powrócić. Dziś mamy szósty grudnia. To znaczy, że babki nie ma już dziesięć dni.

— Ja nie wiem, czy to ma jakiś związek — Kręglewski skrzywił się i podrapał za uchem. — Nie rozumiem, po co zestawiasz tamte rzeczy ze zniknięciem Straszewskiej. W końcu, kobieta to nie spójne promieniowanie. Może ją ktoś rąbnął w ciemnej bramie, zwyczajnie dla rabunku, i pewnego dnia znajdziemy zwłoki w jakiejś piwnicy albo wyłowimy z Wisły.

— Mnie też się wydaje, że to dwie zupełnie inne sprawy — rzekł Łomnicki: — Człowiek, który zabił Mikołca i trzykrotnie ukraść cenne prace naukowe, to przesiępca idący konsekwentnie w jednym kierunku, a tacy rzadko kiedy zbaczają z obranej drogi. Nie pasuje mi to do niego, rozumiesz? Oczywiście, jeżeli przyjąć, że zabił Straszewską. Po co miałby to robić? Babka, jak się wydaje, nie grzeszyła rozumem. Żadnych naukowych opracowań nie miała na sumieniu, to fakt. Ja bym tych spraw nie łączył. Brezga i jego ludzie zajmują się kradzieżami prac, do nas należy zabójstwo Mikołca, a Straszewskiej niech szuka ktoś inny.

— I w ogóle, skąd ci przyszło do głowy, że tych dwoje się znało? — zauważył Kręglewski. — Pytałeś docenta?

— Jakich dwoje?

— No, Straszewska i człowiek, który zabił Mikołca i ukraść prace. Czyli, Straszewska i anonim. Zabrnijemy tak, że nikt się potem z tego nie wyplącze.

Szczęsny milczał, patrząc to na jednego, to na drugiego czarnymi oczami. Wahał się, czy powiedzieć im o swoich podejrzeniach.

— Wyduś z siebie, bo ci urządzimy formalne przesłuchanie — mruknął Łomnicki, dolewając mu kawy. — Od nas się tak łatwo nie odczepisz.

— Dobrze. Więc słuchajcie...

Kiedy skończył, tamci zastanawiali się parę minut, wreszcie Łomnicki potarł czubek nosa, wyjął z paczki giewonta i powiedział:

— Na obserwację faceta to trochę za mało. Ale wiesz, co ja bym zrobił?

— No?

— Ja bym spróbował dowiedzieć się, czy w dni, w które nastąpiły kradzieże, zabójstwo Mikołca i zniknięcie Straszewskiej, ten twój inżynier komuś nie podpadł. Na przykład, czy czwartego lipca nie kręcił się w pobliżu Instytutu Chemii. Albo czy go kto nie widział niedaleko mieszkania Straszewskich, mniej więcej od połowy listopada aż do dwudziestego szóstego. Może przyuważali go z drogowej, jeżdżą przecież stale po nocach, kontrolują wozy. Taki ładny opel-record podpada. Może zapamiętali. Oczywiście, to będą bardzo wątle poszlaki, ale spróbować można. I pociągnąć w tym kierunku. A nuż chwyci?

— Andrzej ma rację — przytaknął Kręglewski. — On jest inżynierem, ten Nort?

— Tak.

— Jakiej specjalności?

— Zdaje się, fizyk.

— Tylko nie zapędzajmy się za daleko — ostrzegł Łomnicki. — Mogą to być dwie zupełnie różne sprawy: tamte laserowe i ta ze zniknięciem Straszewskiej. Nort może ja mieć na sumieniu, ale może być absolutnie nie zaangażowany w kradzieże prac i zabójstwo Mikołca. Chociaż wykluczyć się nie da, że to jeden i ten sam facet.

— Za dużo szczęścia! — mruknął Kręglewski. — Zresztą, my mówimy: człowiek, a jeżeli to jest kilku ludzi?

— Zapomniałem wam powiedzieć o śladach linii papilarnych — rzekł śpiesznie Szczęsny. — Obce ślady, na teczkach z dokumentami i różnymi papierami w żelaznej szafie, która stoi w gabinecie docenta.

— Sprawdziłeś w Centralnej Registraturze Daktyloskopijnej?

— Oczywiście. Nie mają takich. Docent jest pewien, że nikomu nie dawał kluczy od szafy. Są to linie męskiej ręki, bardzo wyraźne, kciuk prawej i wskazujące z obu rąk.

— Trzeba zdobyć linie papilarne Norty. Chyba nie będzie trudno, wymyśli się jakiś interes do tego biura „F-2”. Ale jeżeli nawet się okaże, że na dokumentach są jego linie, to wiele z tym nie zdziałamy. Nort może na przykład powiedzieć, że znał Straszewską, przychodził do niej do domu i kiedyś, na jego prośbę, pokazała mu prace swego męża.

— A klucze?

— On powie, że leżały na biurku. Albo wisały przy drzwiach szafy. Albo Straszewska miała w torebce. Docent mógł zapomnieć, że je zostawił. Docent często wyjeżdża, babka się nudziła i zapraszała różnych facetów, których on mógł wcale nie znać i na oczy nie widzieć. Raz zaprosiła inżyniera-fizyka, który zainteresował się pracami docenta. Jak udowodnisz, że tak nie było? Chyba że kobieta się znajdzie i sama to wyjaśni.

— Nie zapominajmy, że nie mamy w tej chwili żadnych dowodów na to, że Nort rzeczywiście znał Straszewską! — dorzucił Łomnicki. — To są tylko przypuszczenia. Trzeba by mu najpierw udowodnić, że ją znał.

— Jeżeli nie znał, to jakim cudem jego linie papilarne znalazły się na dokumentach, które były w mieszkaniu Straszewskich? Jeżeli, oczywiście, linie się zgodzą.

— Sprytny gość znajdzie na to dziesięć zupełnie logicznych wyjaśnień, z których potem ty będziesz musiał każde po kolei obalać. Na przykład powie ci, że widział te prace w Instytucie Chemii i oglądał, bo go zaciekały. Czy sam Straszewski potrafi zapewnić, że jego tecki nigdy tam się nie znajdowały?

— Gdzie on mieszka, ten Nort? — spytał Kręglewski.

— Na Odyńca. Mokotów.

— Pokaż plan.

Długopis zakreślił linię pomiędzy ulicą Odyńca a Szwoleżerów. Potem drugą, między Odyńca a Rutkowskiego, gdzie było mieszkanie doktora Mikołca. Trzecią — do Instytutu Chemii. I czwartą — na Boczna.

— Pojadę jutro do Wydziału Ruchu Drogowego — rzekł mały porucznik. — Zostaw mi ten plan miasta. Może uda się coś odnaleźć. Czy docent zgodził się, żeby opublikować w prasie zdjęcie jego żony?

— Nie — odparł Szczęsny.

*

Po przerwie obiadowej zjazd wznowił obrady. Ponieważ jednak do głosu zapisało się dwóch profesorów o skrajnie przeciwnych poglądach na stosowanie wzoru Plancka w widmowym rozkładzie mocy promieniowania — oczywiście, chodziło o promieniowanie ciała doskonale czarnego — większość zebranych wiedziała z góry, że dyskusja pomiędzy tymi dwoma panami potrwa co najmniej godzinę, a nie wniesie przy tym nic nowego, nic, czego by

uczestnicy wielu poprzednich zjazdów już nie słyszeli.

Toteż sala wypełniona była tylko w połowie, za to w bufecie nie było miejsca przy żadnym stoliku, a przed ladą stała długa kolejka. Zagraniczni goście rozglądali się za swymi tłumaczami albo po prostu wskazywali palcem na tę czy inną kanapkę, porcję sałatki w majonezie lub węgierskiego tortu.

Inżynier Ryszard Nort dopchał się wreszcie do sprzedawczyni w bufecie, otrzymał kawę i porcję parówek na gorąco, wycofał się ostrożnie z niecierpliwego tłumu i umieścił zdo- bycz na parapecie najbliższego okna. Nie było to jednak dobre miejsce do jedzenia parówek.

— Tu jest jeszcze jedno krzesło - usłyszał czyjś głos. — Proszę, może kolega skorzysta.

Spojrzał w tę stronę. Twarz była trochę znajoma, choć nie mógł jej skojarzyć z żadnym nazwiskiem, pewnie jakiś fizyk z warszawskiego oddziału NOT-u albo z któregoś z instytu- tów.

— Jeżeli można... — z ulgą postawił parówki i kawę na obrusie, zajął ostatnie puste krzesło. — Okropny tłok — dodał, obrzucając uważnym spojrzeniem twarze pozostałych go- ści przy stoliku. Nie znał żadnego. Tym lepiej, dadzą zjeść spokojnie, obejdzie się bez konwe- ncjonalnej rozmowy w rodzaju: „ciekawa dyskusja” albo „nudna dyskusja”, zależnie od punktu widzenia.

Tamci rozmawiali z sobą, wymieniając uwagi na temat referatu.

Postanowił nie mieszać się, musiał jednak słuchać, co mówili. W pewnej chwili rozmo- wa go zainteresowała. Skończył jeść, zapalił papierosa i przyjrzał się temu, który od paru minut ściągnął na siebie jego uwagę.

Był to mężczyzna dość jeszcze młody, w okularach o bardzo grubej czarnej oprawie, które przysłaniały mu prawie pół twarzy. Rysy miał regularne, włosy lekko szpakowate, gęste, koło ust głębokie bruzdy. Z rozmowy wynikało, że przyjechał na zjazd ze Szczecina.

— To trochę nieprawdopodobne — uśmiechnął się jego sąsiad z lewej strony, który za- prosił przedtem Noria do stolika. — Wprawdzie fotografia w podczerwieni to nie moja spec- jalność, ale coś niecoś w niej się orientuję, panie docencie.

— Zdaję sobie sprawę, że może to brzmieć nieprawdopodobnie — odparł tamten. — Przeprowadziłem jednak szereg prób. Wyniki były zaskakujące, nawet dla mnie samego.

— Pan jest fizykiem? — spytał trzeci z mężczyzn.

— Nie. Paleontologiem i botanikiem. Ale zajmuję się przede wszystkim mikrofotogra- fią w podczerwieni.

— Przyznam się, że... — fizyk z warszawskiego NOT-u zastanawiał się przez chwilę. — Wiem, że w paleontologii można wykorzystać ten sposób fotografowania do różnego typu skamieniałych szczątków, odcisków organizmów kopalnych, roślin czy zwierząt. Powiedzmy, szczątki owadów w bryle bursztynu lub zwierząt w bryłach węgla, w minerałach i tak dalej. To jest zrozumiałe. Promieniowanie podczerwone... chlorofil działa na nie nawet przez ileś tam milionów lat, podczas których roślina tkwiła w skale.

— Nie tylko chlorofil — zauważył trzeci. — Ksantofil też odbija promieniowanie pod- czerwone.

— Tak — zgodził się docent. — Ale nie o to przecież mi chodzi. To są rzeczy znane. Ja się zająłem badaniem roślin żywych, rosnących w polu czy w lesie. Za pomocą fotografii w podczerwieni uzyskano już ciekawe wyniki w badaniu przezroczystości drzew, ich różnych gatunków. Mój aparat... no, nie chcę teraz wchodzić w szczegóły budowy. Krótko mówiąc, wykrywa on obecność obcego organizmu w promieniu kilkunastu metrów od najgłębiej sięga- jących korzeni drzewa czy krzaka, pod ziemią oczywiście, względnie pod wodą. I określa ten organizm, jego strukturę chemiczną, wagę, wielkość, położenie w ziemi. Następnie za pomo- cą fotografii w podczerwieni mogę uzyskać dość dokładny obraz organizmu.

— Niezwykle interesujące — rzekł fizyk. — Byłby to na pewno cenny wynalazek dla rolników, ogrodników, leśników...

— Owszem, ale nie tylko. Dla budowniczych również. Dla architektów. Aparat rejestruje w podobny sposób każdy organizm, znajdujący się w ziemi, choćby tam nie było drzew. A więc, przy budowie domu. Przy badaniu piwnic, podziemnych przejść. Zdarzyło mi się — tu docent uśmiechnął się — określić moim aparatem, i to bardzo dokładnie, ukryty pod piwnicą skład win i wódek, schowany chyba przed wielu laty. Kiedy później zaczęto w tym miejscu kopać, miejscowy architekt dawał mi kilkadziesiąt tysięcy złotych za sprzedaż aparatu. Oczywiście, nie zgodziłem się.

— Przepraszam, że się wtrącam... — Nort zawiesił głos.

— Proszę bardzo, panie kolego — rzekł fizyk z roztargnieniem, tamci skinęli głowami.

— Jeżeli dobrze zrozumiałem — Nort zwrócił się w stronę docenta ze Szczecina — pański aparat określa, mówiąc ogólnie, każdy organizm, znajdujący się pod ziemią względnie pod wodą. A więc jest to jak gdyby ulepszone wydanie wykrywacza min, kretów i butelek alkoholu?

Wszyscy roześmieli się, a docent pogroził mu palcem.

— Niech pan się nie gniewa — Nort przybrał skruszony wyraz twarzy. — Naturalnie, to był żart.

— Tak też go zrozumieliśmy — rzekł fizyk, trochę zdziwiony.

— Żart, z pańskiej strony — dodał Nort, uśmiechając się do wynalazcy. — Taki aparat nie istnieje,

Na chwilę zapadła cisza. Docent poprawił okulary i odparł zupełnie spokojnie:

— Taki aparat istnieje. Mam go w swoim pokoju hotelowym, na drugim piętrze. Ale nie dziwię się, że panu trudno uwierzyć.

— Przepraszam, panie docencie — wtrącił się skonsternowany fizyk, bądź co bądź to on zaprosił Nortą do stolika — czy aparat wykrywa również organizmy żywe?

— Skądże! — zawołał trzeci z mężczyzn. — Przecież wykrył skład butelek.

— Owszem, żywe i martwe. Z martwych, na przykład zwłoki ludzkie. Raz już to zrobił, na dnie głębokiej glinianki. W województwie białostockim, za małym miasteczkiem powiatowym, ciągną się glinianki i wykopy chyba przez parę kilometrów. Utonęło tam dziecko. Zaoszczędziłem wtedy milicji długich poszukiwań.

— Przywiózł pan ze sobą aparat, aby go zademonstrować na zjeździe? — spytał fizyk.

— Nie. Po co? I co ja bym tu wykrywał? — uśmiechnął się docent. — Prawdopodobnie ofiaruję ten model warszawskiej milicji. Zresztą, jeszcze nie wiem. Będę w stolicy dwa tygodnie, więc mam dużo czasu do zastanowienia się.

— Dlaczego akurat warszawskiej milicji?

— Widzi pan... to jest taka skomplikowana sprawa. W ostatnim czasie zaginęła w Warszawie pewna bliska mi osoba. Zresztą, mniejsza o to.

— Nie chciałem sprawić panu przykrości — rzekł fizyk. — Ale jeżeli pański aparat stwierdzi obecność... — chrząknął, zawahał się — przecież to będzie oznaczało, że ten człowiek nie żyje, więc czy nie będzie to dla pana bardzo przykre? Fotografia zwłok, ewentualnych zwłok poprawił się szybko — i wszystko z tym związane...

— Jeżeli ona nie żyje — odparł docent — niech chociaż znajdą ciało. Ale nie mówmy już o tym.

Podniósł się, skłonił współtowarzyszom przy stoliku i odszedł w stronę sali obrad. Trzeci z mężczyzn wstał również, dojrzał przy bufecie kogoś znajomego.

— Dlaczego pan tak powiedział? — rzekł fizyk z wyrzutem w głosie. — Nie sądzi pan chyba, że na zjazd zaproszono nieuka czy szarlatana.

— Kto to jest? — odparł Nort pytaniem.

— Docent Modrzewski ze Szczecina. Znany botanik. Ma za sobą kilka cennych prac z dziedziny wpływu promieniowania na wzrost i żywotność ziół leczniczych. Nie wiedziałem, że zajmuje się również fotografią w podczerwieni. A ten aparat... cóż, może oddać cenne

usługi w różnych dziedzinach wiedzy praktycznej.

— On to sam skonstruował?

— Niezupełnie. Wynalazek jest jego własny, ale aparat został wykonany w jakimś instytucie. Nie potrafiliby go jednak zdublować bez dokumentacji, a tę docent zawsze trzyma przy sobie. Nawiasem mówiąc, nie dziwię mu się. Zanim nie opatentuje konstrukcji, mógłby mu kto wejść w paradę.

— Tak, to zrozumiałe. Zwłaszcza że mieliśmy ostatnio kilka wypadków kradzieży prac naukowych — zauważył Nort z troską w głosie.

— E, nie wierzę w to! — fizyk machnął ręką lekceważąco. — Więcej w tym wszystkim plotek i niepotrzebnego rozgłosu niż prawdy.

— No, nie! — zaoponował żywo. — Skradziono przecież pracę docenta Straszewskiego, zamordowano doktora Mikolca, a potem ten napad na inżyniera Rakowskiego... chyba dość, nie sądzi pan?

— Te-te-te! I pan naprawdę wierzy w to wszystko? Ja jestem niemal pewien, że ani zabójstwo Mikolca, ani napad na Rakowskiego nie miały żadnego podłoża zawiści, konkurencji zawodowej albo cech szpiegostwa. Uważam, że każdy wypadek trzeba rozpatrywać oddzielnie. I nie podciągać motywów pod wspólny mianownik. Rakowskiego obrabował zwykły złodziejasek w ciemnej i pustej uliczce. Mikolc... podobno zabrano mu pieniądze i biżuterię żony. Więc morderstwo z chęci zysku, jakieś bandziory.

— A praca Straszewskiego? — w głosie Norta była nuta rozbawienia.

— Nie wiem, jak tam było, ale nie wierzę w żadne lasery przenośne, to bzdura! Wytrawni włamywacze potrafią stopić różne zamki, pewnie przynieśli ze sobą palnik acetylenowy, a wartownik spał.

— Zwykli włamywacze nic zabieraliby prac naukowych. Przecież tego u nas nikt nie kupi.

— Toteż na pewno nic zabrali. Sądzi widać, że w szafie są pieniądze. Straszewski jest bardzo roztargniony, może zostawił teczkę z pracą gdzieś w pociągu czy w hotelu. Pewnie niedługo się znajdzie.

— Pan jest urodzonym optymistą — roześmiał się Nort. — Dawno pan zna docenta Modrzewskiego?

— O, tak! — odparł fizyk z przekonaniem w głosie.

I była to prawda.

Przeszli potem na salę, fizyk zmieszał się z tłumem i znikł, Nort manewrował tak, aby znaleźć się blisko Modrzewskiego i udało mu się to. Podczas następnej przerwy i jeszcze później, nie biorąc udziału w rozmowie, zdołał usłyszeć wiele dalszych szczegółów, dotyczących wynalazku.

A były to sprawy, które dały mu sporo do myślenia.

ROZDZIAŁ 8

Sądził, że zbyteczne będzie — w każdym razie na początek — zabieranie aparatu, choćby ze względu na jego objętość i wagę. Modrzewski określił swój wynalazek jako „cenny, lecz jeszcze nie dopracowany w produkcji”, właśnie z powodu zbyt dużej wagi. Aparat przypominał w obecnym stanie odbiornik telewizyjny typu „Orion”. Docent liczył, że dość szybko uda mu się zmniejszyć gabaryty prawie o połowę.

Dokumentacja — oto, co należało zabrać. Teczkę z dokumentacją zobaczył już podczas przerwy w dyskusji na zjeździe, Modrzewski pokazywał komuś wykresy i obliczenia, było tego chyba ze trzydzieści stron maszynopisu, kilkanaście rysunków i zdjęć. Mieściły się w

ciemnozielonej plastikowej teczce, którą docent wsunął potem do większej, z czarnej wytłaczanej skóry.

Nie miał wątpliwości, kim jest osoba zaginiona niedawno w Warszawie, a bliska Modrzewskiemu tak bardzo, że dla jej odnalezienia — choćby tylko zwłok — gotów był oddać swój cenny wynalazek. W trakcie rozmowy, prowadzonej przyciszonym głosem na sali pomiędzy docentem a którymś z jego znajomych, padło imię „Bożena”. Wówczas tamten znajomy spytał: — Sądziś, że ona nie żyje? — na co Modrzewski skinął głową twierdząco.

Wtedy znajomy dodał jeszcze:

— Teraz rozumiem, dlaczego Straszewski dziś nie przyszedł. — Więcej już na ten temat nie mówili.

W domu, leżąc wieczorem na tapczanie, zastanawiał się, co łączyło docenta z Bożeną. Dziwne, ale przecież poczuł jakby cień zazdrości o tę znajomość, która nie musiała być czymś błahym. Czuł też pewne zadowolenie, że oto pomiędzy tym dwojgiem wszystko raz na zawsze się skończyło, choć nie kochał Bożeny ani przez chwilę, była mu tylko potrzebna, a potem zaczęła przeszkadzać, więc ją usunął, jak usuwa się przedmiot stojący na drodze.

Wiedział, że zrobił wszystko co należy, aby nikt nigdy nie mógł mu zarzucić: — Ty ją zabiłeś. — Nie pozostawił żadnych śladów, nie został zauważony przez nikogo tam w lesie, wśród nocy, ani też później, kiedy wracał do domu. Tego był pewny. Ta pewność dawała mu spokój, bardzo potrzebny do dalszego działania. Umiał zdobyć się na ogromny wysiłek, kiedy chodziło o realizowanie własnych planów, umiał odrzucać od siebie wszelkie zbędne myśli i uczucia, koncentrować się tylko na jednej, w danej chwili zamierzonej czynności.

Wymagało to jednak zupełnego spokoju. Wymagało również opanowania wielu rodzajów wiedzy, ciągłego kontynuowania studiów nad fizyką, chemią, elektroniką kwantową zwłaszcza, w której coraz to ktoś odkrywał nowe prawa, metody, koncepcje. Studiował te prawa i metody, niektóre wypróbowywał w swoim laboratorium, chwilami jednak ogrom cudzych osiągnięć przytłaczał go tak dalece, że bezradnie opuszczał ręce. Mąciło mu się w głowie, czasami nawet zdarzało się, że czegoś nie mógł rozwikłać samodzielnie. Wiedział, że potrzebni mu są asystenci, zazdrościł ich profesorom z instytutów, ale jednocześnie strzegł swych tajemnic tak zaciekle, z tak wielką ostrożnością zacierał za sobą wszelki ślad, że nie pozostawało mu naprawdę nic innego, jak tylko praca absolutnie samotna, pustelnicza.

Incydent z Bożeną — nigdy sam przed sobą nie nazywał tego, co zaszło, inaczej zamącił na krótki czas jego spokój, szybko postarał się jednak, aby o tym zapomnieć. Teraz, na zjeździe, inni przypomnieli mu w sposób, który mógł w rezultacie okazać się pomyślnym. Nadarzała się okazja, aby wydrzeć z czyichś rąk cenny wynalazek i zabrać go na własny użytek. Nie miał żadnych wątpliwości, że użyje go lepiej niż ktokolwiek inny. Jego przekonanie o własnej wartości od dawna przekroczyło wszelkie możliwe granice.

W dwa dni po zjeździe, kiedy siedział skromnie przy biurku w jednym z pokoiów „F-2”, zadzwonił telefon. Nie śpiesząc się, wyciągnął rękę po słuchawkę.

— Słucham, wydział induktorów szkolnych.

— Chciałbym mówić z inżynierem Nortem — usłyszał obcy głos.

— Nort przy telefonie. Słucham pana.

— Mówi porucznik Cichocki z Wydziału Kontroli Ruchu Drogowego Milicji Obywatelskiej. Dzień dobry panu.

— Dzień dobry. O co chodzi, poruczniku?

— Pan jest właścicielem samochodu opel-record 1700, numer rejestracyjny szesnaście trzydzieści cztery?

— Tak.

— Proszę zgłosić się jutro z rana do Wydziału, pokój siedemnaście. Najlepiej pomiędzy ósmą a dziewiątą. Proszę wziąć kartę wozu i prawo jazdy. To nie potrwa długo.

— Ale o co chodzi? — zniecierpliwiał się. Wiedział, że wszystkie dokumenty ma w

największym porządku.

— Nic takiego, ale trzeba pewną rzecz wyjaśnić. Pan jechał tym wozem w nocy z dwudziestego szóstego września na dwudziesty siódmy przez Nowy Świat?

— Naprawdę nie pamiętam. We wrześniu? Panie, przecież teraz jest grudzień! Niech pan nie wymaga ode mnie cudów. Jeżdżę swoim oplem prawie codziennie.

— No więc trzeba to wyjaśnić. Był pan zatrzymywany przez służbę ruchu i miał pan się zgłosić następnego dnia do Wydziału.

— I dopiero teraz panowie sobie o tym przypomnieli? Wzruszające! Ale ja nie pamiętam absolutnie żadnego zatrzymywania przez milicję. Mogę pana zresztą zapewnić, że gdybym miał się zgłosić, to bym się zgłosił. Nie uciekam przed wami. Nie mam powodu.

— Wie pan, to nie było żadne wezwanie, zagrożone sankcjami karnymi. Po prostu, miał pan coś uzupełnić w karcie wozu. Chcemy do końca roku zlikwidować wszystkie zaległości. Więc proszę przyjechać jutro rano, wyjaśnimy sprawę i będzie spokój.

— Dobrze. Przyjadę.

Odłożył słuchawkę i zamyślił się. Coś uzupełnić w karcie wozu? Nonsens, nie ma nic do uzupełniania. A może wtedy było? Dwudziestego szóstego... wyjął notes, przerzucił kartki. Przy dacie dwudziestego szóstego września zobaczył maleńki znaczek.

No, tak. Teraz sobie przypominał. Kiedy wracał do domu, opuściwszy mieszkanie doktora Mikolca, w pobliżu placu Trzech Krzyży zatrzymał go milicjant ze służby ruchu. Ale czy to możliwe, że kazano mu wówczas zgłosić się do Wydziału, a on o tym zapomniał? Był niemal pewien, że nic takiego nie zaszło. Respektował wszelkie przepisy porządkowe i administracyjne, wychodząc z założenia, że tylko przy takim postępowaniu uwolni się od zalewu drobnych, dokuczliwych, a nawet czasami niebezpiecznych potknięć, które dla niego mogą mieć nieobliczalne skutki. Przede wszystkim zaś, nie chciał dopuścić do jakichkolwiek zeteknięć z milicją.

Siedział przy biurku ze ściągniętymi brwiami, próbując przywołać w pamięci szczegóły tego nocnego spotkania. A więc, patrol był na motocyklu, zatrzymano go „lizakiem”, zahamował natychmiast i czekał. Pamiętał, że na krótko przed tym — to było może minutę wcześniej — zdjął gumowe rękawiczki i... chyba odrzucił je na tylne siedzenie? Czy też leżały obok niego? Ręce miał jeszcze wilgotne, kiedy podawał milicjantowi kartę wozu i prawo jazdy. Ale tamten nie mógł tego wyczuć, miał na rękach skórzane rękawice.

Zaraz... miał czy nie miał? Może tylko na lewej ręce? Ale przecież nie zrobił żadnej uwagi ani na temat papierów, ani gumowych rękawiczek. Pewnie wcale ich nie dojrzał na siedzeniu. W wozie paliło się światło, mógł dojrzeć. No i co z tego? Co z tego, u licha, że ktoś ma gumowe rękawiczki?!

Przetarł twarz, zapalił papierosa. „Jestem przewrażliwiony pomyślał. — Nie wolno. Nie wolno sobie na to pozwolić, muszę być całkowicie spokojny, opanowany. Właśnie przy takich drobiazgach zdarzają się ludziom nerwowe załamania, które...”

Nie chciał kontynuować tej myśli. Nic się nie stało, wszystko jest w porządku, pojedzie jutro na Kotsisa, załatwi co trzeba i na tym sprawa się zakończy.

Nazajutrz, uzyskawszy zwolnienie z biura, przejrzał raz jeszcze dokładnie wszystkie dokumenty opła i prawo jazdy, były w porządku, nawet ubezpieczenie miał opłacone. Blisko godzinę przeglądał samochód, sprawdził biegi, światła, stan silnika, nie zapomniał o wycieraczkach, nie chciał, aby mogli do czegośkolwiek się przyczepić. Przyjechał umyślnie dopiero o jedenastej, to oni mieli do niego interes, nie on. Porucznik Cichocki, który przywitał go w pokoju numer siedemnaście — prócz niego był tam jeszcze jakiś cywil, zajęty pisaniem na maszynie nie powiedział jednak ani słowa na temat godziny. Wskazał krzesło, poprosił o dokumenty i zagłębił się nie z uwagą. Robił to dość wolno, aż Nort zniecierpliwiony zaczął go przynaglać, miał przecież wrócić jeszcze do biura.

— Juz kończę — odparł porucznik. — Zdaje się, że wszystko jest w zupełnym porzą-

dku.

Machinalnie podsunął gościowi otwartą papierošnicę zapaliki. Nort spojrzal na podluzny, ciemnobrunatny przedmiot i zdziwiony przyjrzał się papierošnicy z obu stron. Była wykonana z jakiegoš stopu metali, przypominała opalone złoto, z tym wszystkim ważyła nie więcej niż parę dekagramów.

— Z czego to jest zrobione? — spytał, obracając w palach dziwny wytwór nieznanego rękodzielnika.

Cichocki ušmiechnął się z roztargnieniem.

— A, to... ktoś mi przywiózł z dalekich krajów. Nie wiem dokładnie. Jakiš metal, chyba.

Raz jeszcze rzucił okiem na kartę wozu, podał mu dokumenty i rzeki z pewnym zażenowaniem:

— Okazuje się, że mnie mylnie poinformowano. Zmyję głowę temu pracownikowi. Może ma pan krewnego o tym samym imieniu?

— Nie.

Wobec tego, bardzo przepraszam. Niepotrzebnie pana fatygowałem.

— Nic nie szkodzi.

Stojąc już w drzwiach, zapytał z półušmiechem:

— Nie sprzedałby pan tej papierošnicy?

— O, nie! — odparł Cichocki. — To pamiątka. Ten kolega zginął w wypadku samochodowym. Czułbym się głupio, gdybym sprzedał.

— Rozumiem — rzekł, chociaż zupełnie nie mógł tego zrozumieć, nie uznawał żadnych pamiątek, tym bardziej po zmarłych.

Pożegnali się i Nort opuścił pokój. Cywil przy maszynie odczekał kilka minut, wyrzwał przez okno, a upewniwszy się, że inżynier jest już przy samochodzie, wrócił do pokoju, rozpostarł szeroko czystą chustkę do nosa i położył na niej prawie nie dotykając palcami pamiątkową papierošnicę. Potem szybkim ruchem obsypał przedmiot proszkiem i czekał chwilę, patrząc na ciemny metal.

— Nie używasz argenteratu? — zagadnął go Cichocki.

— Tym razem nie - odparł tamten. — Na świeże ślady lepsza jest rodamina-B. Popatrz, jak one nabierają lekko czerwonego koloru!

— Aha. Zdejmiesz na folię?

— Raczej nie. Wolę sfotografować, przy rodaminie to pewniejsze. Ten facet... on rzeczywiście miał coś nie w porządku w papierach?

— Daj Boże każdemu mieć takie dokumenty, jak on. I wtedy, w nocy, też nic nie zaszło, zwykła kontrola. Nie wiem, dlaczego kapitan Szczęsny tak się interesuje tym dwudziestym szóstym września.

— Nie wiesz? To sobie przypomnij. Tej nocy ktoś rąbnął doktora Mikolca, w jego mieszkaniu. Ci z wydziału zabójstw dotąd nie mogą wpaść na żaden ślad.

— Myślisz, że to Nort?

— Nie mam pojęcia.

— Bo jeżeli to on — Cichocki kończył swoją myśl — to trzeba zwrócić uwagę na jego opla-record. Zrobię to, a wszelki wypadek.

*

Kilka minut po siódmej rano w pokoju hotelowym numer dwieście dwanaście biały telefon na stoliku zabrzczał dyskretnie. Docent Modrzewski odłóżył ręcznik, wyłonił się z mikroskopijnej łazienki i ujął słuchawkę.

— Proszę.

— Czy pan docent Modrzewski?

— Jestem przy telefonie. Kto mówi?

— Tutaj inżynier Nort. Poznaliśmy się na zjeździe, w bufecie, może pan sobie przypomina? Byłem wówczas na tyle nieostrożny, że wyraziłem wątpliwość w istnienie pańskiego aparatu. — W głosie Norta była przeprosząca nuta, nie pozbawiona odrobiny przekory.

— A, tak. Przypominam sobie. I cóż, zmienił pan zdanie?

— Czy mógłbym zobaczyć ten aparat?

— Myślę, że nic nie stoi na przeszkodzie. Kiedy pan chce przyjść?

— Uzależniam to od pańskiego wolnego czasu.

— Więc dobrze. Na ósmą muszę wyjść do ministerstwa. Będę tam na konferencji i pokazie, właśnie z moim aparatem, to potrwa parę godzin. Potem jestem umówiony w jednym ze Zjednoczeń, pojedę tam prosto z ministerstwa. Później idę na obiad do znajomych, na czwartą po południu. Powiedzmy, że gdzieś koło szóstej, dobrze? Do tej pory wszystko już pozałatwiam i wrócę do hotelu.

— O szóstej wieczorem? A wcześniej pana nie będzie?

— Nie. W żaden sposób nie mogę wcześniej.

— Dobrze. Przyjdę o osiemnastej. Do widzenia panu.

— Do zobaczenia.

Modrzewski odłożył słuchawkę i stał parę minut obok stolika, zastanawiając się nad czymś. Wreszcie zmarzył, dostał gęziej skórki, więc narzucił pidżamę, usiadł przy telefonie i poprosił centralę o miasto. Potem wykręcił numer, a kiedy ktoś się odezwał z drugiej strony, powiedział półgłosem:

— Dzwonił... Tak, przed chwilą... Na osiemnastą... Nie, tu w hotelu... To co proponujecie?... Tak, rozumiem.

Ubrał się szybko, z czarnej teczki wyjął ciemnozieloną plastikową, położył na stole i przyglądał jej się przez chwilę, jakby zobaczył teczkę po raz pierwszy w życiu. Nie był pewien, czy powinna leżeć na stole, czy też lepiej było umieścić ją w szafie. Wreszcie schował zielony plastik do walizki, niedbale przekręcił kluczyk i pozostawił go tam.

W kwadrans potem schodził do baru na śniadanie. Pokojówce spotkanej na schodach powiedział, że wróci dopiero na szóstą wieczór. To samo powtórzył portierowi, kiedy wychodził już z hotelu. Załatwiwszy w ten sposób co do niego należało, zapomniał o Norcie, teczce i całym tym problemie.

Około południa inżynier Nort wszedł do hallu, rozejrzał się uważnie dokoła, wyraźnie kogoś szukając, a nie znalazłszy, usiadł z boku w fotelu i zajął się gazetą. W chwilę później z zagranicznego autokaru, który zatrzymał się przed hotelem, wysypała się gromadka zmęczonych turystów i wtoczyła do hallu, wytwarzając na pewien czas swoisty bałagan. Nort podniósł się z fotela, uprzejmie ustąpił miejsca starszej pani w fokowym futrze i, rzuciwszy okiem na pomieszczenie recepcji, przemknął schodami na drugie piętro.

Wiedział, że o tej porze pokojówki skończyły już sprzątanie. Kręciły się jednak po korytarzu, mogły więc w każdej chwili zainteresować się gościem, który wchodzi nie do swojego pokoju, a w dodatku posługuje się innym kluczem, niż należy. Pokój dwieście dwanaście był ostatnim po prawej stronie, na samym końcu korytarza. Dziwnym trafem nie paliła się żarówka w lampie i korytarz pogrążony był w półmroku.

„A jeżeli mimo wszystko nie wyszedł?” przyszło mu na myśl. Zapukał do drzwi, wpierw ostrożnie, potem głośniejsze. Nikt nie odpowiedział. Tam w hallu nie chciał podchodzić do portiera, a tablica z kluczami umieszczona była nieco z boku i z miejsca, w którym siedział, nie mógł dojrzeć, czy klucz dwieście dwanaście wisi na swoim gwoździu.

Nacisnął klamkę. Drzwi były zamknięte. Czekał jeszcze chwilę, wreszcie wyjął z kieszeni doskonały, angielski wytrych, włożył w zamek, parę razy przekręcił. W chwilę potem był już w pokoju. Teraz należało bardzo się pośpieszyć. Rozejrzał się dokoła: stół, stolik koło tapczanu, szafa, walizka. Na obu stołach nie było zielonej plastikowej teczki, nie znalazł jej

też w szafie. Przykłęknął na podłodze, kluczyk od walizki tkwił w zamku, co go trochę zastanowiło. Widocznie docent Modrzewski miał pełne zaufanie do hotelowej służby.

Teczka leżała na samym wierzchu. Otworzył ją, przez cały czas manipulując w cienkich gumowych rękawiczkach, zgarnął wszystkie papiery, zwinął w rulon, wsunął do dużej wewnętrznej kieszeni kurtki. Teczkę położył na to samo miejsce, zatrzasnął walizkę, pozostawiając kluczyk tak, jak był. Wyszedł na korytarz, zamknął pokój. Wtedy odetchnął z ulgą. Reszta to już było bez znaczenia, na schodach mógł spotkać nawet cały tabun pokojówek, nie były niebezpieczne.

W recepcji wciąż jeszcze kłębił się tłum zagranicznych turystów. Wyszedł na ulicę, opła miał dość daleko na parkingu, te kilka ulic przeszedł jednak pieszo, dzień był pogodny, pełen słońca.

Z parkingu pojechał prosto do domu. Był piętnasty grudnia, każdego piętnastego załatwiał różne sprawy na mieście, w biurze o tym wiedzieli. Nie wiedzieli tylko, że tym razem pozałatwiał je już wcześniej, ale to nie powinno było ich obchodzić.

W domu rozłożył na biurku dokumenty wynalazku i zaczął je dokładnie studiować. W miarę jak czytał, twarz ściągała mu się przykrym grymasem, a usta ścięły w ostrą, wąską linię. Czytał coraz wolniej, wracał po kilka razy do początku zdania, ważył słowa i cyfry coraz dokładniej. W końcu rzucił się na oparcie fotela i trwał przez jakiś czas w zamyśleniu, pełen zdumienia i obawy.

Po raz pierwszy zdarzyło mu się, że nie był w stanie zrozumieć treści tego, co czytał. Albo Modrzewski był geniuszem, albo też on sam... Nie, to wykluczone. Wiedział, że ma umysł sprawny jak nigdy, gotów do rozwikłania najtrudniejszych problemów w dziedzinie fizyki i chemii. Skąd więc nagle ta bezradność wobec dokumentacji wynalazku, który przecież został wyprodukowany we własnym kraju, maszynami i przyrządami, które na pewno znał, w fabryce, która z pewnością nie miała dla niego tajemnic...

Wziął jeszcze raz do ręki szkic projektu, przyjrzał się uważnie fotografiom, przestudował opis aparatu.

— To bzdura! — powiedział nagle na cały głos. Twarz mu się rozjaśniła, rysy wygładziły. To jasne, że nie mógł zrozumieć czegoś, co nie miało w ogóle żadnego sensu z punktu widzenia tak nauki, jak i techniki. Modrzewski okłamał naiwnych, w jakimś sobie tylko wiadomym celu, albo też ma źle w głowie.

Zerwał się z fotela, zaczął krążyć po pokoju. Można było z całym spokojem odnieść teczkę z papierami tam, gdzie była. Oczywiście, nie zrobi tego, po co się narażać. Z ironią popatrzył na leżące na biurku dokumenty.

— Kupa bzdur! — wykrzyknął, poirytowany, że dla takiego śmiecia tracił czas i ryzykował. Zepchnął papiery na podłogę, kopnął, aż rozpięchły się dokoła z szelestem. — Genialny wynalazek! Przecież to imbecyl. Kretyn! Albo kłamca.

Mówił tak sam do siebie, zły, że dał się nabrać. Nagle przypomniało mu się, że aparat jednak istnieje i on ma go obejrzeć w hotelu. Spojrzał na zegarek, było wpół do trzeciej. Jeszcze trzy i pół godziny. Nie, nonsens, nie będzie tam chodził. Nakręcił numer recepcji, zażądał połączenia z pokojem dwieście dwanaście.

— Z kim pan chce mówić? — spytał portier.

— Z gościem, który tam mieszka — odparł niecierpliwie.

— Ten pokój jest już wolny.

— Jak to wolny? — spytał zdumiony. — Chcę mówić z docentem Modrzewskim. O ile wiem, mieszka w tym pokoju.

— Pan Modrzewski przed godziną wyjechał do Szczecina.

— Wyjechał? — Nort nie mógł ukryć osłupienia. — Przecież umówił się ze mną na godzinę osiemnastą, w hotelu. Czy nie zostawił jakiejś wiadomości? Moje nazwisko Nort.

— Nie, proszę pana. Nic nie zostawił i nie mówił, żeby kogoś zawiadomić.

Nort milczał parę sekund. W końcu rzucił oschle:

— W porządku. — I odłożył słuchawkę.

Coś się musiało stać. Może wezwano go nagle do domu i zapomniał o czekającej wizycie. Musiał się ogromnie śpieszyć, jeżeli nie zauważył, że zielona teczka jest pusta. Bo gdyby zauważył, podniósłby alarm i nie wyjechał, w każdym razie nie tak od razu. W domu wyjmie teczkę, otworzy...

A jeżeli to j e s t genialny wynalazek?

Schylił się, pozbierał rozsypane dokumenty i zdjęcia, ułożył na biurku.

— Trzeba jeszcze raz... — mruknął.

Tutaj jednak nie może tego trzymać. Modrzewski wyjechał gdzieś koło wpół do drugiej, na miejscu będzie najwcześniej wieczorem, chyba że poleciał samolotem. Tak czy owak, już wieczorem może w hotelu być milicja.

Nagle pomyślał, że Modrzewski mógł przecież zastać go w pokoju hotelowym, grzebiącego w walizce, i zrobiło mu się mdło. Byłby całkowicie bezbronny, zdany na łaskę tamtego. Paskudna sytuacja. A w dodatku, nie wiadomo jeszcze, czy byłoby o co walczyć.

Zwinął papiery, owiązał sznurkiem, zrobił z tego byle jaką paczkę, która na oko nie wzbudzała zainteresowania. Ubrał się szybko, zbiegł do opla, wyprowadził go na ulicę. Po pół godzinie był już na drodze do lasu. Minął wąski wiadukt, zawsze teraz w tym miejscu odwracał głowę w bok, nie chciał pamiętać ani nawet spojrzeć na krzaki, pod którymi pochował ciało Bożeny.

Był tak pochłonięty niespodziewanym wyjazdem Modrzewskiego, że nie zauważył skromnej szarej warszawy, która towarzyszyła mu wiernie, trzymając się w pewnej odległości od opla, aż do szosy wiodącej do lasu. Tam minęła go w pędzie i znikła. Gdyby zwracał więcej uwagi na to, co go otacza, może dostrzegłby tę samą warszawę w dwie godziny później, jak pojawiła się znowu na szosie i, niby przypadkiem, doprowadziła go aż do samego domu. Tam powtórzyła swój manewr, znikając w tłumie pojazdów.

Ale Nort myślał tylko o dokumentach dziwnego wynalazku, które na razie umieścił w podziemnym laboratorium, aby w wolnej chwili raz jeszcze spróbować je rozwikłać. „W każdym razie — rozważał później w domu — bez nich nie uda się skonstruować drugiego aparatu. Nie uda się w ogóle rozpocząć fabrycznej produkcji. Wobec tego Modrzewski będzie musiał wszystko zaczynać od początku.”

Uśmiechnął się, zadowolony; oto znowu komuś wytrącił z ręki przepustkę do sławy i — krótko mówiąc — wystawił go do wiatru.

Nie przyszło mu tylko do głowy, że przecież mogło być odwrotnie.

*

Człowiek był już niemłody, przekroczył na pewno sześćdziesiątkę, ale trzymał się prosto, wzrok miał bystry, twarz ogorzałą, pełną bruzd, brwi gęste i skłębione nad bladoniebieskimi oczami. Wszedł do pokoju ubrany w krótki kożuszek, przepasany szerokim skórzanym pasem, buty otrzepał ze śniegu, przyjrzał się w pierw siedzącemu za biurkiem majorowi, z kolei przeniósł uważny wzrok na Szczęsnego i powrócił wzrokiem do Daniłowicza, uznawszy w nim widać starszego rangą.

— Proszę, niech pan siada — rzekł major. — Tutaj ciepło, może zdejmie pan kożuch. Papierosa?

— Dziękuję — odparł przybysz. Palce miał jak grabie, trochę sztywne i rozstawione, z trudem wybrał z paczki jednego sporta, zapalił.

— Słucham. Chciał pan nam coś powiedzieć. Pańskie nazwisko Mikołajczak?

— Aleksy Mikołajczak. Leśniczy. Tu, proszę — położył na biurku legitymację służbową wraz z przepustką do gmachu Komendy.

Daniłowicz zerknął na dokumenty, skinął głową

— Słucham pana — powtórzył.

— Więc... jażem to miejsce zakrył gałęziami, bo lisy tam się dobierały. Ale nie chciałem sam nic ruszać. Dlatego żem przyszedł tutaj. Może ktoś ze mną pojedzie.

— Proszę powiedzieć dokładniej: jakie miejsce, gdzie? I co pan tam znalazł?

— Po prawdzie — leśniczy uśmiechnął się — to nie ja, a mój pies. Bo lisy już zaczęły odgrzebywać. Widać płytko zakopane. Miejsce to jest w lesie, niedaleko drogi do Gacówki, to taka... taki dom z gospodarstwem, na polanie. Tam mieszka jeden, ja go znam. Gospodarz. W bok od drogi jest leśny wiadukt, tamtędy mało kto chodzi, bo kończy się wodą. Bagnem, znać się. Przy wiadukcie, w krzakach, lisy zaczęły się dobierać do czegoś i mój pies zwęszył, a on na lisy chytry, jak mało który. Poszedłem za nim, patrzę i zaraz widzę, że tu coś nie tak. Gałęzie niby poukładane i trawa rośnie, śnieg to zasypał, ale moje oczy jeszcze dobre i las znam. Czterdzieści lat po nim chodzę. Piesek mi się zjeżył, warczy. Schyliłem się, odgarnąłem te gałęzie, odmiotłem śnieg... Czuję butem, że tu ziemia była ruszana. Mrozu dużego teraz nie ma, to grunt miękki. Patrzę, a pies szmatę jakąś targa zębami, widać lisy wyciągły. Wyjąłem mu z pyska, a na szmacie krew. Stara, szerniała, ale krew. Ja na wojnie byłem, to się trochę znam. Myślę sobie, kto też tu pokrwawione rzeczy zagrzebał i po co. Rozgrzebałem dalej i czuję, że coś w ziemi leży. Jakby worek czy pakunek. Zasypałem gałęziami, oznaczyłem miejsce i przyjechałem do Warszawy. Krewniaka mam w komendzie na Mokotowie, powiedziałem mu o tym, a on do mnie, żebym tu do pana majora przyszedł, bo to może coś, co panowie szukają.

— Tak... — Daniłowicz notował pośpiesznie, potem rzucił: — Chwileczkę — sięgnął po telefon, połączył się. — Komenda Wojewódzka? Dajcie mi pułkownika Maciąga... Obywatelu pułkownika, melduje się major Daniłowicz z Komendy Stołecznej, wydziału zabójstw... Zgłosił się do nas leśniczy Aleksy Mikołajczak z informacją, że znalazł w lesie zakopane zakrwawione szmaty i prawdopodobnie zwłoki... Nie, nie odkopywał... Po prostu, on ma w Warszawie krewnego milicjanta i ten mu doradził... Właśnie, nie chcę się w tej chwili sugerować, ale być może... Dobrze... Jeżeli pozwolicie, to tam zaraz pojedziemy... Wobec tego czekam na waszego oficera i zabierzemy go. Do widzenia.

Odłożył słuchawkę, spojrzał na Szczęsnego. Ten westchnął. Bał się zbyt pochopnie osądzać sytuację, wołał zaczekać, choć i on przypuszczał, że wreszcie natrafili na ślad.

— Proszę, niech pan przejdzie do poczekalni — rzekł, otwierając drzwi przed leśniczym — pojedziemy najdalej za dwadzieścia minut.

Kiedy byli już sami w pokoju, major powiedział w zamyśleniu:

— Jak daleko jeździłeś wtedy za Nortem?

— W zeszłym tygodniu? Aż do drogi, która od szosy biegnie w las. Dalej nie ryzykowałem, mógł zauważyć. Ale to jest właśnie kierunek, o którym mówił leśniczy. Nie rozumiem tylko, po co Nort tam znowu jeździł.

— Może chciał się przekonać, czy ktoś albo coś nie odkopało.

— Może. Chociaż wątpię. Wezwać ekipę z wozem technicznym?

— Tak, oczywiście. Niech jadą za nami. My weźmiemy wóz z wydziału, pojedziemy obaj z tym z Wojewódzkiej i z leśniczym.

Jakiś czas później milicyjna warszawa i techniczna nysa posuwały się wolno przez głęboki śnieg drogą wiodącą daleko w las. Porucznik z Komendy Wojewódzkiej rozmawiał półgłosem ze Szczęsnym; ze względu na obecność leśniczego nie poruszali jednak spraw milicyjnych. Mówili o wspólnym znajomym, kierowniku jednej z fabryk podwarszawskich. Daniłowicz prowadził wóz, obok niego siedział Mikołajczak i wskazywał drogę.

— Tutaj — powiedział w pewnej chwili. Warszawa zahamowała, leśniczy wyskoczył na drogę, rozsunął gęste krzaki i wszedł w las. Poszli za nim, z nysy gramolił się lekarz i fotograf. Dwaj podoficerowie z łopatami w ręku rozglądali się niechętnie dokoła. Nie lubili takiej roboty.

— Tutaj — powtórzył Mikołajczak. Zatrzymał się obok kilku rozrzuconych gałęzi, przykląkł, odsunął je, oczyścił rękami ziemię. — To jest ta szmata — podał im zwinięty, poczerniały kłębek płótna.

— W porządku. Niech pan teraz odejdzie na bok — rzekł major.

Fotograf wysunął się do przodu, zrobił kilka zdjęć i wycofał się. Łopaty zaczęły odrzucać ziemię.

— Ostrożnie! — napominał Daniłowicz. — Możecie zaczepić ostrzem o twarz.

Szczęśny przyklęknął obok dołu, dotknął wyłaniający się z ziemi pakunek, pomacał.

— To jest chyba plastik — mruknął. — Jakaś torba.

Poświecił latarką, bo krzaki i osypane śniegiem drzewa źle przepuszczały światło słoneczne. Pod na wpół przezroczystą osłoną z grubej folii można już było dostrzec zarysy ludzkiej postaci. Kapitan chwilę przyglądał się twarzy, potem wstał.

— Ona — powiedział nieosobowo, ale major i tamci zrozumieli, o kogo chodzi. Oficerowie znali twarz Bożeny Straszewskiej z wielokrotnie oglądanych zdjęć, nie mieli więc wątpliwości.

Kiedy dół był już dostatecznie głęboki, wyciągnęli zwłoki i ułożyli na rozpostartej płachcie z brezentu. Lekarz z trudem rozsypał zmarznięty, jedwabny sznurek, którym folia związana była z jednej strony, bardzo delikatnie zsunął ją z ciała, odłożył na bok. Wtedy spostrzegli, że na włosach i części twarzy kobiety czernieje zastygła krew.

— Uderzona ostrym, ciężkim przedmiotem — powiedział lekarz, obmacując pobieżnie kości czaszki. — Chodźcie, panowie — zwrócił się do obu podoficerów — zabierzemy babkę do wozu. I prosto na sekcję, tak? — spojrzał na Daniłowicza.

Major popatrzył na porucznika z Komendy Wojewódzkiej. Ostatecznie, to był ich teren i oni tutaj decydowali.

— Myślę, że poprowadzimy to wspólnie? — zaproponował. Porucznik przytaknął. Znał na tyle sprawę zaginięcia Straszewskiej, że doceniał w pełni wagę makabrycznego odkrycia.

— Zawieziemy teraz zwłoki na Oczki, ale przed sekcją trzeba jednak tam ściągnąć docenta Straszewskiego.

— Po co? Nie ma żadnych wątpliwości — zauważył Szczęśny. — W torebce są dokumenty, zresztą poznają jej twarz.

— Ja również, ale...

Daniłowicz zawahał się. Okazywanie docentowi zwłok jego żony, w dodatku w tak przygnębiającym otoczeniu, jakim jest Zakład Medycyny Sądowej, nie było — logicznie biorąc — najkonieczniejsze. Straszewski mógł jednak potem mieć pretensje. Postanowił, że pojedzie do niego i sam przedstawi sytuację. Zasepił się, westchnął ciężko. No cóż, to był jego paskudny obowiązek.

Szczęśny podniósł z ziemi polietylenowy worek i oglądał go w świetle latarki. Z boku, ukosem, biegł ciemny, wyraźny napis, wymalowany farbą: ELECTRONIC UTILISATION LTD, a poniżej: SWISS, Geneva.

— Facet był trochę nieostrożny — porucznik przyjrzał się napisowi. — To nam może pomóc.

— Tak. Szwajcarska firma, chyba jakieś aparaty elektryczne, przyrządy... Zobaczymy, co się z tym da zrobić.

Zebraли z ziemi wszystko, co mogło mieć jakikolwiek związek z zakopaniem zwłok, nawet parę gałązek świerkowych i trochę ziemi, zmieszanej z zeschniętą trawą. Kiedy fotograf zakończył swoje czynności, zasypano dół i zamaskowano go bardzo starannie. Przystępca nie powinien bowiem dowiedzieć się zbyt wcześnie, że to, co krył tak głęboko, zostało już zabrane.

— Zastanawiam się, czy moglibyśmy jeszcze odnaleźć ślady samochodu — rzekł major, mierząc wzrokiem wąski, zasypany śniegiem wiadukt. — To jasne, że nie przytaskał tego

wszystkiego na plecach. Ale jeżeli ziemia była wówczas mokra, a nikt tędy po nim nie przejeżdżał, być może w koleinach... — Zamyślił się, rozejrzał po zaśnieżonej drodze. .

— Tędy jadą wozy do cegielni — odparł leśniczy. — Trzy razy w tygodniu. Przed bagnem skręcają w lewo:

— No, to nie ma co nawet próbować. Doktorze, jak pan sądzi, kiedy ta kobieta została zabita?

— W tej chwili trudno mi powiedzieć. Chyba parę tygodni temu.

— Dokąd pana podwieźć? — spytał Daniłowicz leśniczego. Ten uśmiechnął się.

— Nigdzie. Jak ja w lesie, to ja w domu.

Szczęśny, który odszedł kilka kroków dalej, zawrócił nagle i zbliżywszy się do Mikołajczaka, rzekł prawie obojętnie:

— Ta Gacówka, o której pan wspominał, gdzie to jest?

— Trzeba jechać drogą na północo-wschód — pokazał ręką. — Samochodem to będzie ze dwadzieścia minut albo pół godziny, bo droga ciężka. Las się urywa, jest polana i dom.

— Jak się nazywa gospodarz?

— Berych.

— Co to za jeden? Sam mieszka?

— Sam, tylko z pieskami. Sadu ma trochę, ziemniaki, świnie chowa... Jeździ do roboty na cegielnię. Spokojny człowiek. Wdowiec, żona mu zmarła ze sześć lat temu albo i więcej. Krewniaka chyba ma w mieście, bo samochodem do niego czasem przyjeżdża. Kiedyś się spytałem, mówił, że adwokat czy coś takiego.

— Adwokat? — Szczęśny nie spuszczał oczu z twarzy leśniczego. — Tak powiedział ten Berych?

— Ano tak.

— Jakim wozem przyjeżdża? Takim jak nasz? — pokazał milicyjną warszawę.

— O, nie! Nie urażając, on ma piękny samochód. Długi, wąski, jak jakie cygaro.

— Czy taki? — Kapitan wyjął z portfelu zdjęcie opla-record i podsunął leśniczemu. Ten wyciągnął rękę, chwycił papier, odsunął od oczu, bo był dalekowiedzem, i przyglądał się zdjęciu w skupieniu. Wreszcie oddał je i powiedział:

— Taki samiusieńki. Ciemny w kolorze, jak... — rozejrzał się, dokoła nie było nic takiego — no, jak mysz.

— Ciemnoszary?

— Tak.

— Numeru pan nie widział?

— Widzieć to widziałem, ale nie zapamiętałem, bo po co. Mnie adwokat niepotrzebny — roześmiał się.

— A tego adwokata pan widział?

— Nie. Pewnie był w chałupie albo w sadzie. Bo to było latem. Potem to jeszcze raz zobaczyłem ten samochód, jak jechał drogą.

— Kiedy?

— Chyba w październiku. Ja tak często do Gacówki nie chodzę, nie mam po co.

— Berych — powtórzył Szczęśny. — Jak ma na imię?

— Zaraz... Grzegorz. Tak, Grzegorz Berych. Mówią, że on z Niemców pochodzi. Tego to ja już nie wiem.

— Proszę absolutnie nikomu nie mówić o znalezieniu zwłok — rzekł major do leśniczego. — Ani w ogóle, że tu była milicja.

— Tak jest, panie majorze — Mikołajczak mimo woli przybrał postawę, jak na baczność. — Ja w wojsku byłem. Starszy sierżant jestem, na wojnie dowodziłem kompanią, jak oficerów wybiło. U mnie musiał być posłuch. Pan major może być spokojny.

— Dziękuję, sierzancie — Daniłowicz z uśmiechem podał rękę wyprostowanemu słu-

zbiście leśniczemu. — Jeżeli będzie trzeba, przyślemy po was.

Pożegnali się, warszawa ruszyła pierwsza, za nią nysa, kolebiąc się w twardych koleinach. Lekarz spoglądał przez chwilę na twarz zmarłej, potem powiedział do fotografa:

— To musiała być ładna kobieta.

— Daj pan spokój! — wzdrygnął się fotograf. — Zimno od niej leci jak z lodówki.

I zakrył brezentem twarz Bożeny.

*

Straszewski długo, w milczeniu wpatrywał się w martwą, szerniałą twarz swojej żony. Potem ukląkł na chwilę przy sekcyjnym stole, oparł głowę na rękach i trwał tak bez ruchu, żegnając się z tą, którą mimo wszystko wciąż jeszcze kochał, choć drogi ich rozeszły się wcześniej, niż mógł przypuszczać.

Kiedy opuścili ponury budynek, Daniłowicz położył mu rękę na ramieniu i powiedział ze współczuciem:

— Szczerze mi pana żal. Rozumiem, że potrzeba trochę czasu, aby pan się otrząsnął z tego wszystkiego. Z drugiej strony jednak, niech pan nas zrozumie...

— Ja wiem — przerwał mu docent. — Nie uchylam się od rozmowy. Zresztą, ja też chcę wiedzieć, jak to się stało. Proszę, pozwólcie, panowie, do mnie, tam będzie nam najwygodniej.

W mieszkaniu na Szwoleżerów major i Szczęsny siedli wraz z gospodarzem w gabinecie, spłakana gosposia podała kawę i koniak. Po jej wyjściu Straszewski rzekł:

— Nic nie rozumiem, ani jak to się stało, ani dlaczego. Nie wiem, kto ją zabił i czemu wywiózł aż gdzieś w las... Chcę więc zrobić, co tylko potrafię, aby wam pomóc w rozwikłaniu tej potwornej zbrodni. Tego jednego chcę dzisiaj, i tylko tego! — powtórzył z naciskiem. Ręce drżały mu tak silnie, że rozlał koniak. Szczęsny wyjął mu z ręki butelkę, sam ponalewał, postawił przed nim kieliszek.

— Niech pan wypije — zachęcił major. — Dobrze panu robi. Cóż... My też nie wiemy jeszcze, kto to zrobił ani dlaczego. Mamy jednak pewne dane, zresztą na razie dość skąpe, aby przypuszczać, że śmierć pańskiej żony powiązana jest w jakiś sposób z uprzednią kradzieżą pracy z Instytutu Chemii. Być może, również i z zabójstwem doktora Mikolca. Dlatego chcę teraz prosić, aby możliwie szybko zorientował się pan wśród tych znajomych, którzy znali was oboje, czy nie zauważyli oni, z kim pani Straszewska ostatnio pokazywała się np. w kawiarni czy restauracji, na spacerze, w samochodzie. Pan często wyjeżdżał, ale ludzie na ogół sporo widzą, sporo zapamiętują. Jeżeli pan się dowie cokolwiek na ten temat, proszę się natychmiast z nami porozumieć. Dobrze?

Docent w milczeniu pokiwał głową. Rozmawiali potem jeszcze o kradzieży pracy, major wysunął przypuszczenie, że sprawca jej rekrutuje się chyba spośród fizyków czy chemików, czemu docent sprzeciwił się, aczkolwiek już nie tak zdecydowanie, jak kiedyś. Wreszcie pożegnali się i oficerowie wyszli.

Na ulicy Szczęsny powiedział:

— Chcesz mu zadać robotę, żeby nie wpadł w depresję? Bo z tymi znajomymi to nam wiele nie da.

— Tak, raczej chodziło mi o to, aby się otrząsnął i zajął czymś konkretnym. Chociaż, kto wie, może uzyskamy jakieś dobre informacje.

— Wiesz co? — kapitan otworzył drzwiczki samochodu, ale nie wsiadł. — Ja bym jeszcze raz przemaglował tego dozorcę.

— Jakiego dozorcę? — Daniłowicz marszczył brwi boleśnie, uderzył się w nogę i rozcierał ją, stękając.

— A stąd, tutaj — pokazał na bramę. — Wydaje mi się, że na poprzednim przesłuchaniu on coś ukrywał.

— Ty zawsze masz jakieś... No, dobra. Dawaj go do wozu, pojedziemy do komendy. Ale pewnie nic więcej nie powie.

Wbrew przypuszczeniom majora, dozorca okazał pewną skruchę i chęć naprawy swoich poprzednich zeznań.

— Powiem jak na spowiedzi — zaczął, kiedy znaleźli się już w gabinecie Daniłowicza. — Miałem nie mówić, ale kiedy kobieta nie żyje, to nie będę skrywał. Może jest w tym co, może nic, ale jak pan docent jeździł, jak to mówią, w teren, to pani... no, do niej ktoś przychodził. Obcy. Nigdy go przedtem nie widziałem.

— Często przychodził?

— Ja go widziałem tak ze cztery razy.

— Od kiedy pan go zaczął widywać?

Dozorca zamyślił się głęboko. Potem rzekł:

— Będzie chyba gdzieś... od września, ale pod koniec. Tak może dwudziesty dziewiąty, trzydziesty. Taksówką przyjechali. Za dwa albo trzy dni on sam przyjechał.

— Samochodem?

— Taksówką. Taką zieloną warszawą. No i właśnie potem pani Straszewska mnie spotkała na ulicy i... tego, no, prosiła, żeby nic mężowi nie mówić, że tu ktoś przyjeżdża.

— Zapłaciła panu — rzekł Szczęsny surowo.

— Zapłaciła — przyznał dozorca. — Bo ten jej mąż to zazdrosny był, jak dziś mało kto. Jak tylko z podróży wracał, zaraz na drugi dzień pytał mi się, a co w domu było, a kto przyjeżdżał, a czy żona późno wracała, czy sama, i takie tam.

— Jak wyglądał ten człowiek, który przyjeżdżał ostatnio?

— Dobrze mu się nie przyglądałem, ale elegancki mężczyzna, dobrego wzrostu. Nosił kapelusz, taki jakiś szary, płaszcz ciemny. Teczkę miał zawsze ze sobą, brązową, ze skóry.

— Poznałby go pan na zdjęciu?

— Na zdjęciu? Może bym i poznał, jakby było duże. I on w płaszczu.

Kapitan rozrzucił przed nim na biurku kilkanaście różnych fotografii. Byli tam mężczyźni w płaszczach, kapeluszach, w marynarkach, w roboczych kombinezonach, nawet w mundurach wojskowych.

— Proszę wybrać. Jest tutaj?

Dozorca długo, w skupieniu, przyglądał się; zdjęciom, odkładając po kolei na bok. Wreszcie potrzęsła głową.

— Nie rozpoznam, proszę pana. Gdybym go zobaczył, to tak.

— Zapamiętał pan numery tych taksówek?

— Nie. Ale jednego taksówkarza znam. Nawet jak ten obcy wszedł już do bramy, to sobie z kierowcą pogadałem chwilę.

— Proszę podać nazwisko i adres.

Szczęsny zanotował. Potem spytał:

— I nigdy pan tego obcego nie widział?

— Nie.

— A docentowi pan nic nie mówił?

— Panu Straszewskiemu? Nie. Obiecałem żonie, no to jakże... Dopiero teraz, jak usłyszałem, że ją ktoś zamordował, pomyślałem sobie, że trzeba powiedzieć prawdę. Bo może to ten obcy ją zabił?

— Kiedy pan go widział ostatni raz?

— Pod koniec października. I potem już go więcej nie widziałem. Ta ich gospodyni mówiła mojej żonie, że pani Straszewska jakaś chodzi smutna czy chora. Może się martwiła, że on nie przyjeżdża.

— Dobrze. Dziękujemy panu.

Dozorca wstał, obejrzał się za czapkę. W drzwiach odwrócił się jeszcze i powiedział:

— Dobra była kobieta, to mi jej żal.
— Żał mu, bo płaciła — mruknął Szczęsny po odejściu dozorca. — Nie rozpoznał Norta na zdjęciu. Ale z tym taksówkarzem to ja już raz rozmawiałem.

ROZDZIAŁ 9

Szczęsny zameldował się służbiście u pułkownika Brezgi, a na lekceważące machnięcie ręką przysiadł na parapecie i rzekł bez wstępów:

— Potrzebny mi opel-record. Najlepiej 1700.

— I co jeszcze? — mruknął Brezga, zmieniając wkład w długopisie. Wkład był za grubo i nie mieścił się. Pułkownik zaklął, pogrzebał w biurku, wyciągnął kilka innych.

— Na pół dnia — ciągnął kapitan, nie zwracając uwagi na humor zwierzchnika. — W teren. Ale w województwie.

— Chcesz jechać do Gacówki?

Szczęsny uśmiechnął się. Wiedział, że Brezgi nie uda się przechytryć.

— Pułkownik da mi opła-record?

— Wiesz, ile kosztuje taki samochód?

— Nie. Pułkownik da?

— Jak dziecko! W lesie duży śnieg, utkniesz i będę cię musiał ściągać. Rozbijesz wóz. Kto będzie płacił?

— Komenda — rzekł Szczęsny bezwstydnie. Już wiedział, że dostanie opła. — Chciałbym na jutro.

— Grzegorz Berych ma za sobą dwa wyroki sądowe, zwracam ci uwagę. Jeden za rozbój, drugi za włamanie. Sam chcesz jechać?

— Tak.

— Rzykujesz.

— On teraz będzie w strachu. Na pewno wie, żeśmy znaleźli zwłoki.

— Wszystko jedno, rzykujesz. Niech cię diabli. Masz tu kartkę do gospodarczego. Żeby mi opel wrócił nieuszkodzony! Razem z tobą. Rozumiesz? I ja nic nie wiem o tej całej... majówce.

Szczęsny pokazał zęby w uśmiechu. Wziął kartkę, nie omieszkawszy sprawdzić daty i innych szczegółów, podziękował i znikł z gabinetu.

Początek stycznia był mroźny, śnieg iskrzył się w słońcu, a im błękitniejsze było niebo, tym niżej opadała rtęć w termometrze. Działo się to wszystko pewnie dlatego, że zapowiedzi meteorologów zgodnie prorokowały niż i wzrost temperatury.

Szczęsny wyprowadził opła na podwórze komendy i przyglądał mu się krytycznie. Kolor był inny, wprawdzie nie rażąco, ale w słonecznym świetle można było na pierwszy rzut oka zauważyć różnicę. Wobec tego należało jechać późnym popołudniem, kiedy na dworze robiło się już szaro.

Następne kilka godzin poświęcił na dokładne studiowanie garderoby w magazynie gospodarczym. Przy pomocy Łomnickiego, który ostatnio widywał Norta wielokrotnie, choć z pewnej odległości, dobrał sobie płaszcz, w drobną, nieznaczną kratkę z czarnym kołnierzem futrzanym i czapkę karakułową — oczywiście, była to tylko imitacja, kierownik magazynu odznaczał się wrodzonym skąpstwem — dołączywszy do tego brązową, grubą teczkę.

— Ciemne okulary — przypomniał Łomnicki. Rozejrzył się, ze stosu okularów wygrzebał jedno, podał kapitanowi: — Przymierz.

— Spadają. Można tamte?

— Nie. Są prostokątne, on nosi okrągłe. Zobacz jeszcze te.

W końcu dobrali okulary, wynieśli się z magazynu.

— Przedtem nie nosił szkieł — zauważył kapitan. — Widocznie pogorszył mu się wzrok. — Popatrzał na zegarek. — Chodź do kasyna, zjemy coś. Potem pojedę.

— Założyłeś w opłu radiostację?

— Tak. Dasz mi znać, gdyby Nort wsiał do swego samochodu.

— Oczywiście. Ale licz się z tym, że ona działa tylko do trzydziestu kilometrów. To stare urządzenie. W razie czego, pojedę za nim, wtedy będę się do ciebie zbliżał. Poczekaj, a jeżeli on nie pojedzie do lasu, tylko w innym kierunku? Przecież może dostać na przykład delegację służbową do Krakowa czy Rzeszowa.

— Wtedy zobaczysz, zorientujesz się w trakcie jazdy. Zakładam, że Nort nie ma pojęcia o tym, że jest u nas „na widelcu”. Gdyby więc miał zamiar pojechać do lasu, zrobi to w najprostszy sposób, nie okrążając i nie myląc nikogo. Jeżeli zaś wie, że jest obserwowany, to na pewno w ogóle nie ruszy się w tamtym kierunku.

— Sądzę, że komunikat w prasie trochę mu sprawę zagmatwał.

— Ten o śmierci Straszewskiej?

— Tak. Morderstwo rabunkowe, milicja na tropie znanego bandyty, i tak dalej. Właściwie nigdy nie podajemy tak ułożonych komunikatów — roześmiał się.

— Nie, dlaczego? — zaprzeczył Szczęsny. — Ukazują się przecież różne ostrzeżenia, apele do społeczeństwa...

Kwadrans po czwartej Szczęsny wyjechał ostrożnie z bramy Pałacu Mostowskich, skręcił w lewo, dodał gazu. Opel-record szedł miękko, delikatnie, dawał się prowadzić jak dobrze wytresowany koń.

Za granicami miasta nałożył ciemne okulary, były tylko nieznacznie przyciemnione, więc nie przeszkadzały w kierowaniu wozem. Wyjął słuchawkę i odezwał się, nie podnosząc głosu:

— Czajka, tu Kocur, jak mnie słyszysz?

— Kocur, tu Czajka, słyszę cię dobrze — rozpoznał w głośniku trochę zachrypnięty głos Łomnickiego. — W porządku. Siedzi w domu. Gdzie jesteś?

Szczęsny spojrzął na deskę rozdzielczą.

— Na szesnastym od granicy. Kiedy wrócił do domu?

— Jakies dziesięć minut temu.

— Sam?

— Tak.

— Wyłączam się, Czajka.

— Dobra. Cześć.

Włożył słuchawkę do szufladki, zatrzasnął drzwiczki. Przyśpieszył biegu. Nort jest w domu, trzeba korzystać z tego, że nie wychodzi.

„Jeżeli Berych będzie w Gacówce — rozmyślał, wjeżdżając w pociemniały od zmroku las — to plan powinien się udać. Jeżeli go nie będzie, przetrzasknę tę całą melinę. Coś tam powinno być.”

Śnieg na drodze był głęboki, ale miękki, dawał się łatwo rozrzucać kołami na boki. „Psy” — przypomniał sobie nagle. Tych nie zwiedzie przebraniem. Trudno, jakoś da sobie radę.

— Kocur, tu Czajka - usłyszał. Głos był cichy, ale wyraźny. — Gdzie jesteś?

Wyjął słuchawkę.

— Bardzo blisko — odparł, zapominając o kryptonimie. Łomnicki jednak zrozumiał.

— Już nie będę się odzywać, Kocur. Czekam na twoje meldunki.

— Dobrze, Czajka. Wyłączam się.

Psy usłyszał już z daleka. Poszczekiwały jednak dość leniwie, nie wyłaziły pewnie z budy. Kiedy drzewa przeredziły się i otworzyła się przed nim rozległa polana, wsunął rękę

do kieszeni płaszcza, odbezpieczył broń. Z Nortem i jego sojusznikami nie było żartów.

Zahamował tak, aby w razie czego mieć przed sobą wolną drogę do wykręcenia wozu z powrotem. Nie zgasił motoru. Wysiadł, otworzył maskę i, udając, że coś naprawia w motorze, obserwował spoza ramienia budynku. Psy wylazły z budy, przeciągając się i ziewając. Były to rosłe, szare wilczury, chyba jednolatki. Spoglądały na niego sennym wyrokiem, czochrały się, znowu ziewały, potrząsając łańcuchami.

Skrzypnęły drzwi budynku, który wyglądał na mieszkalny. Jakiś człowiek w narzuconym na plecy kozuchu ukazał się w progu. Światła reflektorów samochodowych padły mu prosto w twarz, zmrużył oczy i osłonił je ręką.

— Dobry wieczór, panie inżynierze — zawołał. — Coś się zepsuło?

Nagle psy zjeżyły się, zawarczały.

— Cicho, głupie! — gospodarz spojrział na psy, potem rozejrzał się dokoła. — Lisa pewnie czują. Zrobić herbaty?

Szczęśny wyprostował się, poprawił okulary. Berych podchodził bliżej, mówiąc coś o mrozie i lisach. Raptem zatrzymał się, otworzył usta i umilkł. Psy szczekały ochryple, rwąc się i skacząc na wyprężonych łańcuchach.

— Dobry wieczór, panie Berych — odezwał się kapitan.

— Kim pan jest? — W głosie gospodarza było zdumienie i strach.

— Przyjechałem z polecenia inżyniera Nort. Jego wozem, jak pan widzi.

W jednej sekundzie kapitan zmienił nieco swój plan. Ale Berych nie odpowiedział. Wzrok jego przesunął się od samochodu do twarzy Szczęśnego i z powrotem.

— Inżynier Nort nie może teraz tu przyjechać — kontynuował kapitan. — Pan chyba słyszał, co wykopano w lesie... — zawiesił głos.

Berych skinął głową w milczeniu. Widać było, że nie wie, co ma robić. Niby poznawał samochód, ale wciąż był niepewny, zdumiony i przerażony pojawieniem się obcego człowieka.

— Czego pan chce? — spytał wreszcie, cofając się trochę w stronę domu.

— Niczego. Inżynier prosił mnie tylko, aby panu to powiedzieć. Ma pan być bardzo ostrożny, z nikim teraz się nie kontaktować, nikomu nie wierzyć.

— Ale... ale przecie — wyjąkał Berych, zupełnie zdezorientowany — pan inżynier nie... tego trupa, co wykopali, to... to całkiem inna sprawa, jakiś bandzior ją... dlaczego pan inżynier...

— Myśl pan mądrzej, panie Berych! — ofuknął go Szczęśny ostro. — Nie wystarczy panu, że milicja kręci się po lesie?

— Już ich teraz nie ma. Co by tu mieli szukać?

— Wszystko jedno. Zawsze mogą znaleźć, czego nie szukali. Nie wie pan, do diabła?! — Podniósł głos, psy zaniósły się okropnym wrzaskiem.

— Cicho, bydlaki! — krzyknął Berych. Zaskomliły z wyrzutem, wiedziały, że mają rację. — Wejdzie pan do domu?

— Nie. Spieszę się.

— A z tym, co? — pokazał głową na sąsiednie budynki. Bystre oczy kapitana dojrzały w świetle reflektorów drzwiczki jakiegoś niedużego magazynu, umieszczone nisko nad ziemią.

— Nic — odparł stanowczo. — Niech zostanie, jak było. Inżynier Nort wróci tu, jak tylko w lesie będzie trochę spokojniej.

— Ale... — Berych zbliżył się, chwycił go za rękaw płaszcza. Palce Szczęśnego zacisnęły się mocniej na rękojeści pistoletu. — Jakby tu przyszli, to co ja mam robić? Jeżeli t o znajdują? — znów pokazał głową na tajemnicze drzwiczki. — Co mam robić? Co mówić?

— Nie znajdują. Niech pan naniesie śniegu, przysypie trochę. Może pan tam coś postawić, jakieś graty — Szczęśny mówił niecierpliwie, chciał, żeby tamten pomyślał: „spiesz się,

aby tylko pozbyć się kłopotów, plecie byle co na odczepne”. — Muszę już jechać. Do widzenia. Niech pan pamięta: nikomu ani słowa! Inżynier Nort dobrze panu radzi. I ostrzega.

— Ja wiem. Ja mu wierzę. Ale miałem wczoraj dostać za styczeń — upomniał się, mimo strachu pamiętał o tym, co mu się należało. — Inżynier nic panu nie dał? — Chciwymi oczami patrzył na twarz kapitana.

— Nic. Ile to miało być?

— No, jak zwykle — wzruszył ramionami.

— Pytam, bo może mam tę sumę przy sobie — udał, że sięga do portfela. — Więc ile?

— No, pięć tysięcy.

— Tyle nie mam. Inżynier ma teraz kłopoty, pewnie zapomniał. Dziś trzeci stycznia, przywiozę panu za dwa dni. O tej porze.

— Ale na pewno?

— Na pewno. Coś pan taki ubogi? — zażartował.

Wsiadł do wozu. Psy znowu wypadły z budy, dźwiąc łańcuchami i naszczekując.

— To piątego pan przyjedzie, tak? — Berych jeszcze raz nachylił się w jego stronę.

— Przyjadę — skrzywił się, jakby mu już dokuczyło to natręctwo. — Do widzenia.

Ostrożnie wyjechał z polany, cały czas obserwując w lusterku ruchy gospodarza, prowadził wóz lewą ręką, prawej nie wyjmował z kieszeni, w której był pistolet. Wiedział, że Berych nie ma telefonu. Gdyby więc chciał sprawdzić, czy ta nieoczekiwana wizyta rzeczywiście była przedtem uzgodniona z Nortem, musiałby iść przez las pieszo, bo rowerem w śniegu nie ujedzie, aż do najbliższej osady, to znaczy parę kilometrów. Stamtąd dopiero mógłby zadzwonić do Warszawy.

Ale wszystkie okoliczne drogi, wychodzące z lasu od strony polany, jak również wszystkie najbliższe budynki, w których znajdował się telefon, były — w mniej lub bardziej wyraźny sposób — obstawione przez funkcjonariuszy Komendy Wojewódzkiej. Szczęsny nie działał bowiem w pojedynkę. Stawka w grze, którą mieli rozegrać, była na to zbyt wielka.

Wyjechał z lasu na drogę, odczekał jeszcze chwilę, potem uruchomił radiostację.

— Czajka, tu Kocur — odezwał się.

Natychmiast zatrzeszczało w odbiorniku i Łomnicki zawołał tak głośno, jakby stał tuż koło niego:

— Kocur, tu Czajka! Gdzie jesteś?

— Wracam. W porządku. Co z podopiecznym?

— Nie rusza się z domu. Jedziesz do fabryki?

— Tak. Wyłączam się, Czajka.

— Czekam, Kocur.

„Fabryką” od dawna nazywali Pałac Mostowskich, nie tylko zresztą podczas rozmowy w eterze. Ot, tak się jakoś przyjęło, tak im było wygodniej, kiedy znajdowali się w kawiarni czy na ulicy.

— Nie jestem pewien — mówił w pół godziny później Szczęsny, siedząc w gabinecie Daniłowicza — czy mi uwierzył, ale robił takie wrażenie. Teraz mogą nadejść informacje od pracowników Komendy Wojewódzkiej, jeżeli Berych będzie próbował telefonować do Norta.

— Przypuszczam — odezwał się pułkownik Brezga, który brał udział w rozmowie — że Nort ma w tym tajemniczym budynku swoje drugie mieszkanie. Tam pewnie przechowuje skradzione prace i... —

Umilkł. Daniłowicz pokiwał głową:

— Dokończę za was, pułkowniku. Tam ma swój laser. Jeżeli w ogóle go ma, to tam.

— Jeżeli. Ale musimy być przygotowani na ewentualność, że ma. To straszna broń! I nie wiadomo, jakie środki ostrożności przedsięwziął na wypadek, gdyby ktoś próbował dobrać się do tego budynku. Człowiek, który potrafi skonstruować przenośny laser, mógł też uruchomić równie groźne, nie znane jeszcze nikomu, urządzenia ochronne.

— Oczywiście — rzekł kapitan. — Jednakże, zakładając, że to on zabił Straszewską, sądzę, że nie zrobił tego właśnie tam, w tym swoim laboratorium, czy jak to nazwiemy. Gdyby tak było, zniszczyłby zwłoki, zamiast zakopywać gdzieś w lesie. Spaliłby ciało kwasem, laserem, diabli wiedzą, czym. Dlatego... dlatego chyba on to zrobił gdzie indziej. A wtedy, mimo iż znajdziemy laser, prace i tak dalej, nie udowodnimy Nortowi zabójstwa Straszewskiej. I ta zbrodnia pozostanie nie wykryta.

Milczeli chwilę, wreszcie odezwał się Łomnicki:

— Szczęśny ma rację. Więc może Straszewska poszła do niego do mieszkania tu, w Warszawie. Ale jak się tam dostać?

— Cóż — major wzruszył ramionami. — Prokurator, sądzę, da nam nakaz rewizji.

— Na jakiej podstawie?

— Gdybym był zagranicznym detektywem... — odezwał się z kąta Kręglewski, ale Brezga przerwał mu natychmiast:

— Nie jesteście i nie zawracajcie głowy.

— Podsumujmy — zaproponował major. — Co wiemy o Norcie? Wiemy, że zakradł się do hotelowego pokoju, w którym mieszkał nasz podpułkownik, docent Modrzewski, i że zabrał stamtąd teczkę z dokumentami. Z rozmowy, jaką udało nam się zainicjować w bufecie podczas zjazdu fizyków, można sądzić, że chciał zabrać projekt wynalazku. Swoją drogą, Modrzewski odegrał to wszystko wspaniale!

— Tak — roześmiał się Łomnicki. — Siedziałem przy sąsiednim stoliku. Pułkownik Modrzewski z takim zapalem opowiadał cuda o konstrukcji i działaniu aparatu, że Nortowi oczy błyszczały z niecierpliwości.

— Najtrudniejszy był pierwszy moment — odezwał się porucznik Frączak. — On wcale nie był pewien, czy mnie naprawdę zna. Widziałem wahanie na jego twarzy. Już myślałem, że nie usiądzie przy stoliku i zastanawiałem się, co wtedy zrobić.

— Ja sądzę, że Nort po prostu zna bardzo dużo ludzi z racji swego zawodu i zatrudnienia. Zresztą zaskoczyliśmy go. Gdyby to było na przykład w kawiarni, a nie na zjeździe fizyków, wątpię, czy by się przysiadł.

— Dobrze. Więc uwierzył i zakradł się po teczkę do hotelu. Tutaj dysponujemy materiałem fotograficznym, zarówno z jego manipulacji przy drzwiach, jak i wewnątrz pokoju. Te aparaty „z ukrycia” są niezawodne. Dalej. Zgadza się odciski linii papilarnych na teczkach w szafie, w mieszkaniu Straszewskich. To nie jest najbardziej przekonujący dowód, mówiliśmy już o tym, no, ale razem z innymi też go obciąża. Wiemy dalej, że z hotelu pojechał do swego mieszkania, a po dwóch godzinach w stronę Gacówki. W lesie straciliśmy obserwację. Nie można było wówczas zapuszczać się tak daleko bez łączności radiowej, zresztą mogliśmy go spłoszyć. Co jeszcze?

— Prawie nic, jeżeli chodzi o zabójstwo Mikolca — rzekł Kręglewski. — Tu jest chyba nasz najsłabszy punkt.

— Niekoniecznie — zaproponował Szczęśny. — Zabójstwa dokonano laserem, to już jest niemal udowodnione. Jeżeli w Gacówce znajdziemy laser... Przecież to jest broń tak nietypowa, że nikogo innego nie da się o to posądzić.

— Nno, tak — Brezga był niezdecydowany. — To wszystko jednak wyjdzie nam tylko pod warunkiem, że w Gacówce rzeczywiście istnieje coś takiego, jak laboratorium chemiczno-fizyczne, a w nim skradzione prace i laser. Nie wiem, czy nie jesteśmy zbyt wielkimi optymistami.

— Morderstwo Straszewskiej! — upomniał się Szczęśny. — Musimy wejść do jego mieszkania i przeprowadzić rewizję.

— Co nam to da?

— On ją tam zabił. Musi być jeszcze jakiś ślad. Mamy przecież tę szwajcarską folię, może podobnych rzeczy jest więcej, wtedy da się porównać. Podsunąć mu pod oczy. Zażądać

wyjaśnienia! Zresztą, ja bym tam zerwał podłogę.

— Po co? — zdziwili się.

— Przypominam, że Straszewska była silnie uderzona w głowę.

— Chodzi ci o ewentualne ślady krwi? — zorientował się major.

— Tak. On jest sprytny, więc przypuszczam, że dokładnie umył później podłogę. Ale jeżeli ma w mieszkaniu parkiet, to między klepkami zawsze są szpary.

— To jest myśl! — Łomnicki wstał i zaczął nerwowo krążyć po gabinecie. — Czy dla prokuratora nie wystarczą te wszystkie dowody, które zebraliśmy? Pułkownik!... — spojrzał na Brezgę niemal błagalnie.

— Co się patrzysz? Czy ja jestem prokuratorem? — Brezga wzruszył ramionami, ujął za słuchawkę. Nakręcił numer, a potem rzekł, jak na niego wyjątkowo uprzejmie: — Czy to mieszkanie prokuratora Iłowskiego?... Dziękuję, zaczekam... Witam, towarzyszu prokuratorze, tu pułkownik Brezga z Komendy Stołecznej... Przepraszam, pora już późna, ale czy moglibyście do mnie przyjechać?... Tak, to bardzo ważne... Tak, ja jestem w Pałacu Mostowskich... Dziękuję.

— Przyjedzie? — spytał Daniłowicz.

— Przyjedzie. Iłowski to rozumny człowiek. Myślę, że uzyskamy od niego nakaz.

W kilkanaście minut później prokurator Iłowski, drobny, szczupły mężczyzna z twarzą nerwową, pełną bruzd, oszpeconą głęboką blizną — pozostałość z walk partyzanckich — usiadł w gabinecie Daniłowicza i obrzucił zebranych zaciekawionym spojrzeniem.

— Słucham, pułkowniku — rzekł, uśmiechając się lekko. — Cóż to za późne zebranie?

Kiedy mu referowali, o co chodzi, słuchał uważnie, w skupieniu, przymykał od czasu do czasu powieki. Potem milczał parę chwil, rozważając widać sytuację.

— A co zrobicie — odezwał się, patrząc po kolei na wszystkich — jeżeli Nort ma laserowy aparat tu, w warszawskim mieszkaniu? Co wam pomogą pistolety, jeżeli on skieruje igłę świetlną na każdego, kto będzie usiłował wejść do domu wbrew jego woli?... Czy macie takie urządzenia lub taki środek chemiczny, który zneutralizuje laserowe promienie?

Nastała chwila ciszy. Tego pytania, prawdę mówiąc, nie spodziewali się, gdyż bezpieczeństwo własne było u nich zawsze na dalszym planie.

— Bo jeżeli żadnych takich środków nie macie — kontynuował prokurator nieubłaganie — to ja wam nakazu nie dam. — I dokończył z przepaszającym uśmiechem: — Chcę was widzieć żywych, a nie spalonych świetlną igłą.

— Powiedzmy, że on nas wpuści — bąknął Łomnicki, pocierając czoło. — Wejście kilku... no, to przecież wszystkich nie...

— Wystarczy, że pierwszego! — przerwał szorstko Iłowski.

— W takim razie — powiedział Szczęsny — pojedę wpierw do Gacówki, wejdę do tego laboratorium i przekonam się.

— O czym? — prokurator przyjrzał mu się z pobłażliwym uśmiechem. — Wybaczcie, kapitanie, ale czy wiecie, jak taki aparat wygląda? Jesteście ekspertem fizyki? Chemii?

Szczęsny zwiesił głowę.

— Cholera! — mruknął Kręglewski. - Cywilnego eksperta nie możemy narażać.

— Milicyjnego też nie. Wystarczy, że dotknie czegoś, czego nie zna albo nie zauważy.

— Zaraz... — Brezga potrząsnął głową niecierpliwie. — Do tej pory słyszę wszystko na: nie. Teraz chciałbym coś na: tak. Co proponujecie, towarzyszu prokuratorze?

— Jeszcze nic. Myślicie, że wam tale z rękawa pomysły wytrząsnę?

— Ja mógłbym pójść do niego — odezwał się z namysłem porucznik Frączak. — Oczywiście, jako znajomy. Ten ze zjazdu fizyków. On mnie chyba będzie pamiętał. Nie jestem ekspertem fizyki, ale mam ją ukończoną, więc prędzej się zorientuję, czy aparat jest w mieszkaniu.

Daniłowicz skrzywił się.

— Ty myślisz, że on go trzyma na wierzchu. Przecież wszystkiego przed tobą nie będzie otwierał.

— Co najwyżej serce wtrącił Kręglewski.

Wybuchnęli śmiechem, potrzebowali odprężenia nerwów. Szczęsny przygryzał dolną wargę, nie mógł sobie darować, że naraził się na uwagę Hłowskiego. Jak zawsze, jego stosunki z prokuratą były niemal na ostrzu noża.

— Widzę, że sytuacja wygląda tak — rzekł major. — Jeżeli najpierw zabierzemy się do Gacówki i laboratorium, ja pomijam w tej chwili środki, jakich musimy użyć, to Nort może zniszczyć ślady zabójstwa Straszewskiej. Może zdążyć to zrobić. Więc powinniśmy zacząć od jego mieszkania w Warszawie. Być może, od zerwania podłogi, jak to sugeruje Szczęsny. Ale właśnie do tego mieszkania nie możemy wejść — spojrzął na Hłowskiego z nieświadomą urazą. — Więc co mamy robić? Założyć ręce!?

Pytanie było retoryczne, prokurator nie odpowiedział. Zdawał sobie sprawę, że myślą o nim w tej chwili ze źle ukrywaną niechęcią. A przecież nie chciał tylko, żeby zginęli.

— W końcu, to my jesteśmy od tego, żeby chronić innych — powiedział Brezga, jakby kontynuując jego myśl. — Tego społeczeństwo od nas się spodziewa. I ma prawo. Czy możecie nam zareczyć, towarzyszu prokuratorze, że jutro Nort nie zabije swoim laserem następnej ofiary? Jeżeli my nawet nie wiemy... i nie możemy się dowiedzieć, gdzie on to świństwo trzyma?!

Frączak chrząknął z dezaprobatą. Jako fizyk, pełen był skrytego podziwu dla twórcy aparatu, choć jako milicjant, potępiał go. Laser, cudowne odkrycie naukowe, przyszłość w technice, medycynie, Bóg wie w czym jeszcze! Pomyślał, że aparat trzeba za wszelką cenę ocalić przed zniszczeniem. Zanim się zorientował, powiedział to głośno.

— Tylko nie za wszelką cenę — upomniał go Szczęsny.

— No, ja tylko tak... — zreflektował się. — Tak się mówi.

— Ja chyba zgłupiałem — odezwał się nagle Łomnicki, który od paru chwil usiłował coś powiedzieć. — Nie musimy przecież wejść ani jako milicja, ani jako znajomy fizyk czy coś w tym rodzaju! Po prostu, on mieszka na trzecim piętrze, po prostu w mieszkaniu pod nim zacznie nagle lać się woda, pęknie rura czy kaloryfer, wtedy...

— Kto mieszka pod nim? — spytał Szczęsny, zrywając się z parapetu.

— Nikt! — wykrzyknął Kręglewski, również podniecony. — Mieszkanie stoi puste, facet pracuje w takim przedsiębiorstwie, które wierci studnie głębinowe gdzieś w Libii, on wraca dopiero na wiosnę. Dozorca ma klucze, jego żona tam trochę sprzęta, wietrzy. Nikt inny nie zagląda, może tam być cały potop!

— Jak to: potop? — Hłowski przestraszył się. — Mam nadzieję, że nie zalejecie czyjeś mieszkanie?

Oficerowie zaczęli się uśmiechać, a Daniłowicz rzekł pobłaźliwie:

— Oczywiście, zasugerujemy tylko. Meble się przeniesie, obrazy zdejmie, nic nie zostanie uszkodzone. Po prostu, zamoczymy sufit na tyle, żeby Nort w razie czego mógł tam zejść i popatrzeć. Nawet go do tego zachęcimy, wtedy bardziej nam uwierzy.

— Rozumiem. Ekipa hydraulików, murarzy...

— Rura może pęknąć na przykład akurat pod podłogą w jego mieszkaniu. W samym pokoju. Zresztą, rozgrzebiemy też łazienkę i kuchnię. Weźmiemy sierżanta Kiewskiego, on do takich rzeczy najlepszy.

— Ale w takim razie nakaz rewizji będzie jednak potrzebny — rzekł Brezga. — W chwili kiedy znajdziemy pierwszy ślad, hydraulicy zmieniają się w milicję.

— No, tak... — Hłowski milczał chwilę. Wreszcie machnął ręką. — Muszę mieć wasze słowo, towarzysze, że nie będziecie nikogo narażać.

— Ależ dobrze! — Pułkownik zrobił taki ruch, jakby opędzał się od muchy. — Nikt z nas przecież nie chce umierać.

— Pewnie — mruknął Łomnicki, zajęty swym projektem.

Inni nie zareagowali. „Głupie gadanie — myślał Szczęsny. — Co to znaczy, narażać? Milicjant naraża się od pierwszego dnia służby aż do ostatniego. W końcu, dostać igłą laserową to nawet lepiej niż mojką po oczach albo siekierą w łeb. Może nawet bardziej elegancko...”

— Dobrze — Brezga odetchnął z wyraźną ulgą. — Zorganizujemy ekipę. Trzeba dobrać się do tego pustego mieszkania, zrobić, co trzeba, a potem niech nam służba X da znać, jak Nort przyjdzie do domu. On jest pod obserwacją, tak?

— Tak. Bez przerwy. Telefon na podsłuchu.

Rozmawiali jeszcze jakiś czas, potem prokurator pożegnał się i odjechał. Tamci drobniawo rozważali wszystkie szczegóły, ustalając najlepszy, jak mogli wypracować, plan akcji. Dobrze już po północy rozeszli się do domów.

*

Ledwie zdążył umyć ręce, ktoś zadzwonił. Był to dzwonek niecierpliwy, widocznie komuś bardzo się śpieszyło. Trochę zdziwiony otworzył drzwi. Na progu stało trzech mężczyzn w zachlapanych, roboczych ubraniach, w rękach mieli jakieś narzędzia, jeden taskał wiadro i mokre szmaty. Spoza ich pleców wyłonił się dozorca i rzekł:

— Pan będzie łaskaw wpuścić hydraulików. U Kozdrońskich na drugim piętrze woda leje się z sufitu. Pewnie u pana rura pękła albo coś w kaloryferze.

Przez parę sekund Nort przyglądał się badawczo twarzom nieznanym mężczyznom. Ten, który stał najbliżej, budził zaufanie, miał wygląd typowego warszawskiego robotnika, trochę cwaniackie spojrzenie, ogryzek papierosa w kącie ust. Twarze pozostałych były obojętne i znudzone.

— No — rzucił pierwszy niedbale. — Długo będziem tu stać?

Odsunął się, wpuścił ich do mieszkania. Laser był w laboratorium, nie miał żadnego powodu, aby obawiać się czyjejś wizyty, nawet gdyby się okazało, że nie są to hydraulicy. Zresztą, był z nimi dozorca, którego znał.

Robotnicy weszli z hałasem, któryś rzucił wiadro na podłogę, inny zwałił obok łom, klucz francuski i „żabkę”. Zanim się zorientował, znaleźli się już w kuchni, łazience i w pokoju, naraz wszędzie ich było pełno, wołali do siebie, stukali w przewody, sprawdzali krany.

Zrezygnowany usiadł przy biurku, zapalił papierosa i czekał, aż sobie pójda. Po kwadransie ten najstarszy o cwaniackim spojrzeniu podrapał się w głowę i powiedział z zafrasowaniem:

— Nic, tylko przewód trzasł. Musim rwać podłogę.

— Gdzie? — zaniepokoił się.

— Tu — hydraulik rozejrzał się po pokoju.

Nort zastanowił się.

— Przewody nie idą pod podłogą — rzekł w odpowiedzi. — Rury biegają po ścianach.

Niedopałek przesunął się z jednego końca ust w drugi.

— Prawidłowo, to miałbyś pan rację. Ale ten dom budowali bez głowy i powsadzali rury tam, gdzie nie trza. Jak w zeszłym roku lało się w tamtej klatce, to zrywalim wszystkie klepki, aż doszlim, gdzie pękło.

— Ładna perspektywa — mruknął. Nagle obudziło się w nim podejrzenie. Wstał i rzekł stanowczym tonem: — Zejdę na drugie piętro, do tego mieszkania. Może to wcale nie u mnie pękły rury. Ma pan klucze? — zwrócił się do dozorca. Ten przytaknął. — Niech pan idzie z nami — to odnosiło się do hydraulika.

— Mogę iść, czemu nie — zgodził się z filozoficznym spokojem.

Zeszli piętro niżej, dozorca otworzył drzwi i wprowadził ich do pokoju.

— Rzeczywiście — bąknął Nort, przestraszony tym, co zobaczył.

Cały sufit był mokry, kapały z niego gęsto krople brudnej wody, na podłodze ktoś poustawiał miednice, miski, a nawet garnki, meble zsunięto do przedpokoju.

— Jasne, że to u pana — hydraulik wzruszył ramionami. — No, idziem na górę, bo szkoda czasu. — Wyraźnie mu się śpieszyło.

Wrócili na trzecie piętro. Tamci dwaj zdążyli już wystawić do przedpokoju meble i przyglądali się uważnie wyfroterowanemu klepkom parkietu.

— Całą podłogę chcecie zrywać? Może wystarczy w jednym miejscu — rzekł Nort z prośbą w głosie.

— Zobaczmy — odparł cwaniak. — Dasz pan na pół basa, to zrobim delikatnie, jak z panią się obejdzim — zachichotał.

— Nie będziecie żałować — odparł Nort, usiłując przyjrzeć się bliżej twarzom pozostałych robotników, ale pochyleni chodzili po podłodze, wypatrując śladu przewodów, i odwróceniem byli do niego to bokiem, to plecami.

Wreszcie jeden przykląkł, szybkim ruchem podważył klepkę, ostrożnie, powoli wyjmował ją, odwrócił, obejrzał i odłożył na bok. Zaraz potem inny zrobił to samo pół metra dalej. Widząc, że przeszkadza, Nort wycofał się do przedpokoju, siadł na jednym z krzeseł i zamysłił się. Nie odczuwał żadnych obaw, wymyślił przecież wtedy podłogę tak starannie i zapastował, że na lśniących klepkach na pewno nie pozostał żaden ślad. Ale ostrożność i nieufność była już jego nieodłączną cechą. Być może zresztą, zanadto był o tym przekonany.

Dozorca, który stał na progu pokoju i pogadywał z hydraulikami, zasłaniał mu ich robotę. Przestał więc wypatrywać, zapalił papierosa i czekał. Wszystko to było mu bardzo nie na rękę, miał sporo pracy, chciał też pojechać do Gacówki, na razie jednak nie mógł się ruszyć z mieszkania.

Wreszcie robotnik z papierosem w ustach ukazał się na progu, odsunął dozorcę i powiedział:

— Załatalim, co się dało, ale klepki od spodu nagięły, trzeba dać nowe. Na dziurach leży papier, niech pan chodzi ostrożnie. Stare klepki zabierzem, to trzeba zdać w administracji, to dadzą nowe. Pan podpisze — podsunął mu formularz i ogryziony ołówek.

Nort wstał, przeczytał uważnie o zdjęciu czternastu klepek z przyczyn technicznych, spojrzał na stos deseczek, leżących na brezentowej płachcie i podpisał. To samo zrobił dozorca. Potem tamci trzej nadspodziewanie szybko zwinęli się, zabrali narzędzia, płachtę z klepkami i już ich nie było. Inżynier zdążył tylko spytać dozorcę, kiedy założą mu nowe klepki, dowiedział się, że „w tym tygodniu” i drzwi się zamknęły.

Wrócił do pokoju, zmartwionym wzrokiem ogarniając rozmiary kłęski podłogowej. Przepchnął biurko w jeden kąt, tapczan w drugi, postawił fotel, reszta musiała zostać w przedpokoju. Zirytowany tym wszystkim, zrezygnował z wyjazdu do Gacówki, zresztą było już późno.

Hydraulicy pożegnali się z dozorcą, zabrali wszystko, co mieli ze sobą, wsiedli do rozklekotanej ciężarówce i pojechali. Płachtę z klepkami porucznik Łomnicki trzymał na kolanach tak troskliwie, jakby to były nowo narodzone bliźnięta.

— Jesteś pewien, że to krew? — spytał Frączak, ocierając wierzchem dłoni umorusany policzek.

— Tak.

— Sporo tam tego było — mruknął sierżant Kiewski, wypluwając z niesmakiem niedopałek „sporta”. — Wykroiłem też kawałek lepiku pod klepkami. Eksperci powinni sobie z tym poradzić.

— Chyba się nie spostrzegł?

— Diabli go wiedzą. Oczu z nas nie spuszczał.

— Wiesz... — Frączak wzdygnął się, jakby go zimno owiało. — I tak mieliśmy szczęście. Gdyby w pewnym momencie dorwał się do lasera, nie zdążyłbym nawet wyciągnąć

pistoletu.

— Cóż robić. Ja też się czułem, jakbym łąził po zaminowanym polu. Nikt z nas przecież nie wie, jak jego laser wygląda, jaki duży, ile czasu potrzeba, żeby go uruchomić.

— Obyło się bez oficjalnej rewizji.

— Na razie.

Zajechali przed Pałac Mostowskich i poszli prosto do laboratorium. Czekali tam już dwaj eksperci, specjaliści od badania śladów krwi na wszelakim podłożu. Rzucili się na klepki jak na upragniony podarunek, rozłożyli je na stołach i zabrali się do roboty. Zaraz też pojawił się kapitan Szczęsny, który z wielkim żalem musiał zrezygnować z jazdy do Norta, gdyż tamten mógł zapamiętać jego twarz, choć rozmowa ich na giełdzie samochodowej była tak dawno i taka bez znaczenia, wołał jednak być ostrożnym.

— Jest krew? — spytał bez tchu. Na widok klepek twarz mu pojaśniała, a oczy zaświeciły jak u wilka.

Zdali mu relację, słuchał w wielkim skupieniu, wraz z Brezgą i Daniłowiczem, którzy tymczasem nadeszli. Szybko jednak eksperci wyprosili ich z laboratorium, tłumacząc, że „w tłumie” nie potrafią pracować. Tak więc trzeba było czekać. Zeszli na dół, do gabinetu pułkownika, któryś zakrzętnął się koło kawy. Tylko Szczęsny nie wytrzymał, wrócił do laboratorium i, przewyciężywszy opór ekspertów, przyglądał się ich pracy.

Ciemne, zaschnięte smugi na bokach klepek i na spodzie należało wpierw delikatnie zeszkrobać i umieścić na szkiełku pod mikroskopem, aby upewnić się, czy ślad w ogóle jest krwią.

Ekspert magister chemii rozpuścił zeszkrobane drobiny u jakimś płynie. Szczęsny sądził, że jest to zgęszczony kwas siarkowy, ale nie był pewien, a nie chciał pytać, aby go powtórnie nie wyrzucili z laboratorium. Potem chemik pobrał kilka kropli roztworu, porozmieszczał na szkiełkach i ustawił okular mikrospektralny.

Drugi ekspert, biolog z zawodu, wykonał podobną robotę, ale do rozpuszczenia drobin krwi, czy co tam to było, użył jakiegoś innego płynu, być może kwasu octowego albo po prostu destylowanej wody. Miał zamiar przygotować potem jeszcze inną próbę, posługując się spektrofotografią w części fioletowej widma, co pozwalało na badanie krwi w rozcieńczeniu nawet do 70.000.

— Jest — mruknął chemik, pochylony nad mikroskopem.

— Co jest? — Szczęsny usiłował zajrzeć mu przez ramię. Magister, zadowolony z wyniku próby, objaśnił łaskawie:

— Widmo oksyhemoglobiny. Tu, te dwa pasma pochłonne.

Odwrócił się, wziął z półki siarczek amonu, ostrożnie dodał do roztworu, popatrzał przez okular, a potem pozwolił Szczęsnemu zajrzeć.

— Widzę tylko jedną szeroką smugę — zauważył kapitan zdziwiony.

— Bo teraz oba pasma zwały się w widmo odtlenionej hemoglobiny. Jeżeli skłócę roztwór z powietrzem, znów się rozdzieli na dwa. Jak u ciebie? — zwrócił się do biologa.

— To samo. Ślad jest krwią.

Pozostało jeszcze sprawdzenie, czy w zeszkrobanej z podłogi krwi znajduje się białko ludzkie. Mogło się bowiem i tak zdarzyć, że kiedyś inżynier Nort zarznął w mieszkaniu koguta.

ROZDZIAŁ 10

— To nie jest stuprocentowo pewne — rzekł Brezga, jak zwykle dość ostrożny w formułowaniu twierdzeń, które miały zaważyć na zatrzymaniu lub zwolnieniu podejrzanego. — Niemniej jednak, należy jak najszybciej przeprowadzić u Norta dokładną rewizję. Już oficja-

Inie. Przekonaliśmy się, że w jego mieszkaniu pod podłogą znajdowały się liczne ślady krwi ludzkiej, przy czym grupa krwi „B” jest zgodna z grupą, jaką miała Straszewska, co oczywiście nie oznacza, że to musi być jej krew, ale z całą pewnością tego nie wyklucza.

— Pułkownik mówi jak prokurator — mruknął Szczęsny z przekąsem.

— A to źle? Już cię coś świerzbi?

— Musimy jednak sprawdzić — wtrącił szybko Daniłowicz — jaką grupę ma Nort. Gotów nam powiedzieć, że to jego krew, bo się kiedyś skaleczył.

— Ea, ale jak to zrobić?

— Szpitale — rzekł Kręglewski. — Może kiedyś chorował. Na karcie choroby powinna być zanotowana grupa krwi. Jeżeli nie znajdziemy, pozostaje tylko pobranie z jego bandyckiej żyły...

— To nie bandyta — sprzeciwił się Frączak. — To genialny uczonec, chociaż morderca.

— No, to z genialnej żyły. Mnie wszystko jedno, ja go żgać nie będę.

— Zrobisz to szybko, te szpitale? — zwrócił się major do Kręglewskiego. Ten podniósł się z krzesła.

— Do wieczora powinienem wiedzieć — odparł i wyszedł.

Wieczorem, zmęczony, ale zadowolony, przyniósł odpis karty chorobowej Ryszarda Norta ze szpitala numer dwa, operacja wyrostka robaczkowego, grupa krwi „A”, co tym samym wykluczało możliwość, iż krew ta wsiąkła między klepki podłogi w jego mieszkaniu.

— Dobrze — powiedział Brezga. A Szczęsny dodał:

— To już mamy z głowy.

Po uzgodnieniu sprawy z Hłowskim, mając na uwadze niebezpieczeństwo w przeprowadzaniu oficjalnej rewizji, postanowili wejść do mieszkania podczas nieobecności Norta. Prokurator jednak chciał być przy tym, poprosił również jednego ze swych znajomych fizyków, specjalistę elektroniki kwantowej, profesora Marca.

Pracownicy służby X, którzy czuwali nad każdym krokiem inżyniera, mieli zawiadomić ekipę rewizyjną o jego wyjściu z mieszkania. Druga ekipa, wyłącznie milicyjna, złożona z sześciu radiowozów, zaopatrzonych w dalekosiężne krótkofalówki, czekała na wiadomość o ewentualnym wyjeździe Norta do Gacówki. Dowódcą tej ekipy był porucznik Kręglewski.

Niedzielny ranek wstał chmurny, mglisty, zapowiadał odwilż. Schodzili się do Komedny Stołecznej gdzieś między ósmą a wpół do dziewiątej, Daniłowicz przyszedł wcześniej wraz z sekretarką wydziału, która z wrodzoną sobie ofiarnością zrezygnowała ze świątecznego odpoczynku, aby przygotować kawę.

Ekipa radiowozów, razem osiemnastu ludzi, uzbrojonych w maszynowe i zwykle pistolety, rozlokowała się ; w sąsiednim pokoju i w świetlicy, zostawiając po jednym pracowniku w każdym z sześciu samochodów. W rezerwie było ZOMO i paru przewodników z psami tropiącymi.

— Na pewno jeszcze nie wyszedł? — spytał Brezga, który zagadał się z prokuratorem i nie słuchał meldunków służby X.

— Na pewno — odparł major. — Kwadrans temu jeden z funkcjonariuszy dzwonił do jego drzwi, w przebraniu listonosza. Nort otworzył mu w pidżamie. Oczywiście, listonosz pomylił piętra, za co bardzo przeproszał.

— To go mogło spłoszyć — skrzywił się pułkownik. — No, trudno.

Profesor Marzec, nienawykły do podobnych sytuacji, z zainteresowaniem przysłuchiwał się urywanym zdaniom, jakie padały od czasu do czasu z głośnika radiostacji. To służba X przekazywała szyfrem informacje. Zrobiono dużo więcej niż zwykle w takich sprawach, bo i przeciwnik był niecodzienny i groźniejszy.

— Czy docent Straszewski domyśla się, kto zabił jego żonę? — spytał cicho prokuratora.

Hłowski podniósł na niego wzrok i potrząsnął głową.

— Skądże — odparł. — Przecież, na dobrą sprawę, to i my tego jeszcze na pewno nie wiemy. Proszę mi powiedzieć, profesorze, co pan słyszał w ogóle o Ryszardzie Norcie?

Marzec zastanawiał się przez chwilę.

— Zapoznany geniusz — rzekł bez ironii. — To by mógł być jeden z największych polskich uczonych w dziedzinie elektroniki kwantowej. W dodatku, jeżeli naprawdę skonstruował przenośny laser. Sądzę, że jest to laser na bateriach rtęciowych. Ostatecznie, możliwy u nas do wykonania, ale nie w pojedynkę, w jakimś prywatnym laboratorium, choćby nawet świetnie wyposażonym.

— A jednak on go wykonał.

— Tak... — Profesor zamyślił się. Wzruszył ramionami. — To właściwie przechodzi wszelkie normalne granice! Dałbym wiele, aby laboratorium nie zostało zniszczone. Zwłaszcza laser. — Spojrzał prosząco na prokuratora, a potem na Brezgę, który przysłuchiwał się ich rozmowie.

— Obawiam się — odparł pułkownik — że w ogromnym stopniu jest to zależne od samego Norta. Możemy oczywiście już w tej chwili obstawić Gacówkę i próbować włamań do laboratorium, ale — rozłożył ręce — ja nie mogę narażać życia pracowników. Nikt z nas nie wie, co tam jest naprawdę, jak to jest zabezpieczone. Pan twierdzi, że Nort to geniusz nauki. Tym bardziej nie mogę ryzykować. Ten człowiek nie zawahał się zabić docenta Mikolca, już nie mówiąc o pani Straszewskiej.

— Dlaczego pan profesor powiedział o nim: zapoznany geniusz? — spytał Hłowski.

— Bo miał kiedyś wszelkie możliwości, aby stać się naszym najślawniejszym kolegą, ale odrzucał po kolei wszystkie propozycje. Zawsze mu było za mało, zawsze posądział ludzi o to, że go nie doceniają, nie poważają tak, jak on tego chciał i domagał się. Sądzę, że po prostu zżera go potworna ambicja. To jest już chyba chorobliwe. On niszczy cudze osiągnięcia, niszczy ludzi, którzy mogliby przypadkiem zrobić coś lepiej od niego. Z takim człowiekiem nie sposób pracować ani w ogóle współżyć. Dlatego pewnie... zresztą, czy ja wiem? — zawahał się. — Często się zastanawiałem, po kiego licha on się umieścił w tym biurze „F-2”, akurat najskromniejszym i dającym najmniej pola do popisu. Więc przedtem myślałem, że to po prostu dlatego, że nigdzie indziej nie mogli z nim wytrzymać. Teraz myślę, że on to zrobił celowo. Ukrył się, aby po cichu w laboratorium pracować nad swoimi wynalazkami.

— Po co? — odezwał się Szczęsny. — I skąd mógł mieć na to pieniądze?

— Nie wiem — odparł profesor. — Ale on dość często wyjeżdża za granicę, więc... — urwał. Nie chciał rzucić oskarżenia z gatunku tych najcięższych.

— Sześć osiem! — odezwał się nagle głośnik. - Sześć osiem, tu kwadrat piętnaście... Powtarzam, tu kwadrat piętnaście! Jak mnie słyszysz?

Wszyscy poderwali się z miejsc. Brezga ujął mikrofon, włączył i powiedział wyraźnie, powtarzając słowa:

— Kwadrat piętnaście, tu sześć osiem. Słyszę cię dobrze. Określ kierunek.

— Sześć osiem, pięćset trzydzieści! Powtarzam, pięćset trzydzieści...

Szczęsny stał już przy mapie Warszawy.

— Marszałkowska, w kierunku Alei Jerozolimskich — powiedział półgłosem.

— Kwadrat piętnaście, zrozumiałem, pięćset trzydzieści. Jeden czy dwa?... Powtarzam, jeden czy dwa?

— Sześć osiem, dwa... Powtarzam, dwa!

— Idzie pieszo. Opla nie ma w podwórzu, chciałbym wiedzieć, gdzie on go zostawił — rzekł Daniłowicz.

— Służba X uda się za nim, pieszo i samochodem. A my — zwrócił się pułkownik do prokuratora i Marca — jedziemy!

Czarna wołga, którą pojechali w sześciu, miała wszelkie dane, aby wyglądać jak taksówka, chociaż nią nie była. Zatrzymali się kilka domów dalej, porucznik Łomnicki został przy

kierownicy, tamci skierowali się w stronę mieszkania Norta. W bramie wysunął się ku nim niepozorny, mały człowieczek i na pytające spojrzenie Daniłowicza, który znał większość pracowników służby X, szepnął w przelocie:

— W porządku. W razie powrotu uprzedzę.

Otworzenie drzwi było dla porucznika Frączaka nieco kłopotliwe, chociaż dysponował kompletem odpowiednich narzędzi i właściwymi umiejętnościami. Zamek był jednak nietypowy. Wreszcie magister fizyki szarpnął lekko za klamkę, sapnął z satysfakcją i rzekł:

— Gotowe.

Wchodzili ostrożnie, kiedy na schodach usłyszeli szybkie kroki, a po chwili pojawił się kapitan Szczęsny. W rękę trzymał jakąś niedużą paczkę.

— To folia — powiedział, nie wdając się w bliższe szczegóły.

Profesor rozglądał się dokoła z ciekawością, a także z pewnym zażenowaniem, nie przywykł bowiem wchodzić do cudzego mieszkania bez wiedzy — i wbrew chęci — gospodarza. Rozgrzeszył się jednak przypomnieniem, że gospodarz ten jest dwukrotnym mordercą. Patrzył więc na półki, szafy i biurko, zastanawiając się, jak może wyglądać aparat laserowy, skonstruowany przez Norta. Przypuszczał, z tego co mu powiedziano, że na oko jest to coś w rodzaju sporej walizki czy torby, trudno bowiem było przypuścić, aby inżynier nosił aparaturę bez żadnej osłony, byłoby to ryzykowne i ściągало na siebie uwagę.

Nie dojrzał jednak nic takiego, a przynajmniej nie stało to na wierzchu, więc może Nort chował aparat w ukryciu, na przykład w dobrze zamkniętej piwnicy.

— Pewnie trzyma go w laboratorium — zauważył Brezga.

— W tej Gacówce?

— Tak myślę.

— Tu coś jest — odezwał się Frączak z przedpokoju, gdzie była głęboka szafa w ścianie.

Podeszli do niego. W szafie stał duży czarny kufer z dwoma uchwytami w rodzaju skórzanych rączek. Profesor przyjrzał mu się, ocenił wielkość na oko i rzekł z powątpiewaniem w głosie:

— Chyba nie. Za duże. Jak by on mógł z tym poruszać się swobodnie po mieście?

— W każdym razie trzeba się przekonać — odparł Szczęsny. Bezceremonialnie odsunął profesora, przyklęknął obok kufra. Zdecydowanym ruchem otworzył wieko, kufer nie był zamknięty na klucz.

— Uważaj! — krzyknął Daniłowicz.

Ale wewnątrz nie było nic, na dnie głębokiego kufra leżał tylko jakiś strzęp papieru. Szczęsny nachylił się, poświecił latarką. Z boku wymalowany był napis: — ELECTRONIC UTILISATION LTD. SWISS — odczytał głośno. Zerwał się z podłogi, popatrzał na nich triumfującymi oczami. — Widzicie? To samo co na folii!

— No, tak — rzeki Brezga z westchnieniem ulgi. — To już, jakbyśmy mieli w rękę zabójcę Straszewskiej. Zabierzemy kufer do laboratorium, wewnątrz mogą być ślady krwi, mimo że zwłoki leżały w folii. Poruczniku — zwrócił się do Frączaka — sprowadźcie dozorcę. Będzie świadkiem. Opieczujemy mieszkanie? — spytał prokuratora.

Iłowski ocknął się z zamyślenia, w którym spoglądał na czarny kufer. „Jak trumna” — skojarzyło mu się, wstrząsnął nim przykry dreszcz.

— Zaraz podpiszę nakaz aresztowania — mruknął. — Trzeba Norta jak najszybciej zatrzymać. To straszny człowiek... Mieszkanie? Tak, oczywiście — odparł z roztargnieniem. Myślał o ukrytym laboratorium, gdyby udało się schwytać mordercę, zanim tam dotrze, sprawa byłaby wygrana. Powiedział o tym głośno, Brezga przytaknął:

— To nasza jedyna szansa, aby obyło się bez... — nie dokończył.

Wszedł dozorca z Frączakiem, za nim wśliznął się pracownik służby X i powiedział:

— Wsiadł do swojego wozu. Nasi jadą za nim.

— Dobrze. Zostańcie tutaj. I wy, poruczniku. Jedziemy! — skierował się w stronę drzwi.

W wołdze Brezga uruchomił krótkofalówkę i wydał szereg poleceń. Sześć radiowozów wyprysnęło z Pałacu Mostowskich i pognało w kierunku podanym przez służbę X. Gdzieś na peryferiach miasta mieli spotkać się z wołgą i razem kontynuować pościg.

— Jedzie w kierunku na Gacówkę? — spytał Marzec, nie rozumiejąc szyfru, jakim się posługiwali.

— Tak — rzucił major. — Ale może go złapiemy wcześniej.

— Służba X ma tylko jeden wóz — przypomniał Szczęsny. — W konkurencji z oplem-record na pewno przegra, jeżeli Nort zorientuje się, że jest ścigany.

Łomnicki dodał gazu, ryzykownie wyprzedził autobus, zawinał na zakręcie, aż ich zarzuciło na siebie. Marzec przygryzł sobie język i nieznacznie ocierał usta, major rzucił na niego okiem, a potem rzekł z uśmiechem:

— Profesorze, porucznik Łomnicki to świetny kierowca, ale tu chodzi o minuty. Może o sekundy.

— Ja rozumiem - odparł Marzec niewyraźnie, bo go bolał język.

— Sześć osiem! — odezwał się głośnik krótkofalówki. — Tu kwadrat piętnaście, jak mnie słyszysz?

Brezga ujął słuchawkę.

— Słyszę cię, kwadrat piętnaście — odparł. — Jaka odległość między kwadratem piętnaście a zerem?

— Widzę zero — padła odpowiedź, zagłuszana trochę trzaskiem i szumom w eterze. — Ale jest szybsze, mogę je stracić z oczu!

— Kwadrat piętnaście, jedzie do ciebie szóstka i sześć osiem. Utrzymaj widoczność zera, póki możesz!... Powtarzam: miej zero na oku, póki tylko możesz.

— Słyszę, sześć osiem... Zrobię, co tylko mogę.

— Są! — zawołał Szczęsny, który wypatrywał drogę. Byli już poza miastem, zaczął sypać drobny, gęsty śnieg i dokoła poszarzało, chociaż godzina była jeszcze wczesna, dochodziła druga po południu.

— Służba X? — spytał major z niedowierzaniem.

— Nie, nasze radiowozy.

W tej chwili głośnik znów zachrypiał, tym razem głos mówiącego był inny, poznali porucznika Kręglewskiego:

— Sześć osiem, tu dziesiątka z całą szóstką, widzimy was. Odbiór.

— Dziesiątka z szóstką, zrównacie się z nami, dwie osoby do was się przesiądą — powiedział Brezga. Odłożył słuchawkę. — Szczęsny, dołącz do Kręglewskiego, a ty, Stefan, przesiądź się na drugi radiowóz, ja z Łomnickim zostaniemy tu, w ten sposób łatwiej nam będzie poprowadzić pościg. Pierwszy radiowóz mu kryptonim „dziesiątka”, drugi „czwórka”, całość „szóstka”... No, już są!

Sześć radiowozów wyłoniło się ze śnieżnej gęstwiny, zahamowało obok nich. Daniłowicz i Szczęsny wyskoczyli, zaraz potem siedem samochodów ruszyło dalej razem.

— Znaleźliście aparat? — spytał Kręglewski, nie odwracając nawet głowy, siedział obok kierowcy i trzymał w ręku słuchawkę, aby każdej chwili być gotowym do wymiany zdań w eterze.

Szczęśny otarł zaśnieżoną twarz, odsapnął.

— Nie. Ale był tam duży kufer z tym samym napisem, co na folii. Pewnie przewoził w nim ciało Straszewskiej.

— No to go mamy. Cholera z tym śniegiem, nic nie widać.

— Dziesiątka, skręcamy w lewo! — usłyszeli z głośnika.

— Cała szóstka, skręt w lewo — powiedział Kręglewski do słuchawki.

— Nie zdążymy — rzekł Szczęsny. — Doleci do Gacówki.

— Tam są wozy z Komendy Wojewódzkiej — mruknął mały porucznik.

— Mamy z nimi łączność?

— Możemy mieć, ale... oni są ukryci w lesie, żeby się nie spłoszył, więc... poczekaj, może niech się ujawnią? Do cholery, gdzie go mamy łapać? Jak już będzie w tym swoim laboratorium czy zanim tam wejdzie?

— Jasne, że zanim wejdzie! Człowieku, stan obłączenia będziemy potem robić? Zresztą, porozum się z pułkownikiem.

Brezga zastanawiał się przez chwilę. W końcu rzekł:

— Dziesiątka, my przecież nie wiemy, czy zero ma aparat przy sobie, czy w laboratorium. Nie możemy kolegów z Wojewódzkiej narażać. Trudno, musimy zaryzykować. że wejdzie do środka.

— Ależ!... Szczęsny wyrwał Kręglewskiemu słuchawkę: — Sześć osiem, wtedy może być na wszystko za późno!

— Weźmiesz to na swoje sumienie? — usłyszeli przytłumiony odległością, ale wyraźny głos pułkownika. — Kto ci dał takie prawo?

Szczęsny opuścił głowę. Zbyt dobrze pamiętał martwą, bladą twarz doktora Mikołca, który leżał na podłodze swojego gabinetu tak spokojnie, jakby spał, ale przecież przez jego czaszkę przebiegła śmiertelna igła światła, w ułamku sekundy odbierając życie. Brezga miał rację. Nie mieli prawa narażać nikogo na straszną, a niepotrzebną śmierć.

— Widzę samochód służby X, obywatelu poruczniku — powiedział kierowca do Kręglewskiego. — Chyba zostali mocno w tyle za oplem.

— Dołączą do nas. Trudno, na wyższą technikę nie poradzisz.

Wjechali w las. Śnieg wciąż sypał, teraz było już prawie ciemno, zapalili reflektory. Światła wypłoszyły dwa zające, potem sarna wybiegła na drogę i przemknęła na drugą stronę.

— Cała szóstka! — znów zachrypiało w głośniku. — Otaczamy Gacówkę. Nawiązaliśmy łączność z Wojewódzką.

— Tu kapitan Ostrowski z Komendy Wojewódzkiej — usłyszeli nowy głos. — Słyszymy was, mamy łączność od kwadransa. Trzy radiowozy. Połączyć się z wami?

— Tak, kapitanie. Żadnych działań, ostrzegam!

— Rozumiem.

Głośnik umilkł. Podjeżdżali już do Gacówki, psy szczekały zajadle, czując obcych dokoła. Światła reflektorów omiotły polanę, wyłowiły z ciemności samotnie stojącego opla-record 1700 i skrzyżowały się ze światłami wozów zbliżających się od strony lasu. Wołga minęła ich w pędzie, zaryła nosem w śnieg. Z wozu wyskoczył pułkownik, za nim wysiedli tamci. Samochody milicyjne hamowały dokoła polany, wszystkie reflektory skierowane były do środka z wyjątkiem światel wozów z Komendy Wojewódzkiej, które trzymały w świetnym szachu najbliższe pasmo lasu.

— Tam... te drzwiczki — szepnął kapitan Szczęsny do Brezgi.

Wyraźne ślady, na świeżym śniegu prowadziły w kierunku niskiego budynku z małymi drzwiczkami. Oficerowie skupili się, naradzając cicho, podszedł do nich prokurator. Tylko profesor Marzec stał oszołomiony, rozglądał się z niedowierzaniem, szukał jakichś wyraźnych oznak, że tu, w tych chłopskich prymitywnych budynkach, ktoś szalony — czy genialny — konstruował niezwykle wynalazki, ale nie mógł dojrzeć żadnych śladów wskazujących na to, więc stał bezradny i zdumiony. „Może to wszystko nieprawda?” — pomyślał sceptycznie.

— Niemożliwe, żeby nas nie słyszał — major potrząsnął głową. — Na pewno wie, że wpadł. Więc siedzi w laboratorium i zastanawia się pewnie, co robić.

— Spróbuję — rzekł Brezga. Podchodził do małych drzwiczek, reszta postępowała tuż za nim, nikt nie chciał zasłużyć na miano tchórza, choć każdy z nich dobrze zdawał sobie

sprawę, na co się naraża. Pułkownik zatrzymał się przed drzwiami, za którymi panowała głucha cisza.

— Inżynierze Nort! — krzyknął i powtórzył ten okrzyk jeszcze kilka razy, ale nikt mu nie odpowiedział. Dotknął więc klamki, spróbował nacisnąć, oparła się jego ręce.

— W opłu nic nie ma — rzekł Łomnicki, który wraz z milicjantami przeszukał samochód.

— A jeżeli uciekł pieszo w las? — rzucił któryś.

— Wykluczone! — zaoponował kapitan Ostrowski. — Widzieliśmy, jak wjechał w podwórze, wysiadł z wozu i wszedł do któregoś z budynków. Najprawdopodobniej właśnie do tego.

— Przeszukaliśmy inne pomieszczenia - odezwał się oficer ze służby X. — Nie ma tam nikogo, chociaż wygląda, że ktoś opuścił dom najdalej godzinę temu.

— To pewnie ten Berych. Widać. poczuł, co się święci.

— Inżynierze Nort! — krzyknął znowu Brezga, stukając mocno do drzwi. — Będziemy czekać tak długo, aż pan wyjdzie. Nie ma sensu się opierać, mamy wystarczającą ilość dowodów przeciwko panu.

Umilkł i znowu nasłuchiwali. ale panowała cisza, śnieg padał bezgłośnie, bieląc im płaszcze i mundury, nawet psy się uspokoiły, przestraszone i dezorientowane nieobecnością swego pana.

Nagle w tej ciszy najbliżej stojący usłyszeli poprzez zamknięte na głucho drzwiczki czyjś głos, powtarzający wolno i wyraźnie:

Light Amplification by Stimulated Emission of Radiation... Light Amplification by Stimulated...

Było to tak nieoczekiwane, że znieruchomieli ze zdumienia.

— Co on mówi? — szepnął jeden z milicjantów.

— Laser — rzekł profesor Marzec. I dodał cicho, jakby do siebie: — On żegna swój laser.

Brezga spojrział na niego z niepokojem.

— Dlaczego... — zaczął i urwał. Głos mówiącego umilkł, zamiast niego usłyszeli coraz wyraźniejszy szum, jakby płomień, podsycany przez kogoś, ogarniał coraz większą przestrzeń.

— Odstąpić! — krzyknął pułkownik. — Wszyscy odstąpić!... — W sekundę potem zdążył jeszcze dać następną rozkaz: — Na ziemię!!

Ostatnią sylabę tych słów zagłuszyła potężna detonacja. Kłęby dymu, języki ognia, kawałki metalu, desek, cegieł — wszystko to wyleciało wysoko w górę, nastąpił nowy wybuch, w odgłosy te wmieszało się wycie psa, pewnie któryś dostał odłamkiem metalu czy cegły. Przez kilka minut z budynku nieprzerwanie dolatywały detonacje, błyskały jakieś ognie, paliły się widać odczynniki chemiczne, bo płomień był różnokolorowy, syczał i wrywał w górę wciąż nowe kawałki jakichś rurek, dziwacznie wygiętych, metalowych płyt, kabli i szmat, prawie zwęglonych.

Kiedy wreszcie wszystko ucichło i tylko ogień trawił jeszcze resztki tego, co było prywatnym laboratorium inżyniera Norta, powstali ze śniegu, otrzepując się i wycierając twarze. Niektórzy dostali odłamkami i krwawili trochę, ale nie były to groźne okaleczenia. Na policzkach mieli sadze, które — zmieszane ze śniegiem — gęsto latały w powietrzu.

— Chyba już można...? — spytał któryś, podchodząc wolno tło zgliszcza.

— Ostrożnie! — ostrzegł prokurator. — Poczekajcie jeszcze chwilę. Teraz to już i tak wszystko jedno — dodał ciszej.

Profesor Marzec, nie zważając na ostrzeżenie, zbliżył się do szczątków laboratorium. Twarz jego pełna była żalu i przerażenia. Nie mógł pogodzić się z myślą, że tak oto zostało definitywnie zniszczone dzieło naukowca — i to zniszczone przez jego twórcę. Nikt już nigdy

nie dowie się, w jaki sposób Ryszard Nort skonstruował w tej piwniczce aparat laserowy, z którego zrobił potem narzędzie śmierci.

— Tu, patrzcie! — wykrzyknął nagle Szczęsny, pochylając się nad dopalającymi się zgliszciami.

Kiedy podeszli do niego, ujrzeli na wpół zwęglone, czarne zwłoki człowieka. Twarz dała się jeszcze rozpoznać, choć ogień osmałił ją i uczynił straszną.

Był to Nort.